

Rozdział 9: Wojna i rewolucja. W oczekiwaniu na ewakuację.

1. Owoce nienawiści. 2. Ścigany w poszukiwaniu schronienia. 3. W sanatorium doktora Suilisa. 4. Azyl w konsulacie Hondurasu. 5. Obiecanki cacanki. 6. „Najgorsze dni tego roku”. 7. „Firma dziadka”

28-08-2018

Wojna i rewolucja. W oczekiwaniu na ewakuację.

Owoce nienawiści

Wydarzenia w Hiszpanii między 1936 a 1939 rokiem, w latach wojny domowej, nabrały wymiaru tragedii. Aby właściwie zinterpretować wydarzenia tego okresu, konieczne jest uprzednie, choćby najbardziej ogólne zrozumienie ich kontekstu politycznego. Na tle tych okoliczności, z całą swą heroicnością, a zarazem pokorą, rysuje się postać założyciela Opus Dei. Jednak zafałszowane spojrzenie na rzeczywistość historyczną nie pozwoliłoby nam zrozumieć znaczenia oraz przyczyn postępowania księdza Josemaríi. Zwłaszcza trzeba wziąć pod uwagę, że wojna domowa w Hiszpanii miała przede wszystkim charakter religijny. W dziejach Hiszpanii nie brakowało wojen domowych, jednak to właśnie podczas tej z 1936 roku miało miejsce jedno z najbardziej okrutnych i krwawych prześladowań

w ciągu całych dwudziestu wieków chrześcijaństwa[1]. W ciągu kilku miesięcy przyjęło palmę męczeństwa dwunastu biskupów i ponad 6 000 księży i zakonników. Ten prosty i wymowny fakt robi wystarczające wrażenie i właściwie naświetla całą sytuację. Nie jest możliwe, by czytelnik mógł zrozumieć losy założyciela Opus Dei i całe znaczenie Dzieła, jeśli nie weźmie pod uwagę tych wydarzeń. Z drugiej strony, okaże się również niezrozumiałe zachowanie tego kapłana, jeśli z chrześcijańskiego punktu widzenia nie spojrzy się na przyczyny, które skłoniły go do przebaczenia z całego serca winnym popełnionych zbrodni, zadośćuczynienia za nie wobec Pana i wyciągnięcia wniosków na przyszłość z tej lekcji historii.

W lipcu 1936 roku w całym kraju, w każdej wiosce i w każdym mieście, dawało się odczuć niepokój i silne napięcie, wynikające z dążenia do

rewindykacji społecznych, załamania się gospodarki narodowej, utraty autorytetu przez władze i niezaspokojonych tendencji regionalistycznych. Ciągłe strajki, głód, niepokoje, agitacja rewolucyjna, która podżegała masy, wszystko to prowokowało w odpowiedzi postawy kontrrewolucyjne, nieunikające stosowania siły. Znajdujący się na skraju upadku system chwiał się pod naciskiem ekstremizmów, a spisek wojskowy przygotowywał zamach stanu dla przywrócenia mocnej władzy w skompromitowanej Republice. Jak doszło do tak poważnej sytuacji?[2]

Nie trzeba cofać się do przeszłych stuleci, do wojen domowych XIX wieku, do historycznego zapóźnienia we wprowadzeniu zasad demokratycznych w instytucjach politycznych[3], ani przypisywać gwałtowność konfliktu wojowniczemu charakterowi

narodowemu Hiszpanów. Kiedy upadła monarchia i ustanowiono republikę w 1931 roku, połowa Hiszpanów powitała jej nadejście z radością i nadzieją. Rozpoczął się nowy etap, na którym można było naprawić błędy i wprowadzić ustrój demokratyczny, sprawiedliwy i reprezentatywny. Jednak od chwili utworzenia rządu tymczasowego aż do momentu opracowania nowej konstytucji rządzący i deputowani do Korteżów Konstytucyjnych narzucili nowemu ustrojowi charakter bardzo radykalny, trudny do zaakceptowania dla ogromnej części Hiszpanów[4].

Dzieje II Republiki hiszpańskiej od chwili jej ustanowienia w 1931 aż do początków wojny domowej są niezwykle skomplikowane. Z łatwością można wyróżnić kilka etapów: pierwszy okres konstytucyjny, po którym następują dwa lata reform radykalnych,

dotyczących Kościoła, wojska, edukacji i kwestii regionalnych, rolnych i pracowniczych[5].

Niezadowolenie z powodu działań rządów zaowocowało nieudaną mniejszościową i źle zorganizowaną próbą wojskowego zamachu stanu, o odcieniu monarchistycznym, która miała miejsce w Sewilli latem 1932 roku. Nie była to ani pierwsza, ani jedyna próba zmiany kierunku wydarzeń przy użyciu siły.

Hiszpańskie życie polityczne naznaczone już było radykalizmem i stawało się coraz bardziej gwałtowne. Potem, w listopadzie 1933, miały miejsce wybory powszechne, w wyniku których izby całkowicie zmieniły zabarwienie polityczne. Poprzednia większość, zdominowana przez socjalistów i lewicowych republikanów, została zastąpiona przez inną, złożoną z CEDA (*Confederación Española de Derechas Autónomas* – Hiszpańską Konfederację Autonomicznych Sił

Prawicowych) i z partii radykalnej, liberalno-demokratycznej i agrarnej[6]. Przedstawiciele CEDA, najliczniejszej partii nowego parlamentu, akceptując postulat obojętności wobec formy rządów (monarchistycznej czy republikańskiej), uznawali siebie za konserwatystów i obrońców poglądów katolickich. Kolejne dwa lata (1934-35) charakteryzowała polityka łagodzenia ekstremizmów z poprzedniego okresu. Ten etap także próbowano zakłócić, uciekając się do siłowych środków – tym razem już na większą skalę niż w 1932. Była to próba przeprowadzenia rewolucji lewicowej w 1934 roku, która nie udała się w Madrycie i w Katalonii, natomiast zwyciężyła w Asturii. Doszło tam do krwawych wypadków[7], które sprawiły, że konieczne było wezwanie armii dla zdławienia rewolucji i przywrócenia porządku konstytucyjnego[8].

Od chwili wybuchu rewolucji w październiku 1934 roku przyspieszony został proces postępującego rozdarcia w łonie narodu. Prawica i lewica zwracały się ku politycznym ekstremizmom, bez możliwości porozumienia. W ten sposób, wobec braku porozumienia pomiędzy umiarkowanymi z jednej i z drugiej strony, nie można było powstrzymać zdecydowanego marszu w kierunku konfliktu wykraczającego poza ramy demokratyczne.

W lutym 1936 siły prawicowe i lewicowe (te ostatnie zjednoczone w ramach Frontu Ludowego) udały się do urn wyborczych. Wielu spośród ich reprezentantów, bardziej niż demokratycznej władzy poszukiwało politycznej możliwości ostatecznego zdominowania przeciwnika.

Niewielką większością głosów siły lewicowe wygrały wybory, co jednak nie przyczyniło się do

spacyfikowania nastrojów. Wręcz przeciwnie, przy coraz większych podziałach wewnątrz lewicy wzajemna zaciekłość przeciwników politycznych narastała aż do chwili, gdy doprowadziła kraj na drogę chaosu bez możliwości znalezienia środka zaradczego. Współżycie społeczne zostało zniszczone[9].

Nienawiść do przeciwników nie miała charakteru czysto politycznego. Konieczne jest poszukiwanie jej korzeni w burzliwym procesie, trwającym przez cały wiek XIX, który przeciwstawił sobie konserwatywny tradycjonalizm oraz postępowy liberalizm. Do tego trzeba dodać opór ze strony wielu kapitalistów i właścicieli wobec koniecznych rozwiązań, mających na celu przywrócenie sprawiedliwości w stosunkach pracowniczych. Zaostrzało to stare napięcia społeczne. Jednocześnie

demagogiczna propaganda wzywała proletariat do walki zbrojnej. Nienawiść sączyła się w dusze obywateli, nasycając ją urazami i skłonnością do przemocy. Inną przyczyną, bardziej bezpośrednią, były błędy popełnione przez rządy republikańskie. Chodzi tu między innymi o reformy Azañii*, w wyniku których ucierpiały przede wszystkim armia i Kościół. Wojsko zostało niepotrzebnie upokorzone, co oddaliło wielu wojskowych od sprawy republikańskiej, wystawiając ich na pokusę konspiracji i przeprowadzenia zamachu stanu. Jeśli chodzi o Kościół, zastosowanie rozwiązań laicyzujących odpowiadało sekciarskiej ideologii i nie brało pod uwagę, że praktykujący katolicy stanowili większość społeczeństwa[10]. Inne błędy, takie jak wypadki łapówkarstwa wśród niektórych członków Partii Radykalnej, rządzącej przez dwa następne lata, brak wrażliwości

społecznej u jednych oraz realizmu u innych, radykalizm rozpowszechniony wówczas w polityce europejskiej oraz kryzys demokracji prowadziły do jeszcze głębszej dyskredytacji reżimu i do dalszego utwierdzenia zwolenników przemocy w ich dążeniu do radykalnych i gwałtownych rozwiązań[11].

Na koniec doszło do zdarzenia, które odegrało rolę detonatora. Skłoniło ono do podjęcia decyzji tych, którzy mieli jeszcze wątpliwości[12] i do zawarcia porozumienia pomiędzy karlistami a gen. Molą, przywódcą powstania. 13 lipca 1936 został zabity José Calvo Sotelo, jeden z przywódców monarchistycznych opozycji parlamentarnej. Zabójstwo zostało dokonane przez policję w odwecie za śmierć porucznika *Guardia de Asalto* – José Castillo. W ciągu kilku dni doszło do wybuchu powstania[13].

Jako pierwsze wystąpiły garnizony afrykańskie[14], późnym wieczorem dnia 17 lipca. Rząd nie został zaskoczony przez wojskowy spisek, jednak wierzył, że uda mu się zdławić rebelię, gdyż strategiczne punkty wojska pozostały w rękach generałów wiernych władzom. W ciągu pierwszej doby sytuacja była bardzo niejasna, gdyż niektóre garnizony przyłączyły się do buntowników, natomiast partie lewicowe oraz organizacje syndykalne żądały od rządu, by uzbroił milicje ludowe[15].

Krytycznej nocy z 18 na 19 lipca prezydent Republiki poszukiwał tymczasowego rozwiązania nowej sytuacji. Gabinet Casaresa Quirogi został zastąpiony przez rząd Martíneza Barrio, złożony z mniej radykalnych ministrów, w tym celu, by przyciągnąć wojskowych reprezentujących tę właśnie tendencję. Natychmiast jednak ten rząd – podobnie jak poprzedni –

znalazł się pod presją partii i robotniczych związków zawodowych żądających uzbrojenia milicje socjalistyczne i komunistyczne[16]. Władze opierały się przed rozdaniem broni członkom syndykatów, chociaż już o świcie 19 lipca tysiące robotników krążyło po Madrycie z karabinami, które otrzymali kilka godzin wcześniej w niektórych koszarach. Jednak w koszarach de la Montaña, pomimo sprzecznych rozkazów, ostatecznie odmówiono wydania broni milicjom rewolucyjnym.

W niedzielę 19 lipca ks. Josemaría wraz ze swoimi podopiecznymi pracował w nowym akademiku przy Ferraz 16. Z jego balkonów mogli widzieć narastający ruch policji i ludzi kręcących się po ulicy. Na tej części ulicy Ferraz nie było budynków od frontu, była to dopiero

zabudowująca się dzielnica z widokiem na tyły koszar de la Montaña, które znajdowały się o dwieście metrów od akademika[17]. Późnym wieczorem dotarła tam wrzawa podniesiona przez członków milicji ludowych, którzy z pięściami wzniesionymi w górę, z bronią i sztandarami krążyli po centrum miasta. Około 10 wieczór Ojciec* rozesłał do domów tych, którzy mieszkali z rodzinami w Madrycie, prosząc ich, by zadzwonili, gdy dotrą na miejsce, aby go uspokoić[18]. Isidoro Zorzano oraz José María González Barredo pozostali z nim na noc[19].

Na razie koszary pozostawały zamknięte, otoczone wysokimi murami w groźnej ciszy. Nocą słyhać było, że nagle zerwała się nieprzerwana wymiana ognia. O świcie dał się zauważyć ruch wokół akademika. Przygotowania do zdobycia koszarów rozpoczęły się

silnym ostrzałem artyleryjskim. Oblężeni odpowiedzieli ogniem karabinów maszynowych[20]. Zabłąkane kule trafiały w mury i balkony akademika, zmuszając Ojca i pozostałych mieszkańców do schronienia się w piwnicy. Rano rozpoczął się szturm na koszary. Dziedziniec pokryły trupy. Masy milicjantów wtargnęły do koszar i opuszczały je uzbrojone, w euforii i z pieśnią na ustach.

Ojciec, który od miesiący słyszał pogłoski o *zabójstwach księży i zakonnic, o podpaleniach, atakach i innych okropnościach*[21], zorientował się, że nadszedł moment, gdy noszenie sutanny oznacza wystawianie na próbę Bożej Opatrzności. Byłoby to nie tylko nieroztropne, lecz wręcz głupie. Zostawił więc sutannę w swoim pokoju i nałożył niebieski roboczy kombinezon, którego używał w tych dniach podczas porządków[22].

Minęło już południe, gdy Ojciec, Isidoro i José María González Barredo modlili się do Najświętszej Panienki, polecili się opiece Aniołów Stróżów i pojedynczo wyszli tylnym wyjściem. W pośpiechu ksiądz zapomniał nakryć głowę, na której znaczna tonsura zdradzała niepowołanym oczom jego stan kapłański. Mijał grupy milicjantów, którzy jednak podnieceni niedawną walką nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi.

Dotarł do domu swojej matki, która mieszkała niedaleko akademika. Telefonicznie rozmawiał z Juanem Jiménezem Vargasem i upewnił się, że wszystkie jego duchowe dzieci są całe i zdrowe. Księdzu, po raz pierwszy pozbawionemu brewiarza, który został w akademiku, czas się dłużył. Włączył radio. Stale nadawano wiadomości, sprzeczne i niepokojące. Noc zapowiadała się długa i gorąca. Odmawiał jeden

różaniec za drugim. Mieszkanie znajdowało się na piętrze domu na ulicy Doctor Cárceles, oddalonej od ulicy Ferraz o kilka przecznic. Na dachach i tarasach słychać było pospieszne kroki milicjantów szukających powstańców, którzy stamtąd strzelali.

Don Josemaría pomyślał o tym, by zacząć prowadzić dziennik. Zapisy miały być w telegraficznym skrócie, nie miał bowiem ochoty rozpisywać się o szczegółach wydarzeń. W poniedziałek 20 lipca sporządził pierwszą zapiskę:

Poniedziałek, 20. – Boję się o wszystkich, zwłaszcza o Ricardo. – Modlimy się do Najświętszej Pani i do Aniołów Stróżów. – Około pierwszej robię znak Krzyża i wychodzę pierwszy. – Docieram do domu mojej matki. – Rozmawiam przez telefon z Juanem. – Radiowe wiadomości. – Wszyscy dotarli

*szczęśliwie. – Ciężka, gorąca noc. –
Trzy części rózańca. -Nie mam
brewiarza. – Milicjanci na
tarasach[23].*

W tych podsumowujących uwagach ujawniają się uczucia wobec zachodzących wydarzeń oraz troska o los jego dzieci, a zwłaszcza o Ricarda Fernándeza Vallespína, którego wydarzenia zastały w Walencji. Tegoż 20 lipca w poniedziałek ksiądz Josemaría odprawił mszę w akademiku, nie przypuszczając, że przez bardzo długi czas nie będzie miał okazji, by zrobić to znowu. Z notatek tego krótkiego dziennika, który kończy się na sobocie 25 lipca, wiemy, co zaprzętało jego myśli i serce: *Wtorek, 21 – Bez mszy. Środa, 22 – Bez mszy. Czwartek, 23 – Komunie duchowe. Bez mszy! Piątek, 24 – Bez mszy!*

W czwartek znalazł w domu mszał i zaczął codziennie, z pobożności,

odprawiać suche msze. (Odprawiając obrzędy Mszy Świętej, z całym skupieniem i pobożnością odmawiał wszystkie modlitwy liturgiczne z wyjątkiem Przeistoczenia, z braku chleba i wina, a dochodząc do Komunii odmawiał komunię duchową)[24].

To był bardzo niespokojny tydzień. Cała Hiszpania przeżywała godziny tragicznej niepewności. Nie było łatwo zorientować się w sytuacji kraju. Żadna informacja, ani radiowa, ani prasowa, nie była wiarygodna. Don Josemaría dzwonił we wtorek do zakładu pogrzebowego znajdującego się naprzeciwko klasztoru Świętej Izabeli. Tak dowiedział się, że kościół został spalony. Wraz z tą informacją nagle przypomniało mu się, że cztery lub pięć lat wcześniej, gdy wychodził ze Świętej Izabeli, w jego umyśle zagnieździło się pochodzące od Boga przecucie, że kościół zostanie

spalony[25]. Niestety los klasztoru Świętej Izabeli nie stanowił wyjątku. Część madryckich kościołów już spłonęło, a wedle informacji przyniesionych przez Juana Jiméneza Vargasa pozostałe uległy konfiskacie. W notatce ze środy 22 lipca czytamy: *Mówią, że aresztują księży.*

Bez zbytniego trudu, mając w pamięci sceny z koszar de la Montaña, rozumiał, na jakie niebezpieczeństwo wystawieni są duchowni. Jeszcze w tym tygodniu rozpoczęło się gwałtowne polowanie na księży i zakonników, po to, by wtrącić ich do więzienia, albo po prostu umęczyć. Opustoszały klasztory i plebanie[26]. Jediną możliwością ratunku było ukrycie się. W mieszkaniach znajdujących się na niższych kondygnacjach budynku, w którym mieszkała donia Dolores, ukrywali się jedna zakonnica i jeden augustianin[27]. Don Josemaría

zdwoił modlitwę i pokutę, jak nam przekazuje jeden z wierszy jego dziennika: *Modlitwa: Pan, Najświętsza Panienska, Święty Józef, Aniołowie Stróże, Święty Jakub.*

Szukając w mieszkaniu, znalazł *Euchologium Rzymskie*, z pomocą którego mógł odmówić oficjum za zmarłych. Całą rodziną rozpoczęli odmawianie nowenny do Najświętszej Maryi Panny del Pilar. Ponieważ zaczęły się straszliwe upały don Josemaría rozpoczął walkę ascetyczną z pragnieniem: *Nie pić wody w intencji wszystkich, zwłaszcza naszych* – zanotował w środę. Ojciec starał się wciąż o uzyskanie wiadomości na temat swoich synów. Poprosił, by Juan wysłał kilka pocztówek do Walencji, aby uspokoić Ricarda Fernández Vallespína oraz Rafaela Calvo Serrera i dowiedzieć się czegoś o ich losie.

Don Josemaría chciał przenieść się z powrotem na Ferraz, ale Juan, który każdego dnia przychodził ze swego domu do donii Dolores, uświadomił mu niebezpieczeństwo, na jakie się narażał, gdyż musiałby przejść przez wiele kontroli patroli rewolucyjnych. Nie mógł jednak pracować, gdyż dokumenty i papiery Dzieła przechowywał w zamkniętej na klucz skrzynce, w mieszkaniu przy ulicy Doctor Cárceles. Klucz zaś pozostał na Ferraz. W czwartek Juan i Isidoro podjęli się pójść do akademika i przynieśli Ojcu klucze, teczkę oraz dowód osobisty, który był jedynym dokumentem tożsamości, jaki miał^[28]. Ksiądz był gotów na wszystkie nieprzewidziane zdarzenia, jeśli musiałby pośpiesznie opuścić dom matki. Zapuścił też wąsy, aby go nie rozpoznano.

Nadeszła sobota, 25 lipca, dzień, na którym kończy się dziennik. Ani rząd republikański, ani powstańcy nie

wiedzieli, na którą stronę przechyli się szala zwycięstwa. Losy walki nie były rozstrzygnięte. Obie strony uwikłane zostały w trudną do opisaną walkę, zaś mapa kraju została między nie przypadkowo podzielona. Naród stanął w obliczu wojny domowej. Hiszpanie podzielili się w gorącym i emocjonalnym konflikcie.

Radio Madryt nieustannie emitowało informacje podawane do wiadomości publicznej przez rząd. Ogłaszano klęskę powstania wojskowego, poddanie się buntowników, zbombardowanie i całkowite zniszczenie tych, którzy jeszcze stawiali opór zwycięskim siłom Republiki. Aby oddalić od matki myśli o katastrofie i klęsce, ksiądz Josemaría starał się ją rozerwać, grając z nią w karty albo umożliwiając jej słuchania Radia Sewilla[29]. Przemówienie generała Quiepo de Llano*, zapowiadające

szybkie wejście do Madrytu sił powstańczych, które miały zamiar wyzwolić stolicę, wniosło, choć złudną, odrobinę optymizmu[30]. W tych dniach nie myślano jeszcze o wojnie domowej, lecz o wojskowym zamachu stanu i o represjach ze strony oddziałów rewolucyjnych.

Rano w sobotę 25 lipca, ledwie Juan wszedł do hallu akademika przy ulicy Ferraz w poszukiwaniu jakichś dokumentów, gdy wtargnął do środka patrol anarchistów, wśród których znajdowali się kucharz i szofer poprzedniego właściciela domu, hrabiego del Real. Milicjanci prawdopodobnie nie wiedzieli, kto był nowym właścicielem. Przeszukali dom. W pokoju zajmowanym przez Ojca znaleźli sutannę, kapelusz i inne przedmioty, między innymi włosiennice i zakrwawione dyscypliny, które jasno świadczyły o tym, że mieszkał tutaj ksiądz. Na pytania prowadzących przeszukanie

Juan odpowiadał niezbyt jasno, ale aby jakoś się ratować dał do zrozumienia, że jest to akademik dla studentów medycyny (milicjanci znaleźli czaszki i szkielety w czytelni), że właściciel jest cudzoziemcem i że kapelan tu nieczęsto bywa[31].

Przerywając rewizję, ogłosili, że konfiskują budynek w imieniu CNT (*Confederación Nacional del Trabajo* – Narodowa Konfederacja Pracy, syndykat anarchistyczny) i udali się do domu Juana, aby tam kontynuować rewizję, która mogła się okazać znacznie bardziej niebezpieczna niż ta w akademiku, gdyż w swojej sypialni Juan miał skrzynkę zawierającą notatnik z adresami studentów przychodzących do akademika oraz inne dokumenty, których posiadanie równało się z wyrokiem śmierci[32]. Przeszukanie jego pokoju było szczegółowe, ale w niewytłumaczalny sposób milicjanci

nie zauważyli skrzynki, którą zasłoniły otwarte drzwi szafy. Jednak na koniec postanowili zabrać Juana ze sobą. W okresie terroru oznaczało to, że idą z nim „na spacer”, albo innymi słowy, że zamierzają go rozstrzelać. Było to na porządku dziennym i leżało w kompetencjach takich patroli. W tym momencie w dramatyczny sposób wtrąciła się matka Juana. Z niewiadomej przyczyny dowódca anarchistów, trzymający pistolet w ręku, zmienił nagle zdanie. Wytłumaczył: „My nikogo nie mordujemy. Ci, co mordują to socjaliści. To mamy – pokazał pistolet – tylko na wszelki wypadek... Niech zostanie!”[\[33\]](#).

Tego wieczora Juan i Álvaro del Portillo rozmawiali o wydarzeniach ostatnich dni, zastanawiając się, jak to się może wszystko skończyć. „Jeśli zwycięży rewolucja komunistyczna – twierdzili – nie będziemy mogli tu zostać i trzeba będzie zorganizować

akademik za granicą”[34]. Obaj byli zdecydowani kontynuować Dzieło, jeśli zabraknie założyciela: *Dzieło Boże ma wypełnić Wolę Bożą. Dlatego miejcie głębokie przekonanie, że Niebo jest zaangażowane w to, by się dokonało*[35]. Opierając się na tym prostym rozumowaniu, mieli nadal jasne i pełne nadziei przekonanie, że Ojcu nic się nie przydarzy[36]. Rzeczywiście wszyscy członkowie Dzieła w okresie prześladowań religijnych wielokrotnie w cudowny, lub jeśli ktoś woli niezwykły i niewytłumaczalny sposób ratowali się z rąk oprawców.

Don Josemaría, poza łaskami założycielskimi, miał ludzkie cechy, które pomagały mu zmierzyć się z tą trudną sytuacją historyczną, prowadząc w sposób odważny i naturalny działalność apostołską właściwą jego misji. Pan niewątpliwie obdarzył tego młodego kapłana spokojem wewnętrznym, a

nawet niezwykłą odwagą, konieczną w warunkach, w jakich sprawował swoją posługę. W Katarzynkach przedstawia jako wydarzenie wyjątkowe, będące potwierdzeniem tego daru, jedną z nielicznych sytuacji, gdy nie potrafił zapanować nad strachem. Był to jak pisze *fizjologiczny, dziecinny strach przed pozostaniem w nocy w ciemnym Kościele*. Zdarzyło się to w 1930 roku w Patronacie Chorych. *Głupi strach*, na który nie było sposobu i który nie pozwolił mu zbliżyć się do tabernakulum. *Aż pewnej nocy po powrocie z Akademii odczułem wewnętrzny impuls: „Idź, nie bój się. Już nie będziesz się bał”*. *Nie usłyszałem tych słów, ja je poczułem, te lub bardzo podobne. Na pewno w tym sensie. Poszedłem do ciemnego kościoła. Palila się tylko lampka przy Najświętszym Sakramencie. Podeszedłem do tabernakulum. Oparłem czoło o ołtarz. I nigdy więcej już nie czułem strachu[37].*

Ksiądz Josemaría, wolny od tej pory od uczucia strachu, emocji, która mąci osąd i krępuje wolę, mógł w pełni poświęcić się swojej działalności, chociaż był wystawiony na kpiny, oszczerstwa i kamienowanie. Postać tego kapłana, otulona w płaszcz, była bardzo znana na niektórych przedmieściach Madrytu, gdzie chodził odwiedzać chorych i prowadzić katechezy. W każdym razie don Josemaría potrzebował znacznej odwagi, by nadal sprawować swoje zadania kapłańskie tak, jakby nastroje na ulicy zupełnie się nie zmieniły.

Chociaż był wolny od tego typu strachu, który uniemożliwia działanie, w ciągu miesięcy, które nastąpiły po ustanowieniu Republiki musiał przezwyciężyć nienawiść, którą można było spotkać wówczas wszędzie. *Boże mój!* – pytał – *Skąd tyle nienawiści do Twoich sług?***[38]** Kapłan, który uczynił postanowienie,

by „ukamienować zdrowaškami” tych, którzy rzucali obelgi i grubiaństwa pod jego adresem – odpłacając miłością za nienawiść – starał się oczyścić swoje uczucia. Wcześniej się obrażał. *Teraz, słysząc te niegodziwe słowa, aż się cały wzdragam***[39]** – czytamy w Katarzynie z września 1931.

W tym samym roku 1931, po kilku tygodniach ponowił postanowienie kapłańskie, którego dotrzymał do końca życia: *Powinienem mówić tylko o Bogu***[40]**. Ale zaangażowany w realizację Bożego planu, który powinien przeprowadzić pośrodku świata, don Josemaría w ciszy znosił obelgi, jakie spotykały go codziennie na ulicach. Zanurzony w rzeczywistości społecznej, ponad i poza wszelkimi ideologiami politycznymi, założyciel Opus Dei wykonywał swą misję od 1931 do 1936 roku pośród burzliwej atmosfery, pełnej narastającej

nienawiści. Przyszło mu przeżyć cały ciąg dramatycznych sytuacji, które teraz zdawały się osiągać niewytłumaczalne apogeum. Wydawało się, że po wybuchu beczki prochu, jaką była narastająca niechęć, cały kraj pogrążał się bezpowrotnie w otchłani zła. Dla dopełnienia nieszczęść, sam tak pełen zapału, był otoczony ludźmi, którzy z różnych przyczyn albo też omamieni propagandą, myśleli, że rozwiązanie problemów nadejdzie w wyniku zniszczenia przede wszystkim Kościoła Chrystusowego.

Dzieło Boże – napisał założyciel – *nie zostało wymyślone przez człowieka, aby rozwiązać tragiczną sytuację Kościoła w Hiszpanii po 1931 roku*^[41]. Zachowywał więc swoje siły, aby wypełnić wiernie inne zadanie, większe, o znaczeniu uniwersalnym i wiecznym, które zostało mu powierzone 2 października 1928 roku.

Donia Dolores, pragnąca pokoju, w rozmowach z rodziną przepowiadała, że w święto Świętego Jakuba Apostoła, patrona Hiszpanii, wszystko wróci do normy. W dzienniku znajdujemy wezwanie do apostoła: *Sobota, 25 – Święty Jakubie, broń Hiszpanii!*[\[42\]](#).

Na początku sierpnia rewolta trwała w całej Hiszpanii i nigdzie sytuacja nie była jasna. Walki trwały w poszczególnych regionach i miastach, jasne było, że w momencie powstania nastąpił rozłam w dowództwie armii. To, co wojskowi powstańcy planowali jako szybkie przejęcie władzy przez wojsko zamieniło się w krwawą walkę, która miała charakter jednocześnie wojny domowej i rewolucji. Rzeczywiście, konspiracja wojskowa w wielu miejscach poniosła porażkę. Dowództwo sprawowały w większości osoby stojące po stronie rządu republikańskiego, zwłaszcza w

Madrycie i Barcelonie, gdzie stacjonowały najliczniejsze jednostki. Jednak z drugiej strony, w wielkich regionach wiejskich: Galicji, Leonie, Kastylii, Nawarrze i Aragonii ludność z entuzjazmem przyłączyła się do powstania. Skutek był zupełnie niespodziewany. W strefie republikańskiej władza, teoretycznie spoczywająca w rękach rządu, w praktyce przeszła w ręce związków zawodowych i lokalnych komitetów milicji republikańskich działających przy partiach. Natomiast w tzw. strefie narodowej siły poszczególnych miejscowości zaczęły skupiać się pod władzą powstańczych zarządów wojskowych.

W miarę jak mijały dni, rozwiewały się nadzieje na szybkie zakończenie konfliktu. Obawiano się, że będzie się on przeciągać do końca lata. W całym Madrycie przeprowadzano rewizje w poszukiwaniu

podejrzanych osób. Odbывwały się one zwykle u osób znanych z ich działalności politycznej bądź na skutek doniesień. Najokropniejsze były te dokonane przez milicje na podstawie informacji sąsiadów lub portierów[43], którzy znali miejsca zamieszkania i ruchy swoich lokatorów. W domu, w którym mieszkała donia Dolores, w mieszkaniu piętro niżej służyła kucharka komunistka, osoba niegodna zaufania. Wiedziała ona prawdopodobnie, że piętro wyżej ukrywa się ksiądz. Mając to na względzie, kapłan na wszelki wypadek gotów był do ucieczki o każdej porze dnia i nocy. Jakby tego było mało, nie miał żadnych legitymacji partyjnych i związkowych, a jedynie one mogły coś znaczyć dla milicyjnej kontroli. Donia Dolores dała mu tylko obrączkę, która została po don José, by milicjanci myśleli, że jest żonaty.

Jej syn nosił tę obrączkę jak świętą relikwię odziedziczoną po ojcu [44].

Po dwóch tygodniach od chwili, gdy schronił się w mieszkaniu matki, w okolicy pojawiły się patrole dokonujące rewizji. Prawdopodobnie 8 sierpnia zdarzyło się coś, czego najbardziej się obawiali. Wczesnym rankiem portier zawiadomił ich, że zaraz dojdzie do rewizji. Nie czekając na drugie ostrzeżenie ksiądz, wybiegł na ulicę, przygotowany na długą drogę krzyżową. Zaczęło spełniać się jego przeczucie, że z początkiem sierpnia 1936 roku Pan postanowił zesłać nań krzyż. Zostało to zapisane w *Zapiskach*, kilka tygodni wcześniej, gdy nie mógł sobie nawet wyobrazić, w jaki sposób do tego dojdzie: *ofiara! na Krzyżu bez widzów*[45].

Tego dnia, 8 sierpnia, włóczył się po całym Madrycie, mogąc wpaść w ręce jakiegokolwiek posterunku milicji, który zaprowadziłby go do

więzienia. Potem późnym wieczorem poszedł się przespać w pensjonacie na ulicy Menéndez y Pelayo, gdzie mieszkał José María Albareda, młody wykładowca poznany w akademiku przy Ferraz, który odwiedził Ojca w czwartek 23 lipca w domu przy Doctor Cárceles, wraz z Juanem i Isidoro Zorzano.

Następnego dnia tak, jak wcześniej zaplanował, przeniósł się do domu Manola Sainza de los Terreros, który mieszkał przy ulicy Sagasta 31[46]. (Manolo był tym młodym człowiekiem, który rozpoczął kierownictwo duchowe u Ojca w czerwcu 1933 w domu przy Martínez Campos, „niczego nie ukrywając” pokazał mu swą duszę). Było południe, kiedy don Josemaría mógł wejść do mieszkania tak, by nie zorientował się portier. Tego samego wieczoru zjawił się tam Juan Jiménez Vargas. Rodzina Manola wyjechała na wakacje, mieszkał więc chwilowo

sam wraz z Martiną, starą służącą, głuchą i powolną. Dwaj nowi goście musieli pozostać w zupełnym ukryciu, ze wszystkimi tego skutkami, tak by nic o nich nie wiedzieli sąsiedzi, a zwłaszcza portier, który odpowiadał za informowanie domowego komitetu politycznego o wyjściach i przyjściach lokatorów. Musieli więc poruszać się bardzo ostrożnie, aby uniknąć niespodzianek. Manolo albo Martina robili zakupy, starając się zrobić wrażenie, że jest to jedzenie na dwie osoby, chociaż miało starczyć dla czterech. Manolo, człowiek zdecydowany i energiczny, nie dawał się łatwo przestraszyć, jednak od lipca, gdy w więzieniu osadzono jego brata, mieszkanie było znane milicji. W tym czasie przeszukania nabrały charakteru systematycznego. Po dwóch dniach od chwili, gdy Ojciec zamieszkał u Manola, w budynku pojawili się znowu milicjanci, którzy

przeszukiwali inne mieszkanie, gdzie poprzednio znaleźli hrabiego de Leyva[47].

Wraz z przybyciem don Josemaríi w domu zapanował porządek.

Zaprowadzony został porządek praktyk pobożności, czas na pracę i na posiłki. Najbardziej martwiło Ojca to, że nie miał wiadomości o swoich dzieciach. Można sobie wyobrazić jego radość, gdy w połowie sierpnia Manolo odebrał z akademika przy Ferraz kilka listów, które wręczył mu portier. Jeden z nich był od Pedra Casciaro. Wkrótce potem, 25 sierpnia, trafił do jego rąk list od Ricarda zaadresowany do Isidora, wysłany z Walencji, w którym donosił, że nic mu się nie stało. Ojciec za pośrednictwem Manola lub Isidora kontaktował się z tymi, którzy przebywali w Madrycie oraz z donią Dolores, chociaż ta wolała nie wiedzieć dokładnie, gdzie znajduje się jej syn[48].

Wkrótce po ucieczce don Josemaríi, dom, w którym mieszkała jego matka, został kilkakrotnie poddany rewizjom, których tak bardzo się obawiali. Aresztowano kilka osób z rodziny, u której służyła wspomniana komunistka. Przy innej okazji milicjanci przetrząsnęli wszystkie mieszkania z wyjątkiem mieszkania donii Dolores. Zerwali nawet plomby założone przez ambasadę brytyjską na mieszkaniu, którego właścicielka, Angielka, opuściła Hiszpanię po wybuchu rewolucji[49]. Donia Dolores i jej dzieci wstrzymywały oddech za każdym razem, gdy słyszeli tupot nóg milicjantów na schodach. Chociaż wydaje się to dziwne, nigdy nie przeszukano mieszkania Escrivów.

W mieszkaniu przy Doctor Cárceles została skrzynka pełna prywatnych notatek i dokumentów dotyczących Akademii i działalności apostolskiej. Don Josemaría zaufał całkowicie

Bogu oraz donii Dolores, że „zachowa kluczyk i nie wyda go za nic w świecie”[50]. Jednak Carmen i Santiago, bojąc się, że znajdują się tam informacje, które mogą zaszkodzić osobom trzecim, zabrali klucz matce. Rzeczywiście, wśród papierów znaleźli zeszyt z nazwiskami, adresami i telefonami i uznali za roztropne spalić go.

Podczas przeglądania zawartości skrzynki Santiago natknął się na pisma duchowe o dużej wartości, o których wspomina: „Wówczas to – informuje nas – przeczytałem dziennik, który Josemaría prowadził od wielu lat. Pamiętam, że to były zeszyty w czarnych okładkach”. Chodziło oczywiście o *Zapiski wewnętrzne* założyciela Opus Dei[51]. Ta skrzynka, pozostawiona pod opieką Opatrzności i pełną miłości strażą donii Dolores, zawierała istotną część ducha i krótkiej historii Dzieła. Na ulicy Doctor Cárceles

skrzynka rozpoczęła swą odyseję, trwającą całą wojnę, przetrzymując przeprowadzki i rewizje.

(W trzy lata później założyciel Opus Dei poczuł się tak, jakby spotkał starego znajomego: *Madryt, 13 kwietnia 1939: Po upływie niemal trzech lat wróciłem do moich Katarzynek w zeszycie, którego nie skończyłem w lipcu 1936. Jezus zechciał, w niezwykle sposób, żeby zachowało się nasze archiwum. To moja matka i Carmen posłużyły mu za narzędzia*)[52].

W mieszkaniu przy ulicy Sagasta Ojciec żył bardzo samotnie, nie mając innego towarzystwa prócz Juana, gdyż Manolo zdecydował nie przyjmować wizyt, by za wszelką cenę zachować pobyt swych gości w tajemnicy. Pewnego dnia, porzucając tak ściśle środki ostrożności, przedstawił ich dwu uciekinierom, którzy skrywali się piętro niżej,

jednak nie zdradził im, że don Josemaría jest księdzem. Nie musiał tego robić. Widząc, z jaką swobodą don Josemaría mówił o kwestiach religijnych, odkryli szybko, kim jest. Życzył sobie tego sam ojciec, chcąc sprawdzić, czy nie potrzebują wsparcia duchowego. Jeden z nich, Pedro María Rivas, podówczas madrycki adwokat, a potem zakonnik, wspomina, że „w trakcie wojny znać było po nim wielką cierpliwość i wielki spokój ducha”[53].

Goście lubili rozmowy z don Josemarią, dlatego też często wchodzili piętro wyżej, do mieszkania Manola, aby z nim pogawędzić. W przypadku alarmu goście wiedzieli dobrze, co mają robić. Gdy słyhać było walenie do drzwi, mieli uciec schodami dla służby. W tym czasie Martina bez zbytniego pośpiechu przygotowywała się do otwarcia

drzwi. Tłumacząc się swoją głuchotą, zatrzymywała gości, nie pozwalając nikomu wejść. Jeśli był to ktoś niebezpieczny, umówionym sygnałem było podniesienie głosu, tak by intruzi się przedstawili, co pozwoli uciekinierom wspiąć się schodami służbowymi na poddasze.

28 sierpnia Manolo przyprowadził do mieszkania swego kuzyna – Juana Manuela. W niedzielę 30. rano wtajemniczyli go, jakie środki ostrożności należy podjąć na wypadek rewizji. Instruowali go nie przewidując, jak bardzo to się przyda. W kilka godzin później, kiedy Manolo był poza domem, a Martina przygotowywała posiłek w kuchni, usłyszeli krzyki na schodach i wkrótce potem dźwięk dzwonka u drzwi. Ostrożnie wszyscy trzej – Ojciec, Juan oraz Juan Manuel - wycofali się na schody dla służby, podczas gdy Martina powoli kierowała się w stronę drzwi.

Milicjanci próbowali wejść, mówiąc, że mają dokonać tu rewizji, a Martina odpowiadała, krzycząc, stosownie do swojej roli osoby głuchej: „Nie ma tu nikogo. Jestem głucha. Nic nie słyszę”.

Wszyscy trzej wspięli się schodami na poddasze i weszli w pierwsze otwarte drzwi. Było to niewielkie pomieszczenie, połączenie stryszku ze składzikiem węgla. Szli schyleni, gdyż pomieszczenie było tak niskie, że nie można się było wyprostować. Wczesnym popołudniem panowało tam gorąco nie do wytrzymania. Siedzieli w kurzu, wśród pajęczyn i węglowego pyłu. Siedzieli nieruchomo, czekając na koniec rewizji. Jakikolwiek hałas mógł ich zdradzić, a jeśli zostaliby odkryci, najprawdopodobniej rozstrzelano by ich[54]. Minęło kilka godzin, kiedy usłyszeli, że przeszukanie odbywa się piętro niżej. Ojciec, mając wątpliwości, czy Juan Manuel, który

był z nimi niecałe dwa dni, wie, że on jest księdzem, powiedział do niego: - *Jestem księdzem*. A potem zwracając się do obu – Juana i Juana Manuela – *Znajdujemy się w ciężkim położeniu. Jeśli chcecie, uczynicie w sercu akt skruchy a ja udzielę wam rozgrzeszenia*[55].

Juan Manuel przyjął rozgrzeszenie. Ta chwila zaciążyła nad jego wspomnieniami z całego tego okresu: „Nie mogłem zapomnieć mego spotkania z don Josemarią – wyznaje – wszyscy już myśleliśmy, że nadeszły nasze ostatnie chwile [...]. Okazał wielki hart ducha, przyznając się przede mną, że jest księdzem, ponieważ mogłem go zdradzić i w chwili, gdyby nas znaleźli, mogłem próbować ocalić życie, wydając go”[56].

W chwilę po tym, jak przyjął rozgrzeszenie, Juan zapytał Ojca:

- A jeśli nas złapią, co będzie?

- No więc synu, pewnie pójdziemy do Nieba.
- *Ale będąc sam w obcym domu, co powiem, jeśli ktoś przyjdzie z wizytą lub zadzwonią do mnie?*
- Proszę się nie martwić. Jest tam służąca, kobieta, do której można mieć zupełne zaufanie, która zapewni Ojcu wszystko, czego Ojcu będzie trzeba.
- *A w jakim ona jest wieku?*
- Jakieś dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata.
- *Synu mój, czy nie wiesz, że jestem księdzem i że w trakcie wojny i prześladowań, wszyscy mamy zszargane nerwy? Nie mogę ani nie chcę zostać zamknięty sam na sam z młodą kobietą, całymi dniami i nocami. Cały oddałem się Bogu, On jest ponad wszystko. Wolałbym umrzeć niż obrazić Boga, niż zawieść słowo, które dałem Miłości.*

- *Widzisz ten klucz, który mi dałeś przed chwilą? Wrzucę go do studzienki ściekowej.*

(W tym miejscu Juan w swoich pamiętnikach czyni charakterystyczną dygresję na temat rodzaju strachu, jaki odczuwał. Nie był to strach przed rozstrzelaniem, lecz taki rodzaj leku, który jednocześnie nie odbierał mu spokoju. „Razem z Ojcem czułem się pewnie, czułem, że nie ma się czego bać, i aby to wrażenie udzieliło się innym, o trzeciej zdrzemnąłem się chwilę”)[57].

Podczas gdy spał spokojnie, pełen tak altruistycznych intencji, milicjanci starannie, od góry do dołu przetrząsali dom. Czynili to tak dokładnie, że nie starczyło im czasu, by zajrzeć na poddasze. Około dziewiątej wieczorem w końcu ustały hałasy. Ostrożnie cała trójka zeszła po schodach i zadzwoniła do wejścia

dla służby na czwartym piętrze po lewej stronie, do hrabiów de Levya. Otworzono im. Weszli zlanii potem, spragnieni, pokryci kurzem i pyłem węglowym. Poprosili o szklanę wody. Tam ich powiadomiono, że Manolo wrócił do domu w samym środku rewizji i został aresztowany, a mieszkanie zamknięte na klucz.

Gospodarze zaproponowali im ubrania hrabiego, który znajdował się w więzieniu. Wielkodusznie zaproponowano im, że mogą zostać, gdyż można było się spodziewać, że przez jakiś czas nie będzie nowych rewizji. Okazało się to nieprawdą. Następnego dnia, o ósmej rano, znowu pojawili się u drzwi milicjanci, kontynuując pedantyczne przeszukanie z dnia poprzedniego. Weszli do mieszkania obok, na czwartym piętrze po prawej stronie oraz do mieszkania piętro niżej. „Chwilami baliśmy się strasznie, ale Ojciec, jak zwykle, zachowywał

dobry humor, rozśmieszając nas bardzo, chociaż martwił się bardzo o swoich bliskich”[58]. W jednej z takich chwil zagrożenia, hrabina[59] zaproponowała, by odmówić różaniec. Natychmiast odezwał się Ojciec: *Ja poprowadzę, przecież jestem księdzem*[60]. Mając na względzie powtarzające się w tym rejonie rewizje, uznali za konieczne zmienić kryjówkę[61]. Dwie służące hrabiny udały się na spotkanie z José Marią Gonzálezem Barredo, aby ten poszukał miejsca, gdzie Ojciec mógłby się schronić. Jedynym możliwym azylem, jaki udało mu się znaleźć, był dom rodziny Herrero Fontana, którego dwu synów znało don Josemarię i dla których był on kierownikiem duchowym. Rodzina ta mieszkała na półpiętrze w domu na placu Herradores pod numerem 4.

Podczas przenosin, które wydawały się bezpieczne, trafili prosto w paszczę lwa. Pewnej nocy plac

Herradores został nagle otoczony przez patrole policji i milicjantów, którzy nakazali portierom wszystkich domów wokół placu otworzyć drzwi, aby dokonać dokładnych przeszukań we wszystkich mieszkaniach, czemu towarzyszyły wielkie zamieszanie i wrzawa. Z niewytłumaczalnych przyczyn portier spod czwórki nie otworzył. Co jeszcze dziwniejsze, milicjanci nie starali się sforsować bramy siłą.

Dla Juana był to jeden z wielu znaków, które wskazywały, „że Ojciec znajdował się pod szczególną opieką, jeszcze jedna z przygód, za którymi stali Aniołowie Stróże”[62]. Wobec takiej opieki niewiele mogły zdziałać milicyjne patrole. „Ani milicjanci, ani nic innego” – myślał Juan Jiménez Vargas za każdym razem, gdy ustrzegli się śmierci. Z kolei młody ksiądz był zmuszony krążyć od domu do domu, żebrząc o schronienie, nie

wiedząc, jak i gdzie go przyjmą. Strach przed ukrywaniem księdza, za które groziło więzienie lub śmierć męczeńska, sprawiał, że wielu dobrych chrześcijan zamykało przed nim drzwi. Pielgrzymka w poszukiwaniu kryjówki „była ciężkim przeżyciem, ponieważ nie tylko towarzyszyło jej uczucie fizycznego opuszczenia”, ale także wywoływała uczucie kompletnej bezradności[63].

Szczęśliwie podczas tej próby don Josemaría czuł, że Bóg mu towarzyszy. Nosił głęboko w sercu radość i pokój, w czasie gdy na zewnątrz towarzyszyły mu niepewność i opuszczenie. W niewypowiedziany sposób zachodziły w jego wnętrzu przeciwne zjawiska: nad pokojem panującym w jego duszy ciążyło strapienie wywołane niepewnością, zaś chłód samotności rozgrzewało ciepło jego optymizmu. W

poszukiwaniu schronienia Pan pozwolił mu doznać bolesnego uczucia osamotnienia: osamotnienia tych, którzy nie mieli domu, osamotnienia ubogich, którzy nie mają gdzie złożyć głowy, osamotnienia prześladowanych, którzy nie mają kryjówki, osamotnienia członków Dzieła w niebezpieczeństwie: jednych uciekających, innych uwięzionych, a jeszcze innych samotnych.

Bezowocnymi okazały się zabiegi podjęte w domach przyjaciół i znajomych, jedna z córek hrabiów de Levya starała się o przyjęcie go w ambasadzie Kuby. Pewnego dnia w końcu ksiądz, zmęczony i pozbawiony stałego schronienia, poszedł do domu don Álvara Gonzáleza Valdésa, ojca José Marii Gonzáleza Barredy, na ulicy Caracas 13.

Terror rewolucyjny stale narastał. Korzystając z list członków wszelkiego typu organizacji – politycznych, kulturalnych, sportowych lub religijnych, na podstawie doniesień sąsiadów, kolegów, portierów lub osobistych wrogów, utworzono długie listy nazwisk ludzi poszukiwanych[64]. Z tego powodu prześladowani zmieniali swoje miejsce pobytu tak szybko i w tak głębokiej tajemnicy, że często mijały całe tygodnie, zanim rodzina dowiedziała się o nowym schronieniu.

Taki był też los Álvара del Portillo, który wraz z jednym ze swoich braci zdołał się schronić w domu znajdującym się przy ulicy Serrano, a którego właściciel był przyjacielem rodziny. Ukrywał się już miesiąc, gdy – na początku września – musiał pójść do *Jefatura de Puentes y Cimentaciones**, gdzie pracował przed wojną, aby pobrać zaległe

pensje. Już z pieniędzmi w kieszeni postanowił napić się piwa w „La Mezquita”, barze znajdującym się na placu Alonso Martínez. Nie wziął pod uwagę, że siedząc przy stoliku na zewnątrz, mógł zostać wylegitymowany, a nie miał odpowiednich dokumentów. Na szczęście to nie policjant, lecz don Álvaro González Valdés podszedł do niego i powiedział: „Dzięki Bogu, że cię widzę! Czy wiesz, kto jest u mnie w domu? Ojciec! Poprosił mnie, żebym mu pozwolił chwilę wytchnąć, ponieważ już nie może, ledwie trzyma się na nogach. Ale chodzi o to, że nie można ufać portierowi i jeśli się domyśli, wszyscy będziemy w niebezpieczeństwie”[65].

Można było temu łatwo zaradzić. Natychmiast poszli na ulicę Caracas i Álvaro zabrał ojca ze sobą. W kilka dni potem dołączył do nich Juan Jiménez Vargas. W tym domu położonym niedaleko ulicy Serrano

spędzili w spokoju pozostałe dni września. Dom znajdował się w sąsiedztwie Generalnej Dyrekcji Bezpieczeństwa (*Dirección general de Seguridad*). Właściciel wywiesił na balkonie papierową flagę argentyńską, która mogła ich ochronić. Każdy środek ostrożności mógł okazać się przydatny. W łączności ze światem zewnętrznym i robieniu zakupów pomagała im kucharka poprzednich mieszkańców, starsza kobieta, której nie zamykały się usta, oraz Selesio, szofer, który zjawiał się tam od czasu do czasu.

Ojciec prowadził medytacje i odprawiał dla ukrywających się „suche msze”. Dla zapełnienia czasu, ponieważ nie mieli książek do czytania, zabawiali się rozmową, starając się nie popadać w beczynność. Za ścianą działała radiowa stacja nadawcza Generalnej Dyrekcji Bezpieczeństwa, przez cały

czas przekazując informacje dla policji.

Ojciec spędził tam trzy tygodnie, w towarzystwie Juana Jiméneza Vargasa, Álvara, i Pepego del Portillo. We względnym spokoju w tej kryjówce doczekali 1 października, wigilii ósmej rocznicy założenia Dzieła. Ojciec oczekiwał jakiejś łaski z Nieba, jednej z tych „kropli miodu”, którymi Bóg miał zwyczaj osładzać jego wysiłki apostolskie, zsyłając mu kolejne powołania. I tym razem z wielką nadzieją zastanawiał się, jaką to niespodziankę przygotował dla niego Bóg: *Álvaro, mój synu, jutro jest 2 października, jaką łaskę ma dla nas Pan?*[66]

Wkrótce się o tym dowiedział. Tego samego ranka przyszedł Ramón, drugi brat Álvara, przynosząc alarmujące wieści. Wszyscy znaleźli się w niebezpieczeństwie. Milicjanci mogli się tu zjawić w każdej chwili.

Już przeszukali mieszkanie właściciela tego domu i zamordowali sześć osób z jego rodziny, między innymi jednego księdza. Teraz zaczęli przeszukiwanie mieszkań znajomych i krewnych. Trzeba było opuścić schronienie. Flaga argentyńska nie była zabezpieczeniem, które by powstrzymało milicjantów. Zanim się rozdzielili, Ojciec udzielił im rozgrzeszenia i poczuł, że perspektywa męczeństwa przepełnia go dumą. Jednocześnie miał wrażenie, że duch w nim słabnie, że ciało odmawia mu posłuszeństwa, a ze słabości zaczęły się mu się trząść nogi ze strachu[67].

Oczekiwany dar od Pana polegał na tym, że kapłan mógł jasno i w namacalny sposób przekonać się, że cała jego siła była mu tylko powierzona. Łaskę, której oczekiwał 2 października, otrzymał już w przeddzień.

Szybko się pozbierał i ruszył na poszukiwania nowego schronienia. Ojciec zadzwonił do José Maríi Gonzáleza Barredo i umówili się na spotkanie w pasażu Castellana, na jednej z głównych arterii komunikacyjnych Madrytu, prowadzącej z południa na północ, położonej w pobliżu willi. Wyszedł na umówione spotkanie, lecz po krótkim czasie wrócił. Przyszedł tak zgnębiony, że już w drzwiach rozplakał się: - Ojczy, dlaczego Ojciec płacze? – zapytał go Álvaro.

Na ulicy spotkał osobę, która mu powiedziała o zamordowaniu don Lina Vea-Murguúi, księdza, z którym wspólnie odwiedzali szpitale i który opiekował się kobietami z Dzieła. Opowiedziano mu także szczegóły męczeństwa innego księdza, don Pedra Povedy, jego przyjaciela, o którego śmierci już wiedział[68].

Potem Ojciec wyjaśnił, dlaczego wrócił tak szybko. Rzeczywiście zobaczył się z José Marią Gonzálezem Barredo w umówionym miejscu na Castellana. Z wielką radością, że znalazł wspaniałe wyjście, Barredo wyciągnął z torby maleńki klucz i wręczył go don Josemaríi. Był to klucz od domu przyjaciół, którzy wyjechali z Madrytu. Portier był w dodatku człowiekiem godnym zaufania. Wszystko było w porządku. Czy mogły być jakieś zastrzeżenia?

Ojciec słuchał uważnie, by poznać wszystkie szczegóły:

Wtedy Ojciec wyciągnął klucz, który już schował do kieszeni i oświadczył:

Potem, aby podkreślić znaczenie tych słów, powiedział:

Jak powiedział, tak zrobił. Podszedł do kratki i wrzucił tam klucz[69].

2 października, wczesnym rankiem w pośpiechu opuścili kryjówkę. Był po temu najwyższy czas, ponieważ znienacka pojawili się milicjanci, aby przeszukać willę. Ojciec wraz z Álvarem poszedł do domu Juana.

Bez dokumentów, zdani na Bożą opiekę, zaczęli po raz kolejny pielgrzymkę. Wrócili wrócić na plac de Herradores, gdzie mieszkał Joaquín Herrero Fontana, wraz z siostrą, matką, donią Marianą i babką, obiema już owdowiałymi. Te kobiety poznały go, gdy był tu gościem kilka tygodni wcześniej. Wiele godzin tego dnia Ojciec spędził na modlitwie, polecając Bogu swoje dzieci. Wszystko szło dobrze, do chwili, gdy kiełkujący strach nie zmącił umysłu babki. Ta dobra kobieta zaczęła bez ustanku powtarzać: - Ksiądz w domu! Wszystkich nas zabijają. Ksiądz w domu! Wszystkich nas zabijają[70].

Nie było to zupełnie bezpodstawne. Dokuczliwa obsesja babki miała rzeczywiste przesłanki. Córka i wnuczka starały się ją uspokoić. Wszystko na nic. W tych okolicznościach nie było innego wyjścia niż pomyśleć o jak najszybszym przeniesieniu księdza.

3 października Ojciec, Álvaro i José María González Barredo siedzieli na chodniku na placyku Cuatro Caminos zniechęceni i zmęczeni, kiedy Barredo przyszła do głowy zbawienna myśl. Dlaczego by nie odwiedzić Eugenio Sellésa, młodego wykładowcy farmacji, który znał ojca z akademika przy Ferraz i nie omieszkał hojnie ofiarować im schronienia w swoim domu. Sellés wraz z żoną mieszkał w kolonii Albéniz, w Chamartín. Było to w pobliżu pętli linii tramwajowej z Ciudad Jardín. Później trzeba było pokonać pustkowie, na które nocami przychodziły patrole prowadzące

więźniów na rozstrzelanie. Drogę tą Ojciec pokonał wraz z Álvarem i José Marią pod wieczór następnego dnia, idąc naokoło, by uniknąć kontroli, które mogłyby zażądać dokumentów. José María przez chwilę został w domu Sellésów, a potem wrócił do Madrytu[71].

Młode małżeństwo bardzo skorzystało, obserwując dyskrecję, dobry humor i sympatię, jaką okazywali im dwaj goście. Każdego wieczoru wszyscy czworo na kolanach odmawiali różaniec. Na Sellésach szczególne wrażenie wywarło prostoduszne zaufanie księdza, który „całkowicie zawierzył Panu, nie okazywał śladu napięcia, jak gdyby nic szczególnego się nie działo”[72].

Cały czas nie przestawali szukać stałego schronienia dla Ojca. We wtorek, 6 października, Joaquín Herrero Fontana pojawił się późnym

wieczorem w domu Juana, aby go poinformować, że wszystko zostało przygotowane. Zarówno Juan, jak i Joaquín starali się już od kilku dni, by umieścić don Josemarię w klinice psychiatrycznej. Juan próbował to załatwić w kolonii Parque Metropolitano - bez skutku. Joaquín, który pracował w szpitalu Pogotowia Ratunkowego miał więcej szczęścia. Ponieważ miał dokumenty, które pozwalały mu w swobodny sposób poruszać się po Madrycie, odnalazł i rozmawiał z Ángelem Suilsem, swoim kolegą i krajanem z Logroño[73]. Doktor Suils kierował sanatorium dla umysłowo chorych. Powiedziano mu, kto ma być „chorym” i ustalono przyjęcie go do kliniki na następny dzień.

We wtorek wieczorem Ojciec i Álvaro opuścili dom Sellésów. Álvaro udał się na poszukiwanie innego schronienia, a Ojciec spędził noc w domu Joaquína[74]. 7 października o

10 rano obaj pojawili się w domu Juana. Stamtąd zabrał ich samochód, z którego korzystano w Pogotowiu Ratunkowym, prowadzony przez milicjanta.

Umieścili pacjenta samego na tylnym siedzeniu. Z przodu obok milicjanta usiadł Joaquín, który opisał okoliczności przewozu:

„Powiedziałem kierowcy, że człowiek z tyłu jest bardzo chory na umyśle, nie jest niebezpieczny, ale owładnięty potężnymi maniami. Trzeba go zabrać do sanatorium, żeby miał odpowiednią opiekę. Ojciec mówił sam do siebie i od czasu do czasu powtarzał, że jest doktorem Marañonem. Kierowca zaprotestował: <<Jeśli jest tak szalony, lepiej by było zastrzelić go i nie zawracać sobie głowy>>”[75].

Z tej uwagi możemy się tylko domyślać, jaka byłaby jego reakcja, gdyby dowiedział się, że „szaleniec” jest księdzem.

3. W sanatorium doktora Suilsa

Ojciec miał na sobie ciemnoniebieski garnitur, szary sweter i koszulę; nie miał jednak krawata. Tych, którzy nie widzieli go przez kilka ostatnich miesięcy zaskakiwało jego skrajne wychudzenie, jego wąsy i fryzura na jeża. Był tak ostrzyżony, że kiedy w sierpniu poszedł do fryzjera, ten na znak zadowolenia z wykonanej pracy, zauważywszy u niego na palcu obrączkę po zmarłym ojcu, powiedział mu: - Ale pańska żona to pana nie pozna![76] Dobytek świeżo przyjętego pacjenta był skromny: stary płaszcz, szczodrze ofiarowany przez matkę Herrero Fontany w przewidywaniu zbliżających się chłódów oraz trochę rozmaitej bielizny, ofiarowanej przez różne osoby[77].

Klinika, w której został umieszczony, znajdowała się w willi na peryferiach Madrytu, w strefie na wpół

zurbanizowanej, pełnej obszernych posesji oraz nieużytków. Budynek, świeżo wzniesiony, był trzypiętrowy i otoczony ogrodem. Na parterze mieszkali poważnie chorzy umysłowo, na pozostałych dwu piętrach - chorzy pozostający na obserwacji. Na papierze firmowym kliniki czytamy:

Sanatorium Psychiatryczne Ciudad Lineal

Dom wypoczynkowy i zdrowotny

Choroby umysłowe, nerwice, uzależnienia

Nowoczesne metody leczenia

Kierownik medyczny:

Doktor Ángel Suils

Arturo Soría 492. Tel.: 51188 Ciudad Lineal (Madrid)

Przy autostradzie aragońskiej[78].

Doktor Suils znajdował się w tym momencie poza kliniką. Z chorym rozmawiał jego asystent, doktor Turrientes, który, nie owijając w bawełnę, rzekł do don Josemaríi: „Proszę pana, ja wiem, że pan jest księdzem, ale tutaj trzeba bardzo uważać, gdy się mówi o takich rzeczach”[79]. Właśnie przyjmowany pacjent zachował dyskretne milczenie, nie obiecując niczego. Przestał powtarzać, że nazywa się doktor Marañon* i symulował, na własną odpowiedzialność, afazję** histeryczną. Te środki ostrożności pozwoliły mu bez ryzyka zapoznać się z nowym schronieniem.

Don Josemaría, który zajmował pokój o na pierwszym piętrze musiał strasznie przeżywać osamotnienie pierwszych dni. We wtorek 13 października Juan napisał w swoim dzienniku: „Kiedy zamierzałem wyjść z domu, zadzwonił lekarz dyżurny sanatorium. Ojciec czuje się

dobrze. Możemy go odwiedzić, jeśli chcemy [...]. Matka Herrero (jego nie było u niej w domu) mówi, że jest nieostrożnością odwiedzać Ojca. Zrozumiałe, że jest niespokojny, nic nie wiedząc o naszych losach, ale trzeba powstrzymać się. Ma ona rację, chociaż myślę o tym, co czuje Ojciec, i jak się za nas modli. Jest całkiem sam. Także my chcielibyśmy bardzo go zobaczyć, jednak nie zamierzamy powodować nowych trudności z powodu uczuciowej dziecinady. Dlatego poszedłem do domu Suilsa tego wieczoru. Powiedziałem mu, że Ojciec nie musi się niepokoić o nikogo. Jakby nas nie było w Madrycie. Ani telefonów, ani nic innego. Jedynie jeśli on sam znajdzie się w niebezpieczeństwie, niech zadzwonią do mnie do domu. Opowiedział mi, że symuluje afazję histeryczną. Teraz już trochę mówi, bardzo mało, żeby nie było niespodzianek”[80].

Juan Jiménez Vargas, przywykły do niebezpieczeństw, na swój sposób rozumiał „uczuciową dziecinadę”. Przez te ostatnie dni nie robił nic innego, tylko, nie szczędząc sił, pomagał osobom z Dzieła. Odwiedził Álvara, który starał się schronić w ambasadzie Meksyku. Starał się dowiedzieć, co się dzieje z Chiqui. Przebywał z José Marią Gonzálezem Barredo i z Isidoro oraz Vicente Rodríguezem Casado, innym członkiem Dzieła, który nie mógł wychodzić z domu, gdyż groziło mu aresztowanie. Wreszcie starał się zapewnić ojcu coś, o czym nie mógł on nawet marzyć: żeby mógł odprawić Mszę Świętą[81].

W ciągu tych pierwszych miesięcy terroru prześladowania religijne były nieubłagane. Kapłani, którzy nie zostali jeszcze uwięzieni lub zamordowani musieli się ukrywać. Kościoły zostały spalone lub przeznaczone do celów

profanujących je. Zakrystie zostały zrabowane. Kościół wrócił do katakumb. Wiedząc o nieszczęściach i prześladowaniach, jakich doświadczają katolicy w Hiszpanii, Stolica Święta umożliwiła odprawianie „Najświętszej Ofiary bez ołtarza, bez świętych szat liturgicznych, a w miejsce kielicha, używając stosownego naczynia szklanego”[82]. Te zalecenia dotyczące kultu w Kościele działającym w ukryciu w strefie republikańskiej dopiero po kilku tygodniach stały się znane wiernym.

Nie znając personelu ani porządku panującego w sanatorium, Ojciec ryzykowałby bardzo wiele, próbując odprawić mszę bez uprzedniego przygotowania. Eugenio Sellés, który mieszkał niezbyt daleko od sanatorium, zaofiarował, że msza może zostać odprawiona u niego w domu. Całe przedsięwzięcie nie doszło jednak do skutku.

Ostatnie zdania dziennika Juana Jiméneza Vargasa, które mówią na ten temat, tchną optymizmem: „Jest coś wspaniałego w tej nieostrożności Sellésa. W jego domu to niemożliwe, ale w sanatorium da się to zrobić. Oczywiście tak, by nikt się nawet nie domyślił. Pewnie było im przykro w domu Joaquína. Jego matka wczoraj powiedziała mi, że bardzo się za mnie modli, ponieważ cały czas ryzykuję życiem (!!!), chodząc tyle po ulicach. Odpowiedziałem jej, że muszę mieć siedem żywotów jak koty, i że jeszcze mi ich wystarcza, ponieważ mimo wszystkich tych lekarzy (?) i ciosów, jakich doświadczyłem w ciągu 23 lat, straciłem ich nie więcej niż jakieś 4 do 5”[83].

Napisał to wieczorem 15 sierpnia. Jest to ostatni zapis w dzienniku. Rankiem, gdy było już zdecydowane, by zabrać Ojca, aby odprawił mszę w domu Eugenio Sellésa, „dokładnie

gdy czekałem na Isidoro, żebyśmy razem poszli do domu wariatów - wspomina Juan - na ulicy San Bernardo pojawił się patrol i zostałem aresztowany”[84]. (Na San Bernardo mieszkał Juan wraz z rodzicami).

María Luisa Polanco, pielęgniarka z sanatorium doktora Suilsa, zachowała bardzo wyraźne wspomnienie o księdzu; sama była zdziwiona faktem, że był on pacjentem, którego najlepiej zapamiętała. Jednak po prawie 50 latach obraz kliniki, jaki zachował się w pamięci pielęgniarki, został jest mocno ubarwiony nostalgią za przeszłością: „niewielka, bardzo piękna willa, otoczona ogrodem”[85]. W trakcie późnojesiennych, zimnych i słonecznych dni widziała podczas spacerów don Josemarię, jak

zawinięty w płaszcz rozmawiał z jakimś innym uciekinierem.

Sanatorium nie miało mrocznego i ponurego wyglądu domu wariatów, tak jak inne ówczesne szpitale tego typu, w których chorzy walczyli ze swymi słabościami za kratami. Nie było to jednak miejsce beztroski i wypoczynku, jak mogłaby sugerować nazwa: „Dom wypoczynkowy i zdrowotny”. Od strony prawnej sanatorium było spółką komandytową, zatwierdzoną przez Syndykat Medyczny miasta i prowincji Madryt. Chociaż kierowane przez „towarzysza Ángela Suilsa”, sanatorium - jak twierdziły ówczesne władze - „jest nadzorowane przez własny personel, w całości należący do Powszechnej Unii Pracujących” (*Unión General de Trabajadores* - UGT - czyli do socjalistycznych związków zawodowych).

„Dom wypoczynkowy i zdrowotny” z „kapitalistycznej formy wyzysku” przekształcił się w spółdzielnię pracowników, której statut w swej preambule głosił: „My, niżej podpisani, byli pracownicy <<Domu wypoczynkowego i zdrowotnego>>, znajdującego się na ulicy Arturo Soría 492 (Ciudad Lineal), postanawiamy stworzyć spółdzielnię zgodnie ze statutem Powszechnej Unii Pracujących (UGT), aby prowadzić działalność polegającą na opiece nad chorymi umysłowo, nerwowo lub uzależnionymi, którą także dotychczas prowadzono w tym samym miejscu, w formie przedsiębiorstwa, które zostało porzucone przez swego właściciela José Irús Lahoza, obecnie znajdującego się za granicą. Poza statutem UGT, cele spółdzielni określają następujące artykuły: [...]”[86].

W skład personelu wchodziło dwu lekarzy, trzy pielęgniarki, administrator, kilku sanitariuszy (zatrudnionych, by doglądać obłąkanych), kucharka oraz praczka. Jeśli chodzi o sympatie polityczne, pielęgniarki miały rozmaite zapatrywania. Dwie z nich były komunistkami i mogły zadenuncjować księdza. Trzecia z nich, María Luisa Polanco, osoba zaufana dra Suilsa, była natomiast falangistką. Jej brat, także falangista, został zamordowany w Bilbao, a ona sama znalazła schronienie w sanatorium, jako znajoma dra Suilsa. Co najmniej jeden z sanitariuszy był zajadłym komunistą. Jeśli chodzi o administratora, Florentina, wiadomo tylko, że sam nie zdołał uniknąć tragedii aresztowania rewolucyjnego. Podczas jednego z najść w poszukiwaniu „rebeliantów” w Domu Wypoczynkowym i Zdrowotnym, milicjanci zabrali ze sobą administratora. „Niech się

towarzysz nie przebiera, zabieramy was na dziesięć minut, żebyście złożyli oświadczenie w Akademii Sztuk Pięknych i wróćcie tu tym samym samochodem” – zapewniali[87]. Jedyne, co można powiedzieć, że nie dotrzymani słowa. Nie wrócił ani samochodem, ani na piechotę. Nigdy więcej nie było żadnej wiadomości o Florentinie.

Personel sanitarny miał pod opieką około dwudziestu pacjentów. Najpoważniej chorzy zostali umieszczeni na parterze. Stan zamkniętych tam chorych wzbudzał współczucie. Ich los był nad wyraz smutny, jeśli nie tragiczny.

Znajdowała się tam pewna staruszka, donia Carmen, której syn po dokonaniu zbrodni w afekcie popełnił samobójstwo. Ta kobieta przechodziła nagle i niespodziewanie z najgłębszej apatii do najgwałtowniejszych wybuchów

rozdrażnienia. Inny chory cierpiał na stałą manię prześladowczą i krążył po korytarzach i ogrodzie, nieprzytomny, plując i grożąc niewidzialnym napastnikom. Jednak najbardziej spektakularny i malowniczy przypadek stanowił poważnie chory schizofrenik, don Ítalo. (Mówiono o nim: „don Ítalo, wybitny farmaceuta”. Na co on niezmiennie odpowiadał ze swego rodzaju pokorą: „Wykształcony farmaceuta, a to nie to samo!”). *Pewnego dnia – opowiada don Josemaría – podszedł do mnie i ni z tego ni z owego powiedział mi: „Niech pan oczyści atmosferę, wyniesie się, odrzuci te pomysły... założy słabsze okulary i poczuje się lepiej”*[88].

Na pierwszym i drugim piętrze chorzy przebywali „na obserwacji”. W większości byli to całkiem zdrowi na ciele i umyśle uciekinierzy, którzy symulowali choroby nerwowe albo rozchwianie psychiczne. Poza tymi

„pacjentami na obserwacji” trafiały się przypadki szczególne, jak np. sześciolatniego chłopca, siostrzeńca jednego z lekarzy, którego rodzice zostali zamordowani w Extremadurze. Kobieta, która się nim opiekowała, zdołała uciec do Madrytu. W ślad za sierotą podążali mordercy w jasnym celu, by pozbyć się jedyne go dziedzica majątku ziemskiego, który rozgrabili między siebie. W szpitalu był także człowiek, który został przyjęty jako fałszywy chory, lecz pod wpływem stałego napięcia skończył jako obłąkany[89].

Teraz, gdy Juan znalazł się w więzieniu, to Isidoro Zorzano zajął się przekazywaniem księdzu informacji. Isidoro urodził się w Buenos Aires i zaopatrzone był w dokumenty argentyńskie i opaskę w kolorach narodowych. To pozwalało mu krążyć po Madrycie względnie bezpiecznie. Dość często przychodził odwiedzać Ojca i przynosił

wiadomości o rozproszonej rodzinie. W październiku Vicente Rodríguez Casado schronił się w poselstwie Norwegii. Álvaro del Portillo, po kilku tygodniach poszukiwania bezpiecznego lokum, w końcu znalazł się w lokalu należącym do poselstwa Finlandii. Nie mieszkał tam długo, gdyż 3 i 4 grudnia milicjanci wtargnęli do budynków przyległych do poselstwa i zabrali go do cieszącego się złą sławą więzienia San Antón. W tym samym więzieniu znalazł się Chuiquí (José María Hernández Garnica); podczas gdy Manolo Sainz de los Terreros oraz Juan przebywali w więzieniu Porlier[90].

Masowe aresztowania osób nienależących do partii rewolucyjnych były dokonywane w związku ze zbliżaniem się wojsk narodowych do Madrytu. Pod koniec października znajdowały się one właściwie u bram stolicy, lecz

powstrzymały je wojska republikańskie z pomocą właśnie przybyłych Brygad Międzynarodowych[91]. Z ogrodu sanatorium widać było błyski wystrzałów artyleryjskich w pobliżu Puerta de Hierro, Ciudad Universitaria oraz Casa de Campo. Don Ítalo, któremu wydawało się, że wystrzały artyleryjskie to fajerwerki na festynie ludowym, wołał: „W Madrycie już całkiem oszaleli. W samym środku miasta zrobili sobie festyn. Jak to dobrze, że jesteśmy tutaj i mamy święty spokój”[92]. Jednak odgłosy te nie zwiastowały święta, lecz stanowiły zapowiedź straszliwej rzezi. Obawiając się pozostawić przeciwnika na tyłach, milicjanci dokonywali krwawych i niehumanitarnych represji na członkach tzw. piątej kolumny na zapleczu frontu[93]. Więzienia ludowe były przepełnione, lecz w ciągu listopada systematycznie pustoszały. Zgodnie z rewolucyjnymi wskazówkami,

ładowano więźniów na ciężarówkę i nocą wieziono do okrytych straszną sławą Paracuellos del Jarama lub w inne miejsca na przedmieściach Madrytu, gdzie dokonywano masowych rozstrzeliwań[94].

W rejonie miasteczka uniwersyteckiego i w pobliskiej dzielnicy Argüelles, w której mieszkała rodzina księdza, ewakuowano mieszkańców. Rodzina Escrivów nie chciała opuścić domu, mając nadzieję, że oddziały narodowe wkrótce zajmą ich dzielnicę, sąsiadującą z frontem walki. Z tego powodu przez kilka dni nie można się było z nimi porozumieć ani zdobyć dla Ojca informacji na temat ich losów, ponieważ Isidoro nie był w stanie tam dotrzeć.

Dopiero w pierwszych dniach listopada donia Dolores została zmuszona do opuszczenia domu i

zamieszkała z dziećmi w hotelu przy ulicy Mayor, niedaleko Puerta del Sol. Mieli ze sobą bardzo niewiele bagażu: „Walizka z tym, co najniezbędniejsze oraz skrzynka z dokumentami Dzieła”, opowiada jej syn Santiago[95]. Ta skrzynka - dodaje Vargas - „stała się prawdziwym koszmarem”[96]. Gdy tylko dowiedział się o przeprowadzce, Isidoro udał się do hotelu i zabrał Escrivów do mieszkania don Álvaro Gonzáleza Valdésa, ojca José Maríi Gonzáleza Barredo[97]. Mieszkanie stało na wpół opuszczone, ponieważ syn - właśnie José María - schronił się w sanatorium doktora Suilisa w początkach października, gdy wzmożyły się aresztowania i rewizje, towarzyszące zbliżaniu się wojsk narodowych, mających wyzwolić Madryt.

Escrivowie sprowadzili się do domu na ulicy Caracas 13 ze swym

skromnym dobytkiem. Portier jednak nie chciał przepuścić ich ze skrzynką. Zaalarmowany jego widokiem, nie wiadomo dlaczego postanowił go przeszukać.

Pozwolenia na przeszukanie zdecydowanie odmówili jego właściciele. Portier uparł się i nie odstępował od swego żądania.

Carmen także pozostała przy swoim i odpowiedziała mu, że „nie ma najmniejszego zamiaru jej otwierać i raczej zostawi ją pod drzwiami, tam też ją zostawiła”[98].

W końcu cała kłótnia skrupiła się na Santiago. Portier ostatecznie sprzeciwił się, by Santiago zamieszkał w domu. Uważał, że chłopiec znajduje się w wieku poborowym i bał się, że jeśli dojdzie do przeszukania, on poniesie odpowiedzialność za ukrywanie nowych lokatorów. W obliczu takiego rozwoju sytuacji i obrotu spraw, pamiętając, że o kilka kroków stąd

znajdują się dwie „czeki”[99] oraz koszary anarchistycznej kolumny Spartakusa, która kilka dni wcześniej wymordowała 50 gwardzistów cywilnych, Isidoro i donia Dolores uzgodnili, że Santiago powinien udać się do brata do sanatorium, gdzie mógł zyskać status osoby towarzyszącej „choremu na obserwacji”. Doktor Turrientes zabrał go z domu i zawiózł tramwajem do kliniki. Wkrótce potem tą samą drogą podążyła skrzynka[100].

Atmosfera w „Domu

Wypoczynkowym i Zdrowotnym”, jak łatwo można sobie wyobrazić, nie była zbyt spokojna. W pewnej chwili zjawili się tam patrol milicjantów. Mieli upatrzonego cel. Zabrali księcia de Peñaranda, brata księcia de Alba[101]. Ksiądz Josemaría dowiedział się o tym dopiero następnego dnia. Z najgłębszym bólem udał się do dyrektora

sanatorium, aby zaprotestować, że nie został powiadomiony. *Od dzisiaj - zapowiedział mu - nikt stąd nie zostanie zabrany, jeśli wcześniej go nie wypowiedam i nie udzielę rozgrzeszenia*[102].

Pomimo rady, jakiej doktor Turrientes udzielił don Josemaríi po przybyciu do sanatorium, jego zapal kapłański sprawił, że po upływie kilku dni, potrzebnych mu do rozpatrzenia się w sytuacji, starał się nawiązywać kontakt z każdym z uciekinierów. Asystent doktora Suilsa z rezygnacją stwierdził, że jego rady były zupełnie bezużyteczne. „Mam wrażenie - mówi - że rozmawiał już ze wszystkimi”[103]. Chociaż wszyscy uciekinierzy narażeni byli na takie samo niebezpieczeństwo, nie było żadnej więzi między nimi, raczej panowała podejrzliwość z obawy przed doniesieniem. Każdy z nich miał własną historię i jeśli otwierali przed nim serca, to tylko

dlatego, że wcześniej wyjawiał im fakt, że jest kapłanem. „Wśród mieszkańców sanatorium panowała wzajemna podejrzliwość” - wspominają markizowie de Torres de Orán, którzy w krótkim czasie nawiązali bliski kontakt z don Josemaría[104].

Wszyscy mieszkańcy sanatorium, pomijając szaleńców, wiedli bardzo szczególne życie. Chociaż personel szpitalny, stowarzyszony „aby pracować przy leczeniu chorób umysłowych”, szukał - jak powiada ostatnie zdanie statutu spółdzielni - „przyjacielskiej współpracy, dla tych samych ideałów, aby uzyskać materialny dobrobyt osiągnięty przez pracę”[105], to okoliczności historyczne zgromadziły w jednym miejscu ludzi bardzo różnych. Suils i Turrientes chronili uciekinierów w odpowiedzi na szerzące się podczas wojny zbrodnie. Dla innych członków spółdzielni okazja zostania

właścicielami własnego przedsiębiorstwa, chociaż żerowali na jednej z najsmutniejszych sytuacji ludzkich, kazała im przymykać oko na pochodzenie klientów. Niepokoił się tym Juan Jiménez Vargas, kiedy 10 października pisał w swym dzienniku: „Nieco nas niepokoi sytuacja w sanatorium. Wydaje nam się, że nie mają wstydu przy żądaniu opłat i to nie budzi wielkiego zaufania, jeśli chodzi o bezpieczeństwo tego miejsca. Już o tym wiedziałem i jest to powodem, że myślę o zmianie, ponieważ mogliby nas wydać, byle tylko zarobić”[\[106\]](#).

Trzeba jednak sprawiedliwie przyznać, że jedzenie, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, nie było ani złe, ani skromne. Było to miejsce, gdzie aż do końca wojny można było „lepiej jeść”, zapewnia Santiago. Jego żołądek nie mógł co prawda służyć za obiektywny punkt odniesienia, ponieważ Santiago

doznawał dłuższych okresów głodu w mieszkaniu przy ulicy Doctor Cárceles. Obiad składał się z jednego dania, które co dzień się zmieniało: fasola, cieciora, soczewica, ryż, a na deser pomarańcze. Taką aprowizację zawdzięczano związkowej przynależności przedsięwzięcia. Jednak wysiłki kucharki nie robiły wrażenia na don Ítalo. W spokojniejsze i słoneczne dni można było go zobaczyć spacerującego po ogrodzie z pustą doniczką, którą podlewał po kropelce, z czułością, mając nadzieję, że wykiełkują w niej panierowane kotlety[107].

Dla don Josemaríi wraz z przybyciem José Maríi Gonzáleza Barredo, a wkrótce potem także Santiago, rozpoczął się nowy etap jego pobytu w sanatorium. Zajmowali we trzech pokój sąsiadujący z pokojem markizów de Torres de Orán. Potem, po podjęciu koniecznych środków ostrożności, by uniknąć świętokradztw, don Josemaría odprawiał niemal codziennie mszę. Isidoro dostarczał mu wino i opłatki. Miał w pokoju wielką szafę, otworzywszy ją, na jednej z jej półek odprawiał Msze Świętą. W ten sposób, gdyby nawet ktoś nagle wszedł do pokoju, wszystko było na pierwszy

rzut oka ukryte. Dla większej pewności prosił o współpracę pielęgniarkę, Marię Luizę. - Czy nie zechciałaby pani posiedzieć tu na sofie w czasie, gdy ja odprawiam Mszę Świętą? Gdyby ktoś się zbliżał, proszę zapukać do drzwi albo powiedzieć coś bardzo głośno[108]. Ta niewielka sofa została strategicznie umieszczona w przejściu pomiędzy pokojem Ojca oraz innej pielęgniarki - komunistki. Po odprawieniu mszy rozdawał komunię niektórym ukrywającym się. Gdy ktoś potrzebował się wyspowiadać dyskretnie pozwalał zorientować się, że jest księdzem.

Kiedy donia Carmen, staruszka oszalała z powodu samobójstwa swego syna, popadała w wyciszoną apatię, była bardzo grzeczna i pełna uprzejmości dla innych; jednak w szaleńczych atakach nie szczędziła najstraszliwszych wyzwisk. Nie przepuściła nikomu z wyjątkiem don Josemaríi, do którego zwracała się serdecznie *per* „staruszku”. „Don Josemaría jest tak dobry - mawiała - że musi być co najmniej generałem”. A kiedy indziej: „Don José to nie pan Józef, to Święty Józef”[109].

Tego rodzaju wyrazy hołdu nie były najlepszą rekomendacją w uszach sanitariuszy i pielęgniarek, zwolenniczek Frontu Ludowego. Jedna z nich miała poważne podejrzenia, że ma do czynienia z ukrywającym się księdzem. Ojciec znalazł szybko środek zaradczy przeciw takim podejrzeniom. Pewnego dnia, zniżając głos, w tonie konfidencyjnym, zwierzył się jej,

że jest on doktorem Marañonem, ale że musi to trzymać w najgłębszym sekrecie[110].

Zachowanie José Maríi Gonzáleza Barredo, choć z pozoru nie dawało powodów do podejrzeń, zaczęło martwić Ojca i Santiago. Starał się zachowywać tak, by brano go za wariata, ale nie miał uzdolnień aktorskich. Zachowywał się w sposób tak dziwaczny, symulując powtarzające się objawy, które do tego stopnia rzucały się w oczy, że przyciągały uwagę nawet samych chorych. Zapalał światło o zupełnie niewiarygodnych porach i po sto razy wyskakiwał przez okno do ogrodu i z powrotem wskakiwał do pokoju. Na szczęście nie było tam wysoko i niewiele ryzykował nieszczęśliwym upadkiem.

Gdy nadeszły pierwsze mrozy, odezwały się u don Josemaríi lekkie dolegliwości reumatyczne. Ktoś

podarował mu koc elektryczny, który natychmiast został przezeń oddany jego sąsiadom markizom, z komentarzem, że on sam go nie potrzebuje[111]. Z początkiem grudnia lekarze w miejsce dotychczas zalecanego leku z salicylanami zdecydowali zapisać mu kurację opartą na zastrzykach zawierających pszczeli jad, które wówczas były bardzo modne. W ten sposób doktor Suils zamierzał upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Z jednej strony, zabezpieczyć się przed kolejnymi atakami reumatycznymi, z drugiej sprowokować silną reakcję, która mogłaby przekonać resztę personelu, że naprawdę mają do czynienia z osobą chorą. Skutki podania pszczelego jadu były „spektakularne i tragiczne” - wspomina jego brat[112]. Ojciec został częściowo sparaliżowany i trawiły go straszliwe bóle. Z trudem mógł poruszać głową. Cały jego posiłek musiał się składać jedynie z

soku pomarańczowego. Jednak po 15 czy 20 dniach, które musiał spędzić w łóżku, czuł się już nieco zdrowszy. Prawda była taka, że chociaż bardzo osłabł, ostatecznie został wyleczony z reumatyzmu.

Stale pojawiały się przechodzące tamtędy patrole milicyjne, mające za zadanie przeszukiwać sanatorium. A przy tym, z uwagi na to, że willa znajdowała się w pobliżu szosy, którą podążały na front transporty wojska do Aragonii, żołnierze wysiadali ciężarówek, by rozprostować nogi, i szli w stronę sanatorium, by zaspokoić ciekawość lub napełnić wodą manierki. W takich sytuacjach wariaci stanowili odpowiednią tarczę bezpieczeństwa. Dyrektor sanatorium wydał zalecenie, by zabierać w takich sytuacjach chorych z sutereny, aby mogli swobodnie krążyć po ogrodzie. Milicjanci, czy to z obawy przed agresywnymi wariatami, czy też z powodu

współczucia szybko się stamtąd wycofywali. W jednej z takich sytuacji protagonistą okazał się don Ítalo. Natknął się na grupę milicjantów, z których jeden miał przytroczone pudełko od maski przeciwgazowej, i próbował się od nich czegoś dowiedzieć:

-„Z całym szacunkiem, czy wolno mi będzie spytać panów (don Ítalo był bardzo grzeczny i taktowny w mowie), jak działa ten wspaniały dęty instrument muzyczny?” - zapytał ich[113].

Pewnego dnia Isidoro przyniósł wreszcie Ojcu dokument tożsamości, na który czekał od dłuższego czasu. Była to prosta zadrukowana karteczka z pieczętką „Komitetu-Delegacji Partii Nacjonalistów Baskijskich w Madrycie” z następującym napisem:

„Prosimy władze i milicje wszystkich partii należących do Frontu

Ludowego, aby zezwoliły na swobodne poruszanie się Josému Maríi Escribie Albásowi, gdyż jest osobą oddaną reżimowi. Madryt, 23 grudnia 1936 - Za Komitet [tu następował podpis]”[114].

Nacjonałiści baskijscy nie podzielali ideologii Frontu Ludowego, chociaż nadzieja na uzyskanie autonomii politycznej utrzymywała ich po stronie rządu republikańskiego[115]. Tego rodzaju dokument osoby, która nie była nawet członkiem PNV, bez fotografii, miał niewielkie znaczenie dla patroli kontrolujących tożsamość. Jednak don Josemaría mógł z jego pomocą odeprzeć przynajmniej pierwszy atak.

Isidoro, dostarczyciel wiadomości i posłaniec don Josemaríi, przynosił mu wieści z ulicy Caracas oraz z więzień, gdzie przebywali jego synowie. Korespondował z członkami Dzieła z Walencji i

świadczył inne dzieła miłosierdzia[116]. W tym samym czasie założyciel ze swej samotni, zjednoczony w swym cierpieniu i modlitwami z Bogiem, utrzymywał kontakt z rozproszonymi członkami Dzieła. Z okresu, gdy nocą masowo zabierano więźniów na rozstrzelanie[117] pochodzi wiele poruszających anegdot. Wszyscy byli przekonani, że Ojciec zdoła wyrwać ich z rąk śmierci dzięki sile swej modlitwy błagalnej do Boga. Przypadek Chiquiego jest jednym z wielu. Znajdował się on już na ciężarówce, wraz z innymi więźniami wiezionymi na rozstrzelanie, kiedy usłyszał głos wywołujący jego nazwisko i każący mu wysiadać. Ciężarówka ruszyła, wioząc ludzi na śmierć, a on wrócił do swej celi[118].

Odnosząc się do tych wydarzeń, Juan Jiménez Vargas opowiada, że „aż do końca 1936 roku zdarzyła się cała

seria wydarzeń, w wyniku których wszyscy niejedną raz uratowaliśmy życie, w sposób, po ludzku rzecz biorąc, niewytłumaczalny. Niektóre z tych wydarzeń miały miejsce w więzieniach”[119]. W listopadzie Juan znajdował się już w więzieniu Porlier, które opróżniano piętro po piętrze, rozstrzeliwując więźniów. 26 listopada wypadło na niego.

Ustawiono więźniów w ogonku i poprowadzono w kierunku ciężarówki czekającej na nich na ulicy. Juan wraz z trzema osobami stojącymi przed nim został zatrzymany, by poczekać na kolejny transport. Ciężarówka jednak wróciła dopiero tuż przed świtem. Minęło pół godziny i nikt nie wydał rozkazu do drugiej wywózki. Co więcej, uznano operację za zakończoną i nie zabierano więcej więźniów z tego piętra.

Modlitwa Ojca była tarczą Dzieła. W ten lub w inny sposób wszyscy jego

synowie otrzymali łaski, dzięki tej usilnej modlitwie, pełnej ufności i nieustrudzonej, prowadzonej w intymnym kontakcie z Bogiem.

Współzycie w sanatorium osiągnęło klimat zrównoważenia nastrojów i dobrobytu, jednak wkrótce został on zakłócony. W styczniu 1937 roku Isidoro, który starał się o zwolnienie Juana Jiménezza Vargasa, w końcu osiągnął to, że został on wypuszczony z więzienia Porlier. Schronił się w domu swoich rodziców, gdzie spędził 15 dni bez dokumentów, narażony na ponowne aresztowanie. Dzięki zabiegom Ojca został przyjęty do sanatorium Suilsa[120].

Zbiegło się to z przybyciem dwu nowych uciekinierów: oficera wojsk lotniczych oraz falangisty z Logroño o imieniu Alejandro, z rodziny Lascarísów Comneno[121].

Pojawienie się tych trzech nowych osób doprowadziło do powstania prawdziwej psychozy strachu i wzajemnego braku zaufania.

„Pacjenci na obserwacji” nagle nabrali wody w usta. Ci, którzy stale przychodzili, by wyspowiadać się lub poprosić kapłana o radę, teraz nie opuszczali swoich pokoi. Nikt już nie wychodził na spacer do ogrodu. Dr Suils, spodziewając się rewizji, stanowczo poprosił Lascarisa, by opuścił willę. Powiadomił też José Marię Gonzáleza Barredo oraz Juana, że także będą musieli odejść. Dla spokoju wszystkich, a przede wszystkim dla bezpieczeństwa Ojca udali się do swoich domów w Madrycie. Potem zjedzone zostały komunikanty, które Ojciec przechowywał w swoim pokoju, by rozdzielać komunię, w przypadku gdyby nie mógł odprawić mszy.

Minęło kilka dni i gdy okazało się, że informacja o rewizji była fałszywym

alarmem, wśród „pacjentów na obserwacji” znów zapanował optymizm i do sanatorium powróciła atmosfera zaufania. Wydarzenia te jednak spowodowały wielkie cierpienia Ojca. Gdy tylko odzyskał spokój, udał się do dyrektora, by poinformować go o tym, co bez ustanku powtarzał sobie w ciągu ostatnich dni: *Nie mogę zostać tam, skąd wygnano moich synów*[122]. Upomniał go w bardziej uprzejmych słowach i zawiadomił, że postanowił szukać schronienia gdzie indziej.

Podczas jednej z wizyt, jaką złożył mu Isidoro już w lutym 1937 roku, dowiedział się, że Chuiqui (José María Hernández Garnica) został przeniesiony 5 lutego z więzienia San Antón w Madrycie do Walencji do aresztu San Miguel de los Reyes. Po miesiącach ciszy, gdy korzystał z pomocy Isidora, aby kontaktować się z członkami Dzieła w Walencji, Ojciec nie mógł już wytrzymać i

chwycił za pióro, by bezpośrednio skontaktować się ze swoimi dziećmi w Walencji:

Madryt, 10 lutego 1937.

Kochani Przyjaciele!

Miałem wielką ochotę do Was napisać i w końcu dziś skorzystałem z odwiedzin Isidora, aby wysłać Wam ten list.

Wygląda na to, że z moją głową jest lepiej: już sporo czasu spędziłem w tym domu wariatów i chociaż powoli, przekonuję się, że jestem tu zamknięty dla mego dobra, z woli mego Ojca, a poza tym nigdy nie zapominam, że nie ma takiego zła, które by trwało w nieskończoność.

W mojej samotności, pośród tak wielu biednych chorych, cierpiących tak samo jak ja, wielką troską pozostają dla mnie moje dzieci. Bardzo o nich

*myślę i o wspaniałej przyszłości
naszej rodziny!*

*Na razie na pierwszym planie
znajduje się Chuiqui (jeśli w ogóle
moje serce jest w stanie rozróżnić
między moimi dziećmi, które
wszystkie jednakowo kocham):
zobaczcie, czy przez jakąś Waszą
przyjaciółkę nie jesteście w stanie mu
pomóc w jego obecnej sytuacji.*

*Ściska Was i kocha mocno ten biedny
wariat*

Josemaría

Piszcie do Isidora[123].

Od tego momentu życie wewnętrzne
Ojca przez pewien czas ukryte przed
oczyma osób postronnych ujawnia
się w całej okazałości dzięki temu, że
otworzył on na oścież swą duszę w
korespondencji ze swymi synami. Od

lutego aż do września 1937 roku, gdy opuścił konsulat Hondurasu, zachowało się ponad sto siedemdziesiąt listów napisanych z ukrycia do członków Opus Dei. Na ich kartach utrwalony został żywotny zapał jego ducha. Spomiędzy linijek wyłaniają się uczucia panujące w jego sercu, podtrzymujące jego dzieci w wierze i zachęcające je do tego, by nie traciły nadziei w przyszłość tego Bożego przedsięwzięcia, w którym wszyscy uczestniczą.

Założyciel Opus Dei nie mógł już dłużej beczynn timerze przebywać w „Domu wypoczynkowym i zdrowotnym”. Wydalenie dwu jego synów stało się dla niego nieznośnym cierpieniem i prosił Boga, by móc jak najszybciej opuścić klinikę. José María González Barredo, za pośrednictwem jednego z przyjaciół, który był zięciem konsula Hondurasu, znalazł schronienie w

siedzibie konsulatu tego kraju. Będąc już w środku zdołał uzyskać pozwolenie, by znaleźli tam także miejsce Ojciec i jego brat Santiago[124].

W przeddzień przenosin na nowe miejsce Ojciec napisał jeszcze raz do Walencji:

Ukochani Przyjaciele!

Właśnie wracam z domu wariatów, gdzie odwiedziłem mojego biednego brata Josemarię i wiedząc, jak bardzo interesuje was jego los, nie mam zamiaru mówić wam o innych sprawach.

Można było się spodziewać, że skończy w domu wariatów, bo od października 1928 roku zupełnie zwariował. Na pewno wiecie, jak mówi o sobie: osiołek. Pół biedy, że nie zaczął ryczeć, chociaż gdy skończył 9 stycznia 35 lat, zapewniał, że zaryczał 35 razy. Humor mu dopisuje. Pełen

optymizmu, jest pewien, że jego obsesja już w bardzo krótkim czasie stanie się szczęśliwie rzeczywistością. Stale myśli o swoich dzieciach i staromodnie je błogosławi, każdego z osobna po kilka razy dziennie. Teraz mu się ubzdurało - wie, że jest wojna - że jego Chiqui, któremu brak już tylko roku, by został inżynierem górnictwa, może wyzdrowieć i zaprzyjaźnić się z pewnym architektem podczas prac nad umocnieniami. Zegarmistrzowi (to jego przyjaciel, którego inni nie znają) polecił, by szukał, lekarza z rekomendacjami, który wyleczy chorego.

Mnie polecił, bym złożył Chiqueuiemu najserdeczniejsze życzenia z okazji imienin (tak mi powiedział, więc tak piszę) i dodał: i z okazji święta odrodzenia.

Rzeczywiście biedny Josemaría jest całkiem stracony: z każdym dniem bardziej zbzikowany.

*Najserdeczniejsze pozdrowienia i
wybaczcie mi wszystkie głupoty z tego
listu.*

Mocne uściski od

Mariano.

Madryt, 12 marca 1937[125].

List ten Ojciec napisał językiem zaszyfrowanym, jaki stosował, by ukryć jego pewne treści przed cenzurą. Nie mógł zawierać informacji, które mogłyby być ryzykowne dla autora i adresata, a prowadzenie korespondencji z księdzem na pewno stwarzało takie ryzyko. Mimo to jego sens jest jasny. To, co chce im przekazać, wkłada w usta wariata, swego „brata” Josemaríi. To rozdwojenie, mówienie o sobie w trzeciej osobie, jest zabiegiem stylistycznym spotykanym już w Katarzynkach[126]. Poprzez skojarzenie pojęć: szaleństwa - z szaleństwem na punkcie Boga,

pozwała mu pisać swobodnie i otwarcie. W ten sposób stwarza kontekst podwójnych odniesień, do rzeczywistości materialnej i zwyczajnej, a jednocześnie do tej duchowej i symbolicznej. Na koniec zaś umieszcza odrobinę starczego głądzenia, które pozwala mu, niczym dziadkowi wobec wnuków, opowiadać wszelkiego typu „dziecinne bzdury” w odniesieniu do Boga[127].

Mimo wszystko zaskakujące jest, że nie miał żadnych kłopotów z wojenną cenzurą. W oczywisty sposób nikt nie zajął się tym, by dokładnie przejrzeć korespondencję pewnego dziadka, który z braku innego powodu mógłby być podejrzanym z uwagi na swój dziwny język. Ojciec aż nadto zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie się naraża. Juan Jiménez Vargas stale mu o tym przypominał, jednak miłość Ojca względem Dzieła

przewyższała wszelkie ryzyko. Jego listy wędrowały pod opieką Najświętszej Maryi Panny. W całej wojennej korespondencji bowiem używał imienia Mariano, jednego ze swych imion chrzcielnych, na znak swego nabożeństwa do Maryi* .

4. Azyl w konsulacie Hondurasu

14 marca opuścił sanatorium na podstawie świadectwa lekarskiego, które mówiło, co następuje:

„Madryt, 14 marca 1937. Z dniem dzisiejszym opuszcza sanatorium don José María Escribá Albás. Obecnie nie jest całkiem zdrowy, w związku z tym zabrania mu się, wszelkiego rodzaju pracy, zmartwień, podróży i innych zajęć.

W sanatorium towarzyszył mu jego brat Santiago, lat 15, który powinien mu nadal towarzyszyć.

Dyrektor - dr A. Suils, 4245”[128].

Po odprawieniu mszy i rozdaniu komunii, ksiądz, jak wspomina markiza de las Torres de Orán, rozdał im zawiniątka w bibułce papierosowej, z których mogli spożyć hostie, nie dotykając ich, przyjmując w ten sposób komunię przez kilka dni po jego odejściu[129].

Spod opieki dra Suilsa don Josemaría przeszedł pod opiekę Pedra Jaime de Matheu Salazara, salvadorskiego dyplomaty, który w tym czasie pełnił funkcję Generalnego Konsula Honorowego Republiki Hondurasu. Siedziba konsulatu znajdowała się przy Paseo de la Castellana 51a (późniejszy numer 53). Z zewnątrz budynek ten wyglądał bardzo obiecująco, zupełnie inaczej wewnątrz. Wejściowy holl na pierwszym piętrze, chociaż dość obszerny, był ciemny i umeblowany starociami, które nadawały mu wygląd miejsca zaniedbanego. Przez drzwi witrażowe po lewej stronie

wchodziło się do opróżnionego salonu, który miał wielkie okna wychodzące na Paseo de la Castellana. Wyglądanie na ulicę było jednak bezwzględnie zabronione. Za salonem znajdowało się inne pomieszczenie, wypełnione nowymi i starymi meblami. Widać było, że rodzina konsula zgromadziła tutaj cały swój dobytek, aby zrobić miejsce uchodźcom w pozostałych pomieszczeniach. Obszerna łazienka, oddzielona od hallu przedpokojem, była jedyną, jaka pozostawała do dyspozycji uchodźców[130].

Po drugiej stronie hallu rozkład pomieszczeń był inny. Długi korytarz, z drzwiami po obu stronach, prowadził do pokoi zajętych przez grupki lub rodziny uchodźców. Już na początku, gdy Ojciec i Santiago przybyli samochodem z flagą Hondurasu, nie było wolnego pokoju. Uchodźcy niemający własnego pokoju rozkładali materace pod

ogromnym stołem w wielkim salonie, który służył w ciągu dnia za jadalnię, a każdej nocy zamieniał się w „okrągłe łoże”.

W trzy dni po przybyciu don Josemaría znowu napisał do swoich synów w Walencji, informując ich o swoim nowym schronieniu:

Widziałem się z biednym Josemaríą i zapewnił mnie, że już nie jest w domu wariatów (to jego nowa mania) i że przeniósł się na głębiny. Jest bardzo zadowolony. Doktor pozwala mi się z nim widzieć codziennie[131].*

(Znaczyło to, że co dzień odprawia Mszę Świętą).

W ostatnim tygodniu marca odwiedziły go w konsulacie Carmen i donia Dolores:

Przyszła mnie odwiedzić babunia, a moja siostra już wcześniej była u mnie: wyobraź sobie moją radość -

powiada tym z Walencji - *po tak długim czasie niewidzenia. Co to będzie, gdy biedny wariat będzie mógł uściskać swoich synów!*[132]

Spotkanie, mimo naturalnej radości, wywołało w obu kobietach wrażenie całkowitego szoku. Donia Dolores w konsulacie poznała swego syna tylko po głosie, bo tylko on się nie zmienił[133]. Tak krótkie spotkanie tylko poruszyło jego serce. Po radości ze spotkania nastął smutek rozstania:

Wiecie - starość nie radość - że mam wielką ochotę, naprawdę wielką ochotę, aby uściskać babunię, ale chyba to nie będzie możliwe.

Widziałem ją przez dziesięć minut, po dziewięciu miesiącach: teraz mi się wydaje, że jeszcze bardziej ją kocham, tak samo jak ciocię Carmen, ponieważ bardzo dobrze dbały o moje sprawy i ponieważ, kiedy je ujrzałem, wydały mi się bardzo zmęczone i postarzałe. Poza tym, kto wie, czy nie będzie ich

trzeba prosić o jeszcze większe poświęcenia?[134]

Pomysł, by prosić donię Dolores o bezpośrednią i zaangażowaną współpracę w apostołstwie Dzieła musiał bardzo szybko torować sobie drogę w jego umyśle, skoro w następnym tygodniu nalegał w liście do Walencji:

Proszę Was, byście pamiętali o babuni, ponieważ ona bardzo pamięta o Was. Poza tym także dlatego, że okoliczności umieściły ją pośród jej wnuków... Kto wie, czy nie jest jej pisane, by poświęcić im, jak ja, resztę czasu, jaka jej w tym życiu pozostała. To wymaga spokojnego przemyślenia[135].

Podczas rozmowy z matką poprosił ją ponownie, by opiekowała się nadal słynną skrzynką, która zawierała archiwum Dzieła[136]. Na kilka dni przed opuszczeniem sanatorium wysłał ją na ulicę Caracas, nakazując

Isidoro, by zaniósł babci wszystkie papiery i listy, aby na przyszłość trzymała wszystkie w skrzyneczce.

Jednak nadeszła chwila, gdy nie mieściło się w niej już więcej papierów. Wtedy donia Dolores zaczęła wyciągać wypełnienie materaca, zastępując je papierami. Aż do chwili, gdy jak, nieco przerysowując, twierdzi Santiago - „w materacu, na którym spała moja matka, było więcej papierów niż włókien”[\[137\]](#). Nie było jednak rewizji. Tylko od czasu do czasu pojawiali się w domu milicjanci, prosząc o płaszcze i materace dla frontu. W takich przypadkach babcia natychmiast kładła się do łóżka, symulując chorobę.

Sąsiedztwo milicjantów było powodem ciągłej obawy. Naprzeciwko mieli klasztor Nawiedzenia Pańskiego, zamieniony teraz na koszary anarchistycznej

brygady „Spartakus” oraz „czeke” CNT. Niedaleko znajdowała się *czeka*, zależna od Generalnego Inspektoratu Milicji Ludowych (*Inspección General de Milicias Populares*) wraz z inną, jej podległą na ulicy Caracas. W tych dniach, gdy Ojciec dopiero co schronił się w konsulacie Hondurasu, zdarzyło się, że donia Dolores musiała porzucić na kilka godzin cenną skrzyneczkę, oddalając się stamtąd, ponieważ podczas jednej z utarczek pomiędzy komunistami a anarchistami istniało niebezpieczeństwo, że skład amunicji brygady „Spartakusa” zostanie wysadzona w powietrze. Gdyby tak się stało, wraz z nią wyleciałaby w powietrze połowa dzielnicy, a jej mieszkańcy przenieśliby się na tamten świat[138].

Markiza de las Torres de Orán, wspominając swój pobyt w sanatorium, opowiada o don Josemarí, że „widać było, że jest

pełen entuzjazmu dla swojej wizji Dzieła. Nie pamiętam, by sam mówił o czymś innym. Śpieszyło mu się, by stamtąd wyjść, ponieważ twierdził, że tam nie mógł pracować”[139]. Z tą samą myślą znalazł się w konsulacie i stale była obecna w jego umyśle, gdyż w kilka dni później pisał ze swego schronienia do swych synów: [...]nic w Madrycie po tym biedaku, szaleńcu i dziwaku; w innym miejscu mógłby przynajmniej zarazić innych swoim szaleństwem[140].

Dla dalszego rozwoju Dzieła jego założyciel widział dwa wyjścia. Jednym z nich, w praktyce samobójczym, było wyjść na ulice, ewidentnie ryzykując życiem. Drugim było czekać w konsulacie, dopóki nie zostanie ewakuowany, aby połączyć się ze swymi synami w drugiej strefie, gdzie jako ksiądz nie byłby narażony na prześladowania. Temperament księdza Josemaríi nie był najbardziej dostosowany do

mających przedłużać się ukrycia i bezczynności. Czuł głęboką niechęć do naśladowania sposobu postępowania legendarnego kapitana Arañii, gotowego na angażowanie swych podwładnych w niebezpieczne przygody, podczas gdy sam pozostawał spokojnie na lądzie. (To porównanie nie było najstosowniejsze, gdyż ryzyko towarzyszące obecności kapłana na ulicy było bardzo wielkie. Ponadto jego status azylanta nie był jego kaprysem, lecz wynikał z okoliczności zewnętrznych).

*Rola kapitana Arañii** - zwierzał się Isidorowi - *nigdy mi nie odpowiadała. Niejeden raz, także dzisiaj, przychodziło mi na myśl, żeby wyjść na ulicę. I natychmiast, trzeźwo myśląc, zdaję sobie sprawę, że tak jak kilka dni temu nie będę miał gdzie spać, ukrywając się niczym przestępca [...]. Dla mojego charakteru takie życie uciekiniera jest*

niemałą torturą... Jednak nie widzę innego wyjścia. Trzeba wykazać wiele cierpliwości, a jeśli wreszcie nastąpi ewakuacja, wyjść; jeśli nie, czekać w ukryciu, aż do chwili, gdy minie burza[141].

Rozproszenie członków Dzieła, zdarzenia i perypetie, na jakie wszyscy byli wystawieni, nie mogąc być panami własnego losu, wymagały niezbędnej koordynacji ich poczynań. Była ona tym bardziej konieczna w perspektywie opuszczenia przez Ojca Madrytu. Jakież było zdziwienie Ojca, gdy Isidoro powiedział mu, że ma możliwość złożenia podania do ambasady argentyńskiej z prośbą o ewakuację za granicę, wykorzystując swoje obywatelstwo i fakt urodzin w Buenos Aires[142].

Ojciec, by tym lepiej je przemyśleć, spisał *za i przeciw takiego rozwiązania*. Po pierwsze, Isidoro z

powodu swego statusu cudzoziemca nie musiałyby obawiać się prześladowań, korzystając z wolności, jakiej nie mieli jego bracia, aby zaspokoić potrzeby Dzieła. Nie powinien zapominać, że niektórzy przebywali poza Madrytem. Czy np. ci z Walencji nie zostaliby osamotnieni, gdyby on wyjechał za granicę? Z kolei, przebywając w stolicy mógłby przyjmować i kierować tymi, którzy przejeżdżaliby przez Madryt, koordynując korespondencję ze wszystkimi. W końcu na jakie niebezpieczeństwa mógł się narazić? *Oczywiście - rozumował - te same, na jakie wystawiają się kobiety i dzieci pozostające w Madrycie, te same, na jakie jest narażona moja matka: gdybym uważał, że są tak wielkie, czy myślisz, że zostawiłbym tu moją matkę i Carmen? Być może - trochę głodu.*

Raz przeprowadziwszy takie rozumowanie, pozostawiał Isidoro swobodę decyzji: *Zważ, że moje spojrzenie na tę sprawę nie powinno Cię ograniczać: działaj w poczuciu wewnętrznej wolności [...]. Jeśli widzisz te sprawy w inny sposób, powiedz. Nie chcę niczego innego niż postąpić właściwie, zrobić to, co chciałbym ukończyć, zanim nadejdzie moja godzina*[143].

Decyzja Isidoro, by nie opuszczać stolicy, była szlachetna i pełna samozaparć: *Nie oczekiwałem po Tobie, Isidoro, niczego innego. Wyjście, jakie znalazłeś w twojej sytuacji, jest takie, jakie życzy sobie Pan, bez żadnych wątpliwości - zapewniał go założyciel Opus Dei*[144].

W pamięci Isidoro nie osłabło jeszcze wspomnienie poprzedniego dnia, święta Świętego Józefa, 19 marca, kiedy on i Manolo Sainz de los

Terreros, który już wyszedł z więzienia, zostali zaproszeni na obiad na ulicę Caracas. Donia Dolores i Carmen chciały obejść w gronie rodzinnym święto niosące z sobą wiele wspomnień dla ludzi z Dzieła. Ten gest związany był z wielkimi wyrzeczeniami dla obu kobiet, które w ciągu kilku następnych dni prawdopodobnie po prostu pościły. W ten symboliczny sposób stopiły się ze sobą dwie rodziny założyciela Dzieła[145].

W tym czasie Juan Jiménez Vargas otrzymał rozkaz z Kolegium Medycznego, aby jako porucznik wojsk medycznych przyłączyć się do jednego z batalionów brygady „Spartakus”. Potem uzgodnił z don Josemarią, że będzie starał się dołączyć do wojsk narodowych i przejść linię frontu, jak tylko znajdzie się pod Jaramą. Próbował kilka razy, jednak bez wewnętrznego przekonania o powodzeniu tych

prób. Zauważył, że coś w jego wnętrzu stawiało silny opór: „Zdarzyło mi się, - wyjaśnia - że w chwili, gdy trzeba było się zdecydować, nawet się nad tym nie zastanawiając, nie byłem w stanie tego zrobić i zostawić Ojca w Madrycie”[146].

W tych dniach oczekiwali wizyty Ricarda Fernández Vallespína, który przybywał do Madrytu, na trzy- czy czterodniową przepustkę, gdyż podlegał administracji wojskowej ds. fortyfikacji w Walencji, gdzie był bardzo ściśle nadzorowany. (Po wybuchu wojny Ricardo zapisał się do UGT, socjalistycznego związku zawodowego, dzięki pomocy architekta komunisty z jego roku, i ostatnio był kierowany do prac na froncie pod Teruel). Pomysł polegał na tym, że Ricardo miał udać się do konsulatu, prosząc o azyl jako krewny don Josemaríi, używający nazwiska Ricardo Escrivá. Jednak

gdy po przyjeździe do Madrytu przedstawił Ojcu swój plan przekroczenia linii frontu pod Teruelem, zostawił miejsce owego „Ricarda Escrivy” komuś innemu. Sam zaś Ricardo w kilka dni potem przeszedł linię frontu w Lewancie i dostał się do drugiej strefy[147].

Don Josemaría nie ukrywał swego stałego zmartwienia: *Siedzę jak na rozżarzonych węglach, ponieważ nie mam wiadomości o moich synach, którzy znajdują się na zewnątrz; tak bym chciał zobaczyć moich chłopców!* Martwił go zwłaszcza los Chiquiego, więzionego w Walencji. Z miłością nalega na pozostałych, aby o niego dbali, *ponieważ Josemaría nie zazna spokoju, jeśli szybko nie polepszy się zdrowie małego*[148]. To znaczy, jeśli szybko nie wyjdzie z więzienia.

Ojciec czuł w duszy niepokój, nie tyle o ich zdrowie fizyczne, lecz także o ich zdrowie duchowe i wytrwałość w

powołaniu. Chronił członków Dzieła swoją modlitwą, w drodze zadośćuczynienia ofiarowując się Panu, jeśli to konieczne, by zapłacić zamiast nich:

Jakże ważne jest zdrowie - pisał im. - Josemaría powiedział, i co dzień powtarza swemu Przyjacielowi, żeby ściągnął długi od niego, a jego dzieci strzegł przed niebezpieczeństwami tej katastrofy. I jest pewien, że wytrwałość będzie jednomyślna[149].

Miał przed oczyma cierpienia tylu niewinnych, tak wielu chrześcijan, którzy zostali pozbawieni dostępu do sakramentów, którzy w milczeniu cierpieli w więzieniach. Bolało go, że wojna tak się przedłużyła (*dziewięć miesięcy... to naprawdę wiele miesięcy, Panie*)[150].

W tym czasie, po dziewięciu miesiącach wojny i rewolucji, międzynarodowa opinia publiczna zaczęła otrzymywać wiarygodne

informacje na temat straszliwych bestialstw, jakie zostały popełnione w Hiszpanii. Zbrodnie te ujawnił światu papież Pius XI w encyklice *Divini Redemptoris* z 19 III 1937, potępiając błędy i zło zawinione przez marksizm: plaga komunizmu spadła na Hiszpanię - stwierdzał - „z ogromną siłą, bardziej niż gwałtowną. Nie ten czy inny kościół, ten czy inny klasztor został zburzony, ale jeśli tylko to było możliwe, zostały zburzone wszystkie kościoły, wszystkie klasztory, wszystkie ślady religii chrześcijańskiej, nawet te związane z wybitnymi pomnikami sztuki i nauki. Komunistyczna furia nie ograniczyła się do mordowania biskupów i tysięcy księży, zakonników i zakonnice [...], lecz spowodowała znacznie większą liczbę ofiar wśród wszelkiego rodzaju świeckich, którzy nawet dzisiaj jeszcze są zabijani masowo z powodu tego, że są dobrymi chrześcijanami albo nawet tylko

przeciwnikami komunistycznego ateizmu”[151].

W kilka miesięcy później 48 biskupów hiszpańskich podpisało list zbiorowy episkopatu na temat prześladowań religijnych prowadzonych w Hiszpanii oraz oficjalnej postawy hierarchii duchownej wobec tych faktów. List nosi datę 1 lipca 1937 r. i został skierowany do biskupów z całego świata: „Kościół ani nie chciał, ani nie szukał tej wojny [...]; kto oskarża Go, że sprowokował wybuch tej wojny albo że konspirował w celu doprowadzenia do niej, a nawet, że nie uczynił wszystkiego, co było w jego mocy, żeby jej uniknąć, ten nie zna lub fałszuje rzeczywistość”[152].

Rewolucja marksistowska okrutnie obchodziła się z Kościołem katolickim, starając się zetrzeć chrześcijaństwo z powierzchni ziemi. „Najbardziej oczywistym dowodem

na to, że niszczenie świątyń i masakra księży, na sposób totalitarny, była sprawą przemyślaną, jest przerażająca liczba tych ostatnich ofiar [...]: około 6 000. Polowano na nich z psami, ścigano ich przez góry, z zaciekłością szukano ich w każdym zakątku. W większości przypadków zabijano ich bez sądu, z marszu, bez żadnego innego powodu, jak pełnienie przez nich swej funkcji społecznej”[153].

5. Obieckanki cacanki

Najpewniejszym i najbezpieczniejszym schronieniem było uzyskanie azylu w ambasadach. Od pierwszych chwil powstania, kiedy to milicje zaprowadziły terror w Madrycie, siedziby dyplomatyczne zaczęły przyjmować setki uciekinierów. Wśród nich wysoki odsetek stanowili księża i zakonnicy. Potem, na jesieni 1936 roku, kiedy rozpętała się furia prześladowań i

rozpoczęły się masowe rozstrzelania, nie tylko oficjalne budynki przedstawicielstw dyplomatycznych, ale także ich aneksy i przyległości były przepełnione przez poszukujących schronienia. W ciągu kilku miesięcy zagęszczenie ludzi w tych miejscach stało się tak duże, że gdy okazało się, że wojna będzie się przedłużać, ambasadorowie rozmaitych krajów starali się uzyskać ewakuację azylantów, których liczba w stolicy przekraczała już 13 000[154].

27 marca 1937 roku rząd republikański opublikował w końcu ogólne warunki dla dokonywania ewakuacji osób korzystających z azylu dyplomatycznego, pod warunkiem, „by nie przyjmować w przyszłości nowych uciekinierów, bez względu na zaistniałe okoliczności”. Szefowie poszczególnych przedstawicielstw dyplomatycznych musieli wnosić o

ewakuację azylantów, zgodnie z ustalonymi warunkami, na podstawie szczegółowych i zamkniętych list, zaopatrzonych w zdjęcia azylantów[155].

Konsulat Hondurasu stanowił schronienie drugiej kategorii. Nie był siedzibą misji dyplomatycznej, lecz biurem konsularnym, w którym mieszkał don Pedro Jaime de Matheu, mający ze względu na powierzone mu zadania status Generalnego Konsula Honorowego[156]. W lutym i marcu 1937 roku opuściły Hiszpanię transporty setek osób zorganizowane przez ambasady Argentyny i Meksyku*. Don Josemaría wierzył więc, że przenosiny do Konsulatu Hondurasu stwarzają nadzieję na opuszczenie przezeń Madrytu. Była to myśl rozsądna, lecz, jak się okazało, błędna.

Don Josemaría, Santiago oraz Juan opuścili sanatorium dra Suilsa z myślą, by dostać się na listę ewakuacyjną przygotowywaną przez Konsulat Hondurasu. Po opłaceniu przez nich z góry kosztów podróży przyznano im odpowiednio numery 29, 92 oraz 35. Ale już wkrótce założyciel Opus Dei zauważył, że przygotowania ustały. W liście do Isidoro z 20 kwietnia prosi, by ten udał się na spotkanie z ambasadorem Chile i dostarczył mu notatkę, stwierdzającą, że znajdują się na liście ewakuacyjnej. *Mówią mi, - wyjaśnia Isidorowi - że co tydzień będzie ekspediowany jeden transport: jeśli nas wyreklamuje ambasador, to już w przyszłym tygodniu możemy być za granicą. W przeciwnym razie... któż to wie!*^[157]

Prośba wpłynęła nieco zbyt późno, ponieważ don Aurelio Núñez Morgado, ambasador Chile, został zmuszony w tydzień później do

opuszczenia Hiszpanii wskutek napięcia, jakie zapanowało w jego stosunkach z ówczesnym ministrem spraw zagranicznych, Álvarezem del Vayo[158].

Pod koniec kwietnia założyciel Opus Dei przypuszczał, że jego wyjazd nastąpi już wkrótce: *Nic pewnego, ale wydaje się nieuchronny*. Jednak po ośmiu dniach zaczął mieć wątpliwości, gdyż wydało się, że nie ma innego wyjścia niż poczekać na rezultaty działań podjętych przez José Marię Albaredę, owego młodego wykładowcy, który przychodził do akademika przy Ferraz: *Nigdy stąd nie wyjdziemy, jeśli José María nie załatwi spraw z Chile; nie wiem, kiedy Josemaría pójdzie sobie stąd: może już niedługo, może trochę później, a może... nigdy*[159].

Nadzieja, że konsulat Hondurasu stanie się bramą prowadzącą za granicę, okazała się płonna. To

chronienie zamieniło się w pułapkę bez wyjścia. Ci, którzy sami stąd nie wyszli, pozostali tam uwięzieni aż do końca wojny domowej. Nikt nie mógł tego wówczas przewidzieć.

W następnym tygodniu, w pierwszym tygodniu maja myśli don Josemaríi zwróciły się ku innym możliwym rozwiązaniom. *Chile? Chile albo Chiny... wszystko jedno! Będziemy nalegać*[160]. Isidoro nalegał na ambasadę Chile, lecz powiedziano mu, że listy ewakuacyjne zostały zamknięte i nie jest możliwy nowy wpis, ponieważ zostały już wysłane do rządu. Don Josemaría nie dał jednak za wygraną: *Chile: zobaczcie, - pisał – że to co Wam powiedzieli, to to samo, co mówią tutaj, aby pozbyć się nieudaczników [...]. Jeśli zechcą, to jakoś to urządzą. To właśnie jest ich zawód, uzgadniać rzeczy zupełnie nie do uzgodnienia!* [161].

Fiasko zabiegów dyplomatycznych nie wystarczały, aby pozbawić Ojca nadziei. Próbował on dalej utorować sobie drogę za pośrednictwem ambasady tureckiej, nie omieszkając przestrzec swoich synów przed dyplomatycznym wybiegiem, że „listy już zostały zamknięte”. Nadał bieg kolejnej prośbie[162], ponownie zachęcając swoich synów w Madrycie, aby nalegali aż do znudzenia, korzystając z okazji i bez okazji (być może pamiętał w tym momencie o radach Świętego Pawła danych Tymoteuszowi):

Dziś nie mam innego tematu do omówienia niż ewakuacja, ewakuacja, ewakuacja. Nalegajcie, molestujcie, w porę i nie w porę: bądźcie uprzykrzeni. Na co mamy się oglądać w czasie tych walk? Trzeba wyjechać z Madrytu i Hiszpanii. Czy moja prośba jest jasna? Wiem, że robicie, co możecie - i bardzo Wam za to

dziękuję - ale trzeba, żebyście robili więcej, niż możecie[163].

W połowie maja w jego korespondencji pojawia się bardzo wiele wątpliwości dotyczących ewakuacji. Jego listy nie są jednak zupełnie pozbawione humoru: *Sobota, 17 maja 1937. Z dna największej, prawdziwie honduraskich głębin!*[164] A kiedy pod koniec miesiąca pisze do Walencji, jego list jest przepełniony zdrowym sceptycyzmem co do spraw ewakuacji: *To żałosne, stale być gotowym do wyjazdu i ewakuacji, jeśli ewakuacja nigdy nie dojdzie do skutku. Znowu wydaje się, że posuwa się naprzód sprawa wyjazdu (obietanki cacanki) [...]. Ja, otwarcie mówiąc, póki nie zobaczę, to nie uwierzę*[165].

W czerwcu wydaje się, że znowu jest pojawia się nadzieja, a wzmianki o ewakuacji w listach Ojca pojawiają

się znów natrętnie: *Trzeba nalegać na Chilijczyków lub na Szwajcarów z jak największą wytrwałością i trzeba doprowadzić do tego, żebyśmy mieli dokumenty. Postarajcie się. Tu nie da się dłużej wytrzymać. Czy naprawdę nie przyjmą nas w Szwajcarii, Turcji czy gdziekolwiek indziej?*[166]

Pewne jest, że w ciągu dwudziestu czterech godzin cała nadzieja się rozviała: *Wszystko na próżno*[167]. Nie było już nadziei do tego stopnia, że w połowie czerwca konsul Hondurasu oznajmił, że z jego strony nie będzie już żadnych starań o ewakuację. W ten sposób oszczędził swoim azylantom możliwych rozczarowań. Mogło też chodzić o stworzenie zasłony dymnej, gdyż konsul nie odważył się przedstawić im całej powagi sytuacji. Znaleźli się naprawdę w pułapce. Pozycja konsula była zbyt słaba, a jego kompetencje wątpliwe do tego, by osobiście negocjować z ministrem,

ponadto don Pedro Jaime związał sobie ręce, wysyłając już wcześniej oficjalną listę azylantów do rządu hiszpańskiego. Znajdowały się na niej 32 nazwiska, w tym kobiet i dzieci. Gdyby odkryto, że liczba uciekinierów znajdujących się w konsulacie jest trzy razy wyższa, życie konsula stałoby się naprawdę trudne. Wobec tego wolał nie czynić żadnych zabiegów, aby uniknąć przykrych niespodzianek[168].

Nieco później, 29 czerwca, z okazji imienin don Pedra azylanci wręczyli konsulowi kilka kartek z podpisami pod następującym nagłówkiem:

„Do Jego Eminencji d. Pedra Jaime de Matheu - wdzięczni uciekinierzy -

Madryt, 29 czerwca 1937”[169].

Na trzech kartkach znajduje się 88 nazwisk. Pierwsze z nich należy do Juana Manuela Sainza de los Terreros, tego samego, który wraz z

Juanem Jiménezem Vargasem otrzymał rozgrzeszenie od don Josemaríi na poddaszu.

Jednak ksiądz ani nie uważał się za pokonanego, ani nie uważał, że wszystko już było stracone.

Natychmiast zaangażował się w nowe przedsięwzięcie: otrzymanie paszportów argentyńskich, chociaż wiedział, że to naprawdę nie będzie proste: *Josemaría?* – pytał w liście pisanym do tych, którzy znajdowali się w Walencji - *znowu wydaje się, że zaświtała mu nadzieja wyjazdu.*

To...obiecanki cacanki[170].

Kiedy don Josemaría przybył do konsulatu, rozpoczął razem z towarzyszącymi mu osobami długi okres koczowniczego życia, codziennej migracji po korytarzach i hollach. Gdy nadchodził czas na nocny odpoczynek, rozbijali biwak w jadalni. Pod stołem, na którym w

ciągu dnia jedli, kładli obok siebie materace i stawiali różne potrzebne im przedmioty. *Rozmyślajcie co noc o tej obrazie, jaką popełniamy, zamieniając jadalnię w coś w rodzaju okrągłego łóża!*[171]

Ten pozbawiony mebli salon został zapełniony filizankami, płaszcami, książkami, serwetkami, walizkami, obrazami, wiadrami, ręcznikami oraz przyborami toaletowymi.

Krzeseła? Pochodzą z różnych miejsc; są nawet kuchenne, ale na noc zanosimy je do łazienki. Łazienki?...

[172] Około trzydziestu osób korzystało z tej łazienki, która, ponieważ była jedyną, jaką mieli do dyspozycji azylanci w tym mieszkaniu, co rano była przez nich użytkowana w ściśle reglamentowany sposób.

Do don Josemaríi, Santiago i José Maríi Gonzáleza Barredy dołączyli w kilka dni później nowi lokatorzy:

Álvaro del Portillo oraz Eduardo Alastrué. Eduardo, który także należał do rozproszonej rodziny, został uwięziony w *cece* na ulicy Fomento w listopadzie i kiedy właśnie miał być rozstrzelany, wypuszczono go - w niewytłumaczalny sposób - na wolność[173].

Aż do połowy maja nie mieli własnego pokoju. Wyznaczono im pokój na końcu korytarza, naprzeciw wyjścia na schody dla służby. Prawdopodobnie kiedy indziej służył jako składzik węgla. Był ciasny, a na podłodze miał terakotę, na której wieczorami rozściełali posłanie z płaszczy i materaców. W dzień materace zwinięte i oparte o ścianę służyły jako siedziska. Wąskie okno wychodziło na wewnętrzne patio, tak ciemne, że w dzień trzeba było włączać skąpe światło sączące się z nagiej żarówki zwisającej z sufitu. W tej smutnej i ciasnej norze ojciec

zorganizował jakoś ich życie. Opis pokoju, jaki sporządził dla synów przebywających w Walencji jest pełen humoru, a przy tym dokładny i oddający rzeczywistość:

Nie możemy rozłożyć wszystkich pięciu materaców, jakie mamy. Już przy czterech podłoga jest całkiem zaścielona. Jak Wam opisać ten dom? Kiedy obozowisko jest zwinięte, to w jednym rogu pokoiku leżą jeden na drugim, zwinięte dwa materace, w środku mają dywany i płaszcze. Dwa materace Álvara i José B. są złożone w ten sam sposób, a na nich leży bardzo ciasno zwinięty materacyk Eduarda. Dalej kaloryfer, pięć suchotnicznych żeberek, o które opiera się skrzynka – nasz stół na prowiant i sześć pucharów, z grubsza czystych, które służą do wszystkiego. Okno wychodzi na ciemne - najciemniejsze - podwórze. Pod oknem znajduje się niewielka skrzynka z książkami i butelka, z zawartością przydatną na

wypadek świętowania. Na skrzynce leżą dwie małe walizki (piszę teraz do Was trzymając jedną z nich na kolanach; w czasie pisania przyjmuję sto tysięcy różnych póz, równie dobrych do ćwiczenia mięśni, jak absurdalnych i niestabilnych). Przytulone do skrzynki, stoją dwie inne walizeczki i podpierają walizę i blaszane pudło, w którym wszyscy trzymamy przybory toaletowe. Obok walizek drzwi. Chociaż jesteśmy przy drzwiach, nie wyrzucam Was z pokoju (i tak byście mogli wejść w każdej chwili, drzwi się bowiem nie zamykają, są zepsute). Jeszcze tylko zwróćcie uwagę na sznurek, przeciągnięty w rogu pokoju, na którym wieszamy pięć ręczników oraz wspaniały abażur z gazety, który ten dziadek w przypiływie dobrego humoru umieścił na nagiej żarówce, niepewnie zwisającej na kablu. Dobrze, i niech Wam tylko nie przyjdzie do głowy dotykać kontaktu, bo potem może być kłopot z

*zapaleniem światła: kontakt się
popsuł. Coś jeszcze?[174]*

W pokojach mieszczących się wzdłuż korytarza mieszkało ponad trzydzieści osób. Liczba gnieźdzących się w aneksie mieszkalnym na górze to kolejne 60 osób[175]. Przy tak dużym zagęszczeniu, w niezmaconej monotonii mijających godzin, współżycie stawało się kłopotliwe. Życie uciekiniera, pozbawione nadziei na ewakuację lub koniec wojny, które nie nadchodziły, nie miało żadnego uroku. Wskutek tego zniechęcenie nadwerężało nerwy azylantów, aż do stanu głębokiej apatii. W takiej atmosferze brakowało energii nawet na to, by jakoś zabijać czas, który upływał nieznośnie wolno, pozostawiając w duszach ziejącą dziurę niechęci i pustki. I jeśli nawet jakieś słowo czy wspomnienie wskrzeszało iskierkę zainteresowania, wzbudzając błysk

nienawiści czy buntu, szybko się ona wyczerpywała.

Stosunki międzyludzkie w ramach tego trudnego współżycia także nie były miłe i spokojne. Stale wybuchały waśnie, ciągle podnosiły się lamente i narzekania. Ponieważ azylanci pozbawieni byli dyscypliny wynikającej z pracy, ich myśli - jak zwierzęta w klatce - stale obracały się wokół własnych trosk, których nigdy nie brakowało, tak iż niektórzy tracili panowanie nad sobą. Ich świadomość błędziła jakby we mgle. W końcu niemal wszystkich ogarnęły dwie obsesje: głodu i strachu[176].

W pierwszej chwili ochrona, jaką dawała siedziba dyplomatyczna oznaczała wyzwolenie od ryzyka aresztowania lub od niebezpieczeństwa śmierci. Ale z czasem, krok za krokiem górę brało lękliwe poczucie niepewności, potęgowane przez wyobraźnię.

Azylanci w konsulacie Hondurasu nie mogli zapominać, że nie znajdują się pod pewną opieką misji dyplomatycznej, lecz w konsulacie generalnym, dlatego też pogłoski o możliwym szturmie i niedostatecznych gwarancjach, jakie dawało schronienie, wzmagają tylko strach. Zwłaszcza, gdy nadeszły wieści o najściu na konsulatu Peru. Fakt ten miał miejsce nocą z 5 na 6 maja 1937 roku, gdy władze madryckie wysłały wojsko do lokalów konsulatu i aresztowały wszystkich uciekinierów, w sumie 300 Hiszpanów i 60 Peruwiańczyków[177].

Te wydarzenia wywołały zbiorową panikę wśród azylantów. Wyobrażali sobie, że ich bezpieczeństwo będzie zagrożone, w razie gdyby don Josemaría, który niemal każdego ranka odprawiał w sieni wejściowej mszę, został przez kogoś zadenuncjowany, a konsulatu

przeszukiwany przez policję[178].
Także konsul, jak nam przekazuje
jego córka, nie czuł się bezpiecznie:
„Ludzie bali się i wydawało im się, że
mogą zostać narażeni na
niebezpieczeństwo. Dlatego – od
chwili, gdy mój ojciec powiedział, że
nie jest bezpiecznie odprawiać Mszę
Świątą – zawsze odprawiał ją w
pokoju, który sami zajmowali”[179].

Wczesnym rankiem, kiedy jeszcze
pozostali uciekinierzy spali, Ojciec
prowadził medytacje dla swoich
synów. „Jego słowa – jak wspomina
jeden ze słuchaczy – raz spokojne,
raz pełne emocji i gwałtowne,
zawsze mądre, głęboko zapadały w
nasze dusze”[180]. Komentował
Ewangelię, mówił im o osobie i życiu
Chrystusa, wszyscy przygotowywali
się do udziału we mszy.

Potem ksiądz wieszał na ścianie
krzyż i rozkładał korporał na
walizce. Kiedy skończyła się msza,

konsekrowane komunikanty, które nie zostały spożyte, Ojciec chował do portfela, który na zmianę trzymał jeden z nich, by móc udzielić Komunii innym osobom, albo wręczał Isidorowi, by ten rozdzielił je między członków Dzieła, pozostających poza konsulatem. Msza odprawiana w nędznych warunkach tego pokoju przywoływała nastrój katakumb. Gdy opowiadał o niej tym, którzy zostali w Walencji, z całą prostotą i radosną naturalnością, don Josemaría musiał dodać pewne elementy konieczne, by uchronić list przed cenzurą:

Tak więc Panie, don Manuel zaprosił mnie na rodzinny podwieczorek. Poszliśmy. Jak mogłoby być inaczej, przy takim głodzie? Okazało się, że przy wszystkich problemach związanych z ewakuacją Madrytu nie ma niczego, co w innych warunkach można by było uznać za niezbędne.

Dziś – przez „dziś” trzeba rozumieć „każdego dnia” – gdy nie ma stołu, trzeba go zaimprovizować ze skrzynki po pomarańczach. Na niej jedna dwie lub trzy walizki. Na wierzchu serwetka, nie bardzo czysta – o, don Manuelu! – i jeszcze dwie, mniejsze od takich zwykłych. Postarałem – postaraliśmy się – by całej uczcie przewodniczył portret gospodarza, pięknie przymocowany do ściany pinezką. Potem, po skończeniu, mimo ograniczeń, zostało nam chleba na kilka dni. Ci chłopcy zachowali się jak złodziejaszki, wyrwali mi portfel, ten afrykański portfelik, który mi przyniósł Isidoro. Aby nie pokłócili się między sobą, każdego dnia trzyma go inny, w ściśle określonej kolejności. A ja się powstrzymałem tak, jakbym o niczym nie miał pojęcia[181].

W holu przez pewien czas trzymali Najświętszy Sakrament (*Przyjaciela*) w meblu zamykanym na kluczyk

(*skrzynka na Chleb*). Pod koniec kwietnia don Josemaría, unieruchomiony przez swój reumatyzm, nie mógł nawiedzić Najświętszego Sakramentu, posłużył się więc dwojgiem małych dzieci, aby przesłać pozdrowienia Przyjacielowi.

Dzieci wróciły, aby zdać sprawę ze swoich pozdrowień dla Pana. *I co Mu powiedziałaś?* – zapytał ksiądz Josemaría jedno z nich, małego Andaluzyjczyka – *Żeby dał księdzu te trzy rzeczy i wszystko inne, czego księdzu brak* – odparł malec.

Sposób, w jaki te dzieci pozdrawiały Przyjaciela, poruszył księdza: *Nie wiem, kto je nauczył tych wygibasów, ale – to chyba starcza słabość – zachwycam się, widząc tę parę maluchów – dobrze wiedzą, że bez chleba się nie przeżyje – które podchodzą do tej skrzynki z Chlebem... i przesyłają przez dziurkę*

od klucza pocałunek, bardzo solenny i głośny![182]

Innym środkiem ostrożności podjętym przez ostrożnego konsula było znaczne ograniczenie wizyt, jakie zwykł był składać w konsulacie Isidoro. Budynek był chroniony i pilnowany przez strażników stojących na ulicy, którzy żądali dokumentów od każdego, kto wchodził i wychodził. Nie stanowiło to jednak zagrożenia dla Isidora, gdyż miał on obywatelstwo argentyńskie. Jeśli chodzi o zakaz konsula, można go było łatwo ominąć, wchodząc nie od frontu, lecz wejściem dla służby. Isidoro pukał cicho do drzwi na końcu korytarza, otwierano mu i nikt nawet nie wiedział o jego wizycie[183]. Kiedy indziej młodsze rodzeństwo Álvara – Teresa i Carlos, dzieci dziewięcio- i jedenastoletnie przносиły bez ryzyka listy lub papiery, które potem oddawały Isidorowi[184].

Niepokój, wywołany strachem przed zajęciem konsulatu lub przed denuncjacją, łączył się z odczuciem głodu. Żywności było niewiele, a zaopatrzenie było trudne w mieście otoczonym przez oddziały narodowe. W większości azylów dyplomatycznych głód stał się odczuwalny wraz z wprowadzeniem reglamentacji żywności dla ludności cywilnej poprzez system kartek, których uchodźcy nie otrzymywali, chociaż zorganizowali własne źródła zaopatrzenia[185]. Głód nadciągał po cichu, zdradziecko, mącąc umysł. Bardzo często w rozmowach azylantów temat jedzenia powracał, z obsesyjną bez mała tęsknotą, przyjmując formę wspomnień i anegdot kulinarnych.

Jeśli przejrzymy obszerną i częstą korespondencję, jaką w trakcie tego okresu prowadził don Josemaría, a mało było dni, w których nie wziął pióra do ręki, można zauważyć, że

temat głodu i jedzenia pojawia się w niej wyjątkowo, a jeśli już to z odcieniem humoru.

Z czego składały się jego posiłki? Pisząc do Walencji, opowiadał o swoich towarzyszach i bracie:

Z małego Santiagita została sama skóra i kości. Na moich, chociaż powiedzą wam tu co innego, zostało jeszcze sporo mięsa, chociaż nie jemy nic prócz dwóch łyżek wazowych ryżu w południe i dwóch zupy czosnkowej pod wieczór.

Ale nic przecież nie trwa wiecznie. Paco, prawda, że nie jestem sobą, mówiąc o jedzeniu?[\[186\]](#)

I potem: *Już od czasu do czasu zmieniają nam menu. Dziadek, mówiący o sprawach kulinarnych, de re culinaria, jak powiada klasyk. A*

więc głód, co ja mówię, apetyt działa prawdziwe cuda. Wczoraj w południe dali nam ryż z bobem, z bobem już w podeszłym wieku, od którego już nie chciały odchodzić łupiny... A wieczorem surową cebulę z cząstkami pomarańczy (wydała nam się znakomita, choć nieco rewolucyjna: jak trzeba było się spieszyć następnego dnia!), a w tych czarach, które już znacie, całkiem sporo bardzo płynnego płynu, w którym można było domyślić się delikatnego posmaku cynamonu, gdy się go wzięło do ust. Zapewniali nas, że to czekolada. Człowiek dokonuje dziś tak wielu zaskakujących odkryć![187]

Ten radosny ton, z jakim zwraca się do swoich synów z Walencji, by ich rozweselić i rozwiać ich troski, zdecydowanie kontrastuje z tym, w jakim utrzymane są informacje dla tych, którzy przebywają w Madrycie. Ci świetnie zdawali sobie sprawę z głodu, jaki panował w konsulacie,

gdzie natychmiast znikają nawet najmniejsze okruszyny chleba.

To Isidoro, bez wątpienia, zwrócił się do tych, którzy wtedy zamieszkiwali „szczęsny Lewant”, jak nazywano prowincje walencjańskie, oddalone od linii frontu, a dzięki swej żyzności obfitujące w żywność. *A jeśli rzeczywiście coś przyślą z Walencji, to nie zapominajcie, że mam tutaj czterech naszych głodomorów. Mi zupełnie wystarcza to, co jest. Ale oni i Santiago potrzebują znacznie więcej [...]. Jak mnie męczy nawet mówienie, a co dopiero pisanie o tych sprawach jadła!*[188]

W dwa dni później, aby nie uznali poprzedniego listu za nagłący krzyk głodujących, zaznacza: *Chleb? Mamy go dość [...]. I uważajcie, żeby nam nie przysyłać czegoś, czego sami nie macie. Chcę, żądam, byście najpierw zadbali sami o siebie. Mam nadzieję, że to jasne!*[189]

O strasznym braku żywności daje pojęcie także radość, z jaką wita nadejście wsparcia w tej materii 5 maja: *Dziś nam przynieśli ser i jaja od mego siostrzeńca Isidora. Od kilku miesięcy nie widzieliśmy, ani nawet nie wąchaliśmy takich delicji*[190].

Ksiądz przede wszystkim troszczył się o to, by zdobytą żywność rozdysponować między wszystkich. Nie kierował się przy tym popularnym powiedzeniem: „Najlepsza część dla tego, kto dzieli”. Wręcz przeciwnie, starał się zrobić wrażenie, że je jak wszyscy inni. W rzeczywistości, tak aby inni nie zauważyli, poprzestawał na najgorszym. Jednak niektórych jego postów nie sposób było nie zauważyć. Opowiada o tym jego brat. Wszyscy uchodźcy oczekiwali niedzielnego wieczoru jak dzieci spodziewające się smakołyków. Niedzielną kolacja składała się z chleba i okruchów czekolady, jednak

„w niedzielę Josemaría nigdy nie jadł kolacji”[191]. I aby ustrzec się przed przyjemnościami smaku, w konsulacie nadal kultywował stary obyczaj, by rozsmakować się w piołunie*. Tego towaru było w sklepach pod dostatkiem i nie chciał się go wyzbyć. Okoliczności wojenne i ograniczenia, jakie musieli znosić, nie wydawały się księdzu wystarczające, aby zwolnić go od życia – nawet w najdrobniejszych szczegółach – duchem pokuty. Raczej odwrotnie. 30 maja pisze do Isidoro: *Przyślij mi trochę piołunu. Będą mieli go w aptece Eugenia albo w jakiejś drogerii. Ale żeby był w proszku*[192].

Wśród niezliczonych informacji zawartych w ogromnej korespondencji założyciela Opus Dei, prowadzonej z konsulatu, wyłania się fakt dość osobliwy. Coś, co zwraca uwagę poprzez swoją nieobecność.

Coś, czego można by było spodziewać się w jego listach, a czego jednak czytelnik w nich nie znajdzie. Chodzi o to, że w trakcie przeglądania jego pism czytelnik nie znajdzie w nich żadnych aluzji na tematy polityczne. Nie wspomina się rządów, frontów, stref okupowanych, miast wyzwolonych, wrogów, ofiar ani winnych. Ten brak nie wynika ze strachu przed cenzurą, ale bierze się z przyczyn o charakterze nadprzyrodzonym, jak podają w swych relacje osoby, które dzieliły z nim azyl w konsulacie. Podczas gdy rozmowy uchodźców koncentrowały się na głodzie lub na przebiegu wojny, don Josemaría unikał rozmów o bratobójczym konflikcie, który podzielił naród. Jego podopieczni nie byli ożywiani wojowniczymi nastrojami. W jego obecności nie rozmawiano o operacjach wojskowych ani o zbrodniach popełnianych na tyłach. Zostały one przezeń zapomniane i przebaczone.

Dobroczytna obecność księdza przynosiła ze sobą pokój. Jego rozmowy, uspokajające i dotyczące spraw nadprzyrodzonych, pozostawiały w duszach słodki ślad. Do tego stopnia, że postrzegał jako podarunek z Nieba to, co dla ludzkich oczu jawiło się jako przeklęty skutek wojny. „Czasem sobie myśleliśmy, oby to wszystko trwało wiecznie! – wspomina jeden z tych, którzy wówczas towarzyszyli Ojcu. – Bo czy wcześniej zazналиśmy czegokolwiek niż światło i ciepło tego zakątka? Ta reakcja, tak absurdalna w tych warunkach, ale logiczna, zgodna była z naszym sposobem widzenia spraw, który sprowadzał na nas spokój i szczęście, którym cieszyliśmy się każdego dnia”[193].

Jeśli była taka potrzeba, założyciel Opus Dei nie wahał się poruszać tematu wojny, którą zawsze określał jako katastrofę. Jednak czynił to w duchu kapłańskim, otwierając

ramiona dla dusz z jednej i drugiej strony. W czasie kapłańskiej modlitwy podczas odprawiania Najświętszej Ofiary był świadom całego ogromu cierpień, jakie towarzyszyły tej wojnie: na frontach, w szpitalach, w domach i obozach uchodźców.

Postawa księdza Josemaríi nie była podyktowana zimną obojętnością. Płynęła z miłości, zdominowanej przez szerszą, nadprzyrodzoną wizję tego, co się działo na świecie: „stale zatroskany – twierdzi zięć konsula – z powodu tego, co się działo, chociaż jednocześnie był ponad te doraźne okoliczności [...]. Nigdy o nikim nie wypowiadał się z nienawiścią lub urazą. Odwrotnie, zwykł mówić: *To jest barbarzyństwo, tragedia*. Bolało go to, co się działo, jednak nie w znaczeniu czysto ludzkim. I kiedy my wszyscy świętowaliśmy zwycięstwa, don Josemaría milczał”[194].

Pokoik w konsulacie wkrótce przemienił się w coś w rodzaju centrum operacyjnego. Z tego miejsca wychodziły listy Ojca pełne malowniczych opisów, rozmaitych informacji, poleceń, notatek duchowych oraz rad dotyczących spraw materialnych, a także relacji na temat radości i smutków. Tak bardzo pragnął wiedzieć, co się dzieje z jego synami i tyle spraw chciał omówić, że od razu wprowadził zwyczaj numerowania akapitów listów, jak tylko przechodził od jednego do drugiego tematu: *Nie z powodu jakiejś manii – tłumaczył im. – lecz po to, byście mi odpowiedzieli o wszystkich sprawach*[195].

Jedną z tych spraw była kwestia odzyskania dóbr i dobytku straconego w akademiku przy Ferraz 16. Budynek ten został

zarekwirowany przez milicje anarchistyczne CNT 25 lipca 1936 roku, w dniu gdy Juan Jiménez Vargas został tam zaskoczony przez patrol.

Ojciec dowiedział się, że teść córki konsula, którego milicjanci wyrzucili z hoteliku, gdzie mieszkał, złożył oficjalne podanie z powodu poniesionych strat. Natychmiast Ojciec pomyślał, czy by nie domagać się od rządu odszkodowania w imieniu spółki, która była właścicielem Rezydencji przy Ferraz, tj.: „Opieki nad Studiami Wyższymi” (*Fomento de Estudios Superiores* – FES). I z takim zapałem zajął się tą sprawą, jakby od jej załatwienia zależała przyszłość ich wszystkich, kiedy jeszcze nie było pewne, czy wyjdą cali i zdrowi z perypetii wojennych.

W ten sposób rozpoczęła się zjadła walka z przeciwnościami i

trudnościami oraz mobilizacja wszystkich sił. 23 kwietnia poprosił Isidoro, aby dowiedział się w ambasadzie argentyńskiej na temat procedury, jaką trzeba przeprowadzić oraz dokumentów, które należy złożyć. Tego samego dnia wieczorem znowu napisał do niego, opowiadając mu o ostatnio odbytej rozmowie z teściem córki konsula i załączając polecenie, aby udał się do notariusza po potwierdzenia aktu założenia FES oraz kupna domu przy Ferraz[196].

Już przy tych pierwszych działaniach podjętych przez Isidora zaczęły piętrzyć się trudności[197]. Nie miał ani inwentarza dóbr, ani dokumentów założenia stowarzyszenia, ani umowy kupna-sprzedaży nieruchomości. Pozostały w Rezydencji, a ich odzyskanie nie było możliwe, nawet jeśli nadal jeszcze istniały. Chodziło o to, by ukazać Spółkę „Opieka nad Studiami

Wyższymi” jako „spółkę międzynarodową”, gdyż niektórzy jej członkowie byli cudzoziemcami. Isidoro Zorzano, jako obywatel argentyński oraz przewodniczący FES, wniósł podanie do ambasadora argentyńskiego, domagając się od Państwa Hiszpańskiego odszkodowania z tytułu poniesionych strat. Zgodnie z inwentarzem straty te opiewały na 1.078.900 peset[198].

Nie minął nawet tydzień, od kiedy Ojciec wpadł na pomysł zażądania odszkodowania, kiedy napisał do Isidora list ponagląjący, jak można wnosić z jego pierwszego akapitu:

Sobota, 1 V 1937.

Bardzo dobrze, że sprawa odszkodowania jest załatwiana przez ambasadę Twojego kraju. Ale trzeba się spieszyć! Być może od opóźnienia o jeden czy dwa dni będzie zależeć szczęśliwe zakończenie całej sprawy.

Poza tym uzgodnij wszystkoz Sekretarzem. Nic nie zostawiaj w zawieszeniu. Niech papiery będą gotowe jak najszybciej[199].

Ojciec nie miał do pomocy zbyt wielu osób, by mogły zająć się tą sprawą. Poza osobami znajdującymi się w konsulacie Hondurasu oraz Vicentem Rodríguezem Casado, który znalazł azyl w ambasadzie Norwegii, na wolności w Madrycie pozostawało ich tylko trzech. Dwaj pozostający na wolności znajdowali się w Walencji (poza tym Chiqui był tam w więzieniu). Rafael Calvo Serrer był chory i znajdował się w wiosce koło Alicante, a Pedro Casciaro w Torrevieja. Pozostali przebywali w ukryciu albo w strefie narodowej. W ten czy w inny sposób wszyscy zostali zmobilizowani na potrzeby tej operacji, od chwili gdy Isidoro powiadomił tych z Lewantu, że także oni na polecenie Ojca mają działać na rzecz uzyskania tego

odszkodowania poprzez swoje poszukiwania i działania. Walencja była teraz oficjalną siedzibą rządu od chwili, gdy w listopadzie 1936 roku Rada Ministrów opuściła Madryt. W Walencji należało załatwiać sprawy administracyjne, które teraz ich czekały.

Pedro Casciaro, który w tym czasie nie był pełen optymizmu, otrzymane od Ojca polecenie, by włączyć swego dziadka w przedsięwzięcie uzyskania odszkodowania, uznał za znaczną komplikację. Jako poddany brytyjski, na podstawie wkładu na rzecz FES, którego dokonał jakiś czas temu mógł złożyć podanie w ambasadzie brytyjskiej, domagając się odszkodowania[200].

Od początku Ojciec naciskał na wszystkich, ponaglając ich i żądając pośpiechu, wiążąc ze sobą dwie sprawy, w które byli zaangażowani: odszkodowanie i ewakuację.

Pośpiech. Śpieszy nam sięze
wszystkim: z ewakuacją do naszego
kraju* i z dochodzeniem
odszkodowania[201].

Nie na wiele się zdał cały ten zapał w
państwie znajdującym się w samym
środku wojny, w czasie gdy jego
ministerstwa przeniosły się w
pośpiechu do Walencji,
pozostawiając w Madrycie archiwa i
biura. Roszczenie z tytułu
mieszkania zarekwirowanego i
zrabowanego przez anarchistów z
CNT, a następnie zniszczonego przez
pocisk nie mogło zakończyć się
sukcesem. Z której strony by nie
spojrzeć, wydawało się, że wszystkie
wysiłki są skazane na niepowodzenie
i że całe to mnóstwo czasu i starań
pójdzie na marne.

Nadzieja na sukces była minimalna i
Ojciec miał wystarczająco wiele
zdrowego rozsądku, by tak to
widzieć: *Czy się coś osiągnie, czy nic z*

tego nie będzie, jaki spokój da nam wszystkim świadomość, że zrobiliśmy wszystko, co możliwe, by chronić własność FES. Czyż nie?[202]

Tymczasem tłumaczy im pokrótce, jak dalej wytrwale postępować w sprawach Dzieła i Boga: Dalej prowadzić sprawę domu, pomimo wszystkich wybojów i przeszkód znajdujących się po drodze. Może się zdarzyć, że samochód się wywróci. Wtedy trzeba postawić go z powrotem na czterech kołach, naprawić to, co się zepsuło i jechać dalej, jak gdyby nigdy nic. Zawsze zadowoleni: z radością i pokojem, których nigdy, z żadnego powodu, nie powinniście stracić[203].

Wśród przeciwności uczyli się porządku i pilności, nie odkładając spraw na lepsze jutro[204]: „Jutro! Jutro!”. A ja wam powiadam: „Dziś! Teraz”! „Jutro” i „potem” to są słowa

ostatecznie zakazane w naszym słownictwie. Zgoda?[205]

Już od miesiąca były prowadzone te działania, gdy Ojciec znowu zaczął popędzać Isidoro, a wraz z nim i innych, aby nadal wysilali się dla sprawy odszkodowania: bez zniecierpliwienia, ale z wytrwałością: kropla drąży skałę przeciwności. Jeśli dobrze jestem przyjmowany, to dobrze. Źle mnie przyjmują? Jeszcze lepiej. Wytrwam – jak kropla wody – nachodząc urzędy z całą świętą bezczelnością, na jaką mnie stać, wytrzymam mimo upokorzeń, ofuknięć i grubiaństw (jakież bogactwo!), bardzo zadowolony i spokojny, dopóki się znudzą. – Mi nie wolno się zniechęcić – takie powinno być Wasze postanowienie. I w końcu przyjmą mnie uprzejmie: jak przyjaciela... albo jak nieuchronną klęskę [...]. O, gdybym umiał wyrazić się jasno! To powiedział mi w zaufaniu don Manuel[206].

Ta „święta bezczelność”, uzbrojona w upór i gotowa na przyjęcie upokorzeń, nie była tylko ludzką taktyką, ale zachowaniem zgodnym z Bożą inspiracją, z tym, co w zaufaniu powiedział don Manuel:

Dzieci: czy łudziłyście się, że można by chodzić, nie przewyciężwszy oporu? Przecież jasne jest, że we wszystkim, zawsze powinniśmy napotykać trudności, raz wielkie, innym razem zaś małe. Na te pierwsze zwykle zwracamy mniejszą uwagę, ponieważ dodają odwagi. Ale to w tych drugich, które wywołują ból naszej pychy i nic poza tym, On na nas czeka. Tak, w tych długich oczekiwaniach na korytarzu, w tych niepoprawnych zachowaniach, w tych usłyszanych „Ach, znów ten typ...”, w tej wczorajszej grzeczności, która dziś zmieni się w grubiaństwo...[207]

Wewnętrzna energia Ojca, która nie dawała się pogrzebać pod skorupą

niechęci, w której zamknęło się tylu innych uchodźców, starała się nadać nowy, wyższy wymiar wysiłkom, aby wyrwać się z bezczynności. Ojciec starał się wskazać wyższy sens wysiłków podejmowanych przez jego synów, aby wyrwać ich z pychy, rutyny i trosk. Pragnął sprawić, by zrobili użytek z sił duchowych, zduszonych chwilowymi okolicznościami. Ojciec chciał zaszcześcić im morale zwycięzców i sportowego ducha, aby pokonali trudności i opór. Jednak dochodzili już do punktu, skąd dalej nie mogli ruszyć. Nie z powodu braku wytrwałości, lecz barier stawianych przez biurokrację:

Jest jak najbardziej naturalne, że każdy stara się dbać o swoje sprawy. W ten sposób nauczycie się żyć... i być wytrwałymi. Nie miejmy odwagi ślimaka, który, gdy tylko jego czułki natkną się na przeszkodę, chowa je i kryje się w muszli swego egoizmu.

Miejmy impet, wojowniczość i wytrwałość dzielnego byka, który zetrze na proch, za pomocą takich środków, jakie ma, wszystkie przeszkody, które staną mu na drodze. A nam naprawdę ich nie brakuje i nigdy nie zabraknie, jest jednak także prawdą, że mamy wystarczająco dużo środków... jeśli zechcemy ich użyć. Czyż nie? A więc sięgnijmy po nie: po nasze, tylko głębiej, i jednocześnie po te od don Manuela. I zawsze bądźmy w dobrym humorze[208].

Chociaż założyciel Opus Dei składał gratulacje Isidorowi z powodu wszczęcia postępowania odszkodowawczego za pośrednictwem ambasady argentyńskiej, prawda jest taka, że pakował się w ten sposób w naprawdę niezłą kabałę. Po trzech tygodniach zabiegów, pomimo pośpiechu, ponagleń Ojca i pełnego

oddania ze strony Isidora, sprawa posunęła się bardzo mało[209].

Don Josemaría już miesiąc wcześniej przewidywał, że będą potrzebowali pomocy świętego Mikołaja, wstawiennika u Boga w sprawach materialnych Dzieła, aby papiery nie zaginęły w labiryntach korytarzy państwowych urzędów. Ta sprawa okazała się nową wersją *niekończących się obiecanek cacanek. Don Nicolas ma rozmawiać. My, uparcie naprzód*[210].

Niepokoje don Josemaríi nie były bezpodstawne. Dokumenty i działania utknęły, a święty Mikołaj z Bari, Bóg wie dlaczego, zwodził ich obiecankami.

Jeśli chodzi o roszczenie don Julia Casciaro, dziadka Pedra, rezultat nie był olśniewający. Najsłabszym punktem jego wniosku było jego niepewne obywatelstwo. Ten dobry człowiek miał już 70 lat i nieco

apatyczny charakter. Jego brytyjski paszport, wystawiony w Walencji 21 kwietnia 1937, podpisany przez miejscowego konsula oraz osobę pełniącą obowiązki wicekonsula w Alicante, był ważny tylko przez 6 miesięcy i nie mógł być przedłużany, jeśli zainteresowany nie będzie w stanie poświadczyć swojego brytyjskiego obywatelstwa z pomocą innych dokumentów. Wystarczy powiedzieć, że 9 czerwca Isidoro wysłał Pedrowi Casciaro wszystkie konieczne załączniki do „wniosku roszczeniowego przeciwko państwu hiszpańskiemu, za pośrednictwem ambasady angielskiej, z tytułu domu pod numerem 16 przy ulicy Ferraz w Madrycie, wszystkich mebli, urządzeń, biblioteki, książek, wyposażenia laboratorium, obrazów, etc., które się tam znajdowały”. W tym czasie wytrwale poszukiwano aktu urodzenia don Julia w archiwum konsulatu w Cartagenie, gdzie był on wystawiony, a także

przeoglądano księgi i dokumenty Konsulatu Generalnego w Walencji. W obu przypadkach bez rezultatu[211].

Widząc, że działania don Jualia Casciaro utknęły w ślepym zaułku, członkowie Dzieła z Madrytu, pobudzeni doświadczeniami ostatnich tygodni, zaoferowali Isidorowi inne sposoby: za pośrednictwem jakiegoś Szwajcara, Boliwijczyka, który przychodził do Rezydencji przy Ferraz oraz Paragwajczyka, kolegi Manola Sainz de los Terreros[212].

6. „Najgorsze dni tego roku”

Życie w pokoiku konsulatu Hondurasu upływało spokojnie i pogodnie. Współmieszkańcy don Josemaríi wstawali wcześnie. W ściśle określonej kolejności udawali się do łazienki. Potem kapłan zwykle prowadził dla nich medytację i odprawiał mszę. Na śniadanie

wypijali filiżankę herbaty. Potem następował wypełniony pracą ranek[213].

Don Josemaría, w charakterze dobrodusznego dziadka, aby zmylić cenzurę, pisał do swoich wnuków w Madrycie i Walencji, zapełniając całe strony poważnymi punktami do przemyślenia, przeplatanymi żartami i serdecznościami. Po południu pokój zamieniał się w czytelnię. Uczyli się lub czytali po francusku, angielsku, niemiecku. A „dziadek”, w dobrym humorze, aby urozmaicić lekturę listu swoim dzieciom z Walencji udawał, że znajduje się w samym środku niesamowitego rozgardiaszu. Udawał to naumyślnie, przesadzając, gdyż naprawdę tych lokatorów z końca korytarza reszta uchodźców nazywała „szepczącymi”. Stamtąd nigdy nie było słyhać podniesionych głosów[214].

Nic więcej, dziadunio nie chciał Wam nic więcej napisać. Ale dziś, kiedy próbowałem zrobić coś pożytecznego i już, po pewnych przygotowaniach, miałem zagłębić się w pierwszy punkt swojej pracy..., cała ta dzieciarnia, która tu rozrabia, nagle się rozryczała, i nie ma takiej ludzkiej cierpliwości, która by to wytrzymała, ani głowy, która mogłaby się skoncentrować w tych warunkach na jakiejś poważnej pracy. Ach, gdzie jest mój pokój, moja samotność i moja cisza! My, starzy potrzebujemy spokoju, zamęt, śmiechy, ogłuszające wrzaski są nie do przyjęcia w moim wieku. Cierpliwości, prawda? Prawda! Aby nic mi nie było oszczędzone, jeszcze kilka razy walnęli w stół i jeszcze parę razy mnie klepnęli po chudych plecach: pracuj, Mariano. Sami sobie pracujcie!

[...]Chłopcy, moje życie jest bardzo monotonne, ale zawsze jestem

oddalony o sto mil od tego miejsca, gdzie się znajduję fizycznie, w związku z tym nie mogę mówić tak naprawdę o monotonii. Rozmawiam jak mogę najwięcej z moim dawnym Przyjacielem. Myślę o mojej rodzinie, chyba aż za dużo. Mam spokój. Na zewnątrz jestem poważny, ale radosny. Ale wśród tej mojej radości – z powodu tych czasów, wspomnień, myśli o niebezpieczeństwach, jakie mogą czyhać na moich synów i wnuków, a także z powodu wybaczalnego egoizmu – rzadko mija dzień bym nie płakał, też trochę za dużo.

Josemaría, który jest w nieco lepszej formie umysłowej, od kiedy zabraliśmy go z domu wariatów, przekonuje mnie, że moim dzieciom bardzo dobrze zrobi i że uformuje w nich męski charakter ta atmosfera bolesnej walki, w której teraz żyją Hiszpanie. Poza tym jako cudzoziemcy mogą i powinni

trzymać się na uboczu, aby uniknąć zatrucia pewnymi wpływami. Są dobrze zaszczepieni i jeśli nie będą zaniedbywać norm przepisanych przez Lekarza, bardzo trudno im będzie stracić zdrowie, a o to się właśnie martwię.

[...] Kiedy widzę siebie samego po upływie tylu lat od założenia rodziny i moich rozproszonych bliskich, których każdego dnia przybywa, myślę, że potrzeba mi serca o wiele większego niż świat. Tłumaczę się z tych chwil melancholii i tej chłopięcej głupoty (o dzieci i starcy!) i chciałbym Was uściskać wszystkich z całego serca, jak natrętny dziadunio, jakim przecież jestem, aby ciosy, jakie mogłyby na Was spaść, spadły na starcze twarde plecy piszącego te słowa. Nie ma w tym nic dziwnego, że mając tyle osobistych długów, mogłem stać się powiernikiem wszystkich w tych czasach przetrąconej ekonomii. Mam

nadzieję, że moje plecy zdołają
przyjąć te ciosy: a jak przyjmie -z
jaką radością oddam ostatni grosz!

[...] *Bądźcie silni. I nie obrażcie się, że
dziadek Was uściska z całego serca.*

Mariano

Madryt – 30 IV 937 (sic!)[215].

W porze obiadu wszyscy razem
udawali się do jadalni z okrągłym
stołem, gdzie zwykle podawano im
odrobinę chleba i głęboki talerz
kleiku ryżowego, który przy
uroczystych okazjach bywał
wzbogacony o soczewicę lub chleb
świętojański[216].

Potem wracali do swego pokoju, aby
porozmawiać, poczytać lub
pracować. Ojciec zwykle przez
chwilę towarzyszył rodzinie konsula,
którego żona w tym okresie ciężko
chorowała. Przez jakiś czas zwykle
tam modlili się i nawiedzali

Najświętszy Sakrament, dopóki nie podjął decyzji, że nie będzie już przechowywał Najświętszego Sakramentu w pokojach należących do konsula[217].

Po kolacji, na którą składała się cienka zupka z chleba lub gotowanych warzyw albo zielona sałata, odmawiali różaniec, rozmawiali i kończyli dzień, rozkładając w odpowiednim porządku materace, aby ułożyć się do snu.

Dla towarzyszy Ojca spędzanie z nim całych dni znaczyło żyć w miłości i pewności. Nie widziano u niego nigdy – jak zapewnia zięć konsula – „ani jednego gestu zniecierpliwienia lub załamania. Był osobą, która ułatwiała i umilała wzajemne współżycie. Nie stwarzał żadnego typu problemów, nigdy niczego nie komentował w sposób przykry, nie krytykował czerwonego rządu ani

białego, ani bombardowań, ani trudności”[218]. Jego towarzystwo było tak bardzo radosne, nawet w takich warunkach, że jednemu z członków Dzieła wyrwało się spontanicznie coś, co myśleli wszyscy: „To nie może wiecznie trwać, zbyt wiele szczęścia”[219].

Po dniu pełnym panującej na korytarzach i w holu bieganiny, kłótni i wrzasków, nocą panowała tam cisza. To miejsce było, jak mawiał don Josemaría, żartując, jak *pudełko ze świerszczami*[220], nieodpowiednim dla jego duszy, która potrzebowała skupienia.

Pośród widocznej jednostajności dni, wyobraźnia i serce prowadziły go do tego, by polecać Bogu sytuację swoich duchowych synów. Czuł się jak obca osoba w swoim ciele i zmysłach. Wczuwał się w sytuację każdego z nich: więźniów,

uchodźców, ukrywających się i chorych, a także tych, o których nie miał informacji. Trzeba było nalegać, by Przyjaciel zachował ich w zdrowiu na duszy i ciele, i aby dał mu dla nich wielkie serce, tak wielkie, by się wszyscy w nim pomieścili.

W liście z 1 maja przypomina synom przebywającym w Walencji obietnicę, jaką złożył poprzedniego dnia w intencji wszystkich swoich bliskich: *Dzieciaki – biedne dzieciaki – teraz, kiedy już wiecie, że dziadunio oficjalnie podjął się spłacenia wszystkich rodzinnych długów, nie nadużywajcie tego...[221]*

Czy jego „wnuki” rozumiały, czytając te listy, co miał na myśli pisząc, że jest *powiernikiem wszystkich w tych czasach przetrąconej ekonomii?* Rozumieli tylko po części, że ksiądz złożył Bogu obietnicę zadośćuczynienia za winy własne i

cudze, płacąc za niezliczone grzechy, które rozbiły naród hiszpański. Jego plecy były gotowe na przyjęcie ciosów, aby jego „wnuki” mogły uniknąć cierpienia. Adresaci z radością przyjmowali i chciwie czytali listy od „dziadka”, jak wspomina Pedro Casciaro Isidorowi: „Mogę powiedzieć, trochę przesadzając, że wszystkie je znam na pamięć, ponieważ tutaj, z dala od rodziny, jestem bardzo samotny i nie znajduję ciepła poza jego słowami, bardzo wyraźnymi. Czasami tłumaczy się z powodu trudności z wysłowieniem się. Ach, gdyby był wewnątrz mnie... Jestem, z przeproszeniem osła, klasycznym osiołkiem, który czyta i nie mówi”[222].

Jego synowie zbyt dobrze wiedzieli, na czym polega jego duch zadośćuczynienia, ponieważ słyszeli nieskończoną ilość razy, jak o tym mówił. Jak wykorzystywać trudności,

pracę i codzienne przeciwności życiowe, wynosząc je na poziom nadprzyrodzony, przebóstwiając ból i cierpienia. Na krótko przed wybuchem wojny domowej napisał: *Wśród prozy tysięcy drobnych, codziennych szczegółów znajduje się więcej poezji niż potrzeba do tego, by poczuć, że jest się na krzyżu*[223].

W sierpniu 1936 roku, kiedy musiał opuścić dom swojej matki, na wszystkich ulicach Madrytu i we wszystkich kryjówkach stawał oko w oko z tymi *tysiącami drobnych, codziennych szczegółów* - samotnością, głodem, prześladowaniami, chorobą – z których składa się Boża poezja. Nie były one jednak ani tak prozaiczne, ani tak małe. Osamotnienie było straszne i przedłużało się nad miarę. Głodu cierpiał naprawdę wiele. Choroba w sanatorium pozostawiła na nim samą skórę i kości. Prześladowania wcale się nie

skończyły. Wszystko to były znaki silnego biernego oczyszczenia, któremu poddał go Pan. Założyciel Opus Dei pokornie i hojnie przyjmował cały ten krzyż, nie zaprzestając wcale swoich dotychczasowych umartwień. Jego duch zadośćuczynienia kierował się ku osłodzeniu życia najbliższym. Próbował pocieszać zmartwionych, nie stwarzać problemów we współżyciu, świadczyć drobne przysługi azylantom. Starał się nie mówić o wojnie, ani o sobie samym. Znosił bez skargi głód. Panował nad swoją ciekawością. Uśmiechał się i stale okazywał dobry humor, wszystkim przekazując spokój i radość. Był uprzejmy, punktualny i uporządkowany. Ofiarowywał Bogu wyrzeczenia i przykrości, których nie brakowało. W końcu, od czasu do czasu, wymierzał sobie dyscypliny, aż do krwi.

Zwykle, nie tłumacząc dlaczego, Ojciec prosił, by zostawili go na chwilę samego w pokoju. Albo wykorzystywał moment, że pozostali znajdowali się na drugim końcu domu, w jadalni, aby używać dyscypliny. Jednak pewnego dnia musiał to zrobić w obecności świadka, bo Álvaro leżał w pokoju, na materacu z gorączką. *Zakryj sobie twarz płaszczem* – polecił mu Ojciec. I słychać było uderzenia, miarowe i mocne. Z ciekawości Álvaro je policzył. Było ich tysiąc, wszystkie jednakowo silne, wszystkie w tym samym rytmie. Podłoga – jak wspomina świadek – była spryskana kropelkami krwi, lecz zanim inni weszli Ojciec wszystko dobrze wyczyścił[224].

Pan przyjął tę hojną ofiarę. Nie tylko w intencji jego bliskich, lecz także jako zadośćuczynienie za całą masę zbrodni i obraz popełnionych

podczas wojny. Myśl o tym dręczyła don Josemarię:

Dziś dziadek jest smutny – pisał do swoich „wnuków” z Walencji. – Przygnębiony, pomimo ogromnej serdeczności jego najbliższych. I pomimo całej heroicznej cierpliwości mego siostrzeńca Juanita, który dziś nie rozstawia nas po kątach.

Przypomina sobie swoją młodość i rozmyśla nad obecnym życiem. I chciałby bardzo zachowywać się dobrze, za tych, którzy zachowują się źle. Niczym don Kiszot chce zadość czynić, cierpieć, pokutować.

Przychodzą wtedy do niego rozum i wola (Miłość), i Miłość przybywa pierwsza. Ale przybywa tak bezradna, tak niezdolna do czynu! Dziadek jest smutny, ponieważ nie uda mu się - starcowi bez sił – jeśli nie pomogą mu swoją mądrością jego duchowe wnuki[225].

W liście z 6 maja do członków Dzieła z Madrytu wyrywa się jeszcze bardziej gorzkie zwierzenie: *Z całego tego roku najgorsze są dni, które spędzam rzucony... na te głębiny. Na pewno jest lepiej być w więzieniu. Cierpi się i można to cierpienie ofiarować. Ale nie tędy droga*[226].

Czas w ciągu dnia miał wypełniony zajęciami. Jednak większą część nocy spędzał bezsennie. *Tak więc kilka nocy temu – opowiada założyciel Opus Dei tym razem swoim synom z Walencji – jakoś koło drugiej nad ranem obudził się Wasz wuj Santiago, który śpi razem z Jeannot i ze mną na dwóch materacach, i zawołał do mnie: „Człowieku, co ty robisz? Czy ty... płaczesz?” A potem miał tupet, by powiedzieć mi, żebym rankiem pośpiewał sobie flamenco. By rzec prawdę -nie wiem, jak to powiedzieć w liście, najlepiej, - że stary, stary dziadek, śpiewam i płaczę. Ale zawsze z bardzo głęboką radością, pełną*

nadziei, która nie ma wiele wspólnego z operą flamenco[227]. Co się stało księdzu, zawsze tak spokojnemu i radosnemu, temu pełnemu energii optymście?

W dziesięć dni później, 30 maja, pod koniec długiego listu do Walencji zwierza się ponownie: *Czy chcesz, bym Ci powiedział, Pacorro, co się stało dziadkowi? Chcę ci w części o tym opowiedzieć. Ma on bardzo osobiste troski, bardzo... swoiste (jeśli nie mam nic własnego!), to po pierwsze; po drugie, uderzyli tam, gdzie to najbardziej boli – we wnuki. I to prawie wszystko*[228].

Jak zawsze Pan wymierzał *jedno uderzenie w gwóźdź i sto razy dookoła*. Ojciec cierpiał, martwiąc się o swych synów. Z braku wiadomości tylko wyobrażał sobie ich cierpienia. Jednak to wyznanie, uczynione Paco Botelli, jest bardzo zawoalowane, niejasne, pełne niedomówień. Jakie

były troski, które go przytłaczały i co się z nim działo?

Na pewno zdarzało mu się to nie po raz pierwszy. Jeśli uważnie przejrzymy *Zapiski*, znajdziemy tam notatkę, w której używa podobnych sformułowań. Została ona sporządzona w lecie i na jesieni 1931 roku, w okresie wielkich cierpień i wielkich łask. Symptomami były *wielka udręka i osamotnienie*, wraz z pokusami buntu i niezadowolenia z woli Bożej oraz *rzeczy niskie i nikczemne*. Przyczynami tego było *tak naprawdę to, co zawsze. Ale jest coś najbardziej osobistego, co, nie niszcząc zaufania do Boga, powoduje u mnie cierpienie [...] i myślę, jak o środku zaradczym, o ukochanej ciężkiej chorobie, którą w swoim czasie ześle na mnie Bóg*[229].

Te *bardzo osobiste troski*, to *coś najbardziej osobistego*, co sprawiało mu cierpienie, stanowiły etap

biernego oczyszczenia, w którym Bóg go całkowicie odrywał od wszystkich uczuć, które by nie były Bożą miłością. Już wcześniej był zupełnie przeniknięty kontemplacją mistyczną *do tego stopnia, by spojrzeć prosto w słońce*[230].

Z tego okresu ciężkich oczyszczeń biernych, zesłanych przez Boga na jego duszę, założyciel Opus Dei pozostawił kilka notatek sporządzonych w konsulacie. W jednej z nich, z soboty 8 maja 1937, czytamy: *Najgorsze dni tego roku spędziłem w Hondurasie* (tych samych słów użył w liście z 6 maja do członków Dzieła w Madrycie). I dalej ciągnął: *Myślę, że rzadko cierpiałem tak bardzo, jak teraz*[231].

Wszystko to było objawem tego, że został przybity do Krzyża, przewidzianego jeszcze przed wybuchem wojny domowej. Krzyż został przezeń z miłością przyjęty

wraz ze wszystkimi towarzyszącymi mu cierpieniami fizycznymi i moralnymi. Następowало między innymi mistyczne oczyszczenie całego jego jestestwa, które było bardzo intensywne i zachodziło okresowo, także w innych momentach jego życia.

Mieszkanie piętro wyżej stanowiło aneks przynależny do konsulatu. Było przepełnione uchodźcami. Między innymi znajdował się tam Recaredo Ventosa i inni ojcowie Najświętszych Serc*. U ojca Ventosa co tydzień spowiadał się don Josemaría[232]. Jakież musiało być zdziwienie zakonnika, gdy w niedzielę 9 maja w środku nocy obudził go ktoś z mieszkania piętro niżej, żądając pilnego widzenia. Opowiada nam o tym jego gość:

Niedziela, 9 maja 1937. – Cierpiałem tej nocy strasznie. Pół biedy, że

mogłem ulżyć sobie, o wpół do drugiej czy może o drugiej nad ranem rozmową z zakonnikiem, który znalazł tu schronienie. Prosiłem wielokrotnie, ze łzami w oczach, abym mógł szybko umrzeć w łasce Bożej. To tchórzostwo: myślę, że to cierpienie, coraz większe, nie jest niczym innym, jak skutkiem mojego ofiarowania się Miłości Miłosiernej. Umrzeć – modliłem się – bowiem z góry będę w stanie pomóc i tutaj jestem tylko zawadą i obawiam się o swoje zbawienie. W końcu z drugiej strony rozumiem, że Jezus chce, żebym żył, cierpiąc, i pracował. Wszystko mi jedno. Fiat[233].

Tak straszny był jego smutek, że zapadł na zdrowiu. Do soboty 15 maja nie podniósł się z łóżka. W następny piątek napisał taką notkę, najprawdopodobniej o charakterze autobiograficznym:

Jakbyś był obdarty ze skóry. Tak się czujesz. Wszystko sprawia ci ból, poprzez wszystkie władze umysłowe i wszystkie zmysły. A wszystko jest pokusą... Biedne dziecko![234]

Ta wewnętrzna nawałnica, bierne oczyszczenie, które pochodziło z przeszłości, trwało długo:

23 maja 1937 – niedziela. Oto moja modlitwa z zeszłej nocy wobec lęku niespełnienia woli Bożej oraz niepokoju, jaki odczuwam o moje zbawienie: „Panie, zabierz mnie. Z innego świata, z czyśćca będę w stanie więcej zrobić dla Dzieła i dla moich synów i córek. Ty użyjesz innego narzędzia, bardziej podatnego niż ja – i wierniejszego - aby rozwinąć Dzieło na ziemi”[235].

W samym środku nocy duchowej wszystkimi zmysłami pojmował, dzięki wlanej jasności, swoją niezdarność jako narzędzia do uczynienia Dzieła, swoją niegodność

z powodu niewiernego wypełniania misji i swoją nędzę jako grzesznika godnego kary.

Z ciemności, jakie zapanowały we wnętrzu jego duszy dobiegają nas inne zaskakujące odgłosy batalii wewnętrznej, jaką toczył:

„Jezu, jeśli nie będę narzędziem takim, jakim pragniesz, jak najszybciej zabierz mnie w Twej łasce. Nie boję się śmierci, mimo mego grzesznego życia, ponieważ pamiętam o Twej Miłości: tyfus, gruźlica albo zapalenie płuc... albo kula w łeb, wszystko jedno[236].

Całe jego jestestwo przytłaczała przemożna udręka. Nagi w obliczu Boga, z całym synowskim zaufaniem ogłaszał zwycięstwo miłości nad śmiercią: *Nie boję się śmierci, mimo mego grzesznego życia, ponieważ pamiętam o Twej Miłości.* Jednak razem z tą miłością Bożą trwa, mistycznie oczyszczona, miłość do

Dzieła i miłość ojca do swych córek i synów. Tylko swym zapiskom powierza tajemnicę owych *bardzo osobistych trosk, bardzo... swoistych*. Zbyt daleko były jego walencjańskie „wnuki”, aby mogły domyślić się, co się działo z „dziadkiem”. *Cierpię straszną udrękę i zwątpienie, kiedy myślę o swoim zbawieniu. O, Boże! O Matko moja! Czy pozwolicie na to, bym się sam potępił? Święty Józefie, Ojczy i Panie mój! Zegarmistrzu! Święty Piotrze! Święty Pawle! Święty Janie!*[237]

„Dziadek” starał się heroicznie zapanować nad straszliwą walką, jaką toczyły jego uczucia, aby w swoich listach nie zrobić wrażenia płacznego. Zachowywał dla siebie swój ból i cierpienie, starał się w miły sposób przedstawiać wydarzenia mogące napełnić jego wnuki radością. Robił to w sposób być może nazbyt kwiecisty, żartobliwy, a nawet krotchwilny:

Od dziadka do Perica, via Paco, do wszystkich jego wnuków.

Madryt, środa, 26 maja 1937:

(Pisał to, gdy światło dnia rozproszyło tę straszną noc wątpliwości i okropnych udręek, w której bał się pograć. Jego dusza wciąż jeszcze była targana wołaniem o śmierć, gotów był na to, by milicjanci dali mu kulę w łeb pod ścianą).

Jeszcze starczyło mu dowcipu, by przywołać w liście do swych „wnuków” anegdotkę z tej bezsennej nocy:

Dziadek mało śpi (tylko się ze mnie nie śmiejcie), pośród nocy ciszę przerwał głęboki i przenikliwy dźwięk, jakby bił zegar na wieży katedralnej: była pierwsza w nocy: plaaam! I wtedy dał się nagle słyszeć płaczliwy i załamany głos jakiegoś

stworzenia w spódnicy: „Biedactwo! Jakże musi się czuć samotna!”[238]

(W ciągu wielu bezsennych nocy założyciel Opus Dei często słyszał w swym pokoiku na końcu korytarza odgłosy i hałasy czynione przez innych azylantów. Pewnej nocy słyszał uderzenie zegara w holu, wybijającego pierwszą oraz towarzyszący mu głos kobiety).

Przeżywane przez niego straszliwe próby wewnętrzne nie odebrały mu spokoju. Jego listy tryskają dobrym humorem, przepojone są „Bożą słodyczą” – jak powiada Paco Botella, dodając, że „zza żartów i wdzięku jego słów wyzierało wielkie cierpienie, troska o wszystkich”[239].

Nigdy jego „wnuki” nie dowiedziały się o tym straszliwym oczyszczeniu, którego doznawała jego dusza, chociaż zdawali sobie sprawę z jego wyczerpania fizycznego. Po wizycie, jaką złożyli w konsulacie Isidoro oraz

Manolo Sainz de los Terreros, ten pierwszy przytacza znakomity opis Ojca: „Wczoraj byłem z Manolínem zobaczyć się z dziadkiem. Ponieważ już parę miesięcy chłopak go nie widział, uznał, że jego stan znacznie się pogorszył. Rzeczywiście wychudł bardzo, nic prócz żywości spojrzenia nie przypomina jego poprzedniego wyglądu, ale cały czas ma takie samo usposobienie. Jego słowa ożywiają, zaszczepiają życie. Wywołują prawdziwy wstrząs, sprawiając, że wyrzekamy się drobnych rzeczy materialnych, do których człowiek w swojej niedoskonałości się przywiązuje. Kiedy się wychodzi po rozmowie z nim, czuje się dziwną lekkość, jakby ci zdjęto z barków ciężar, który ci przeszkadzał. Trzeba pogłębić miłość i serdeczność względem niego, gdyż on jest stale zatroskany o swoich chłopców. Przy każdej okazji jego myśli biegną do nas. Pamięta o nas w modlitwie, zwłaszcza wtedy, gdy co dzień

nawiedza naszego wielkiego dobroczyńcę Don Manuela”[240].

- „Firma dziadka”

Ze swego azylu założyciel Opus Dei kontynuował pracę nad Dziełem, pozostając w stałym kontakcie z Panem. Prowadził listowne apostołstwo i cenzura nie stanowiła dla niego większej przeszkody, pokonywał ją bowiem z inwencją i dobrym humorem. Istnieje list z 29 kwietnia 1937 roku, w którym przypomina swym dzieciom ze „szczęsnego Lewantu” o odpowiedzialności, jaka spoczywa na nich, by stworzyć Opus Dei w przypadku, kiedy on umrze:

Mam nadzieję, że już wkrótce będę mógł Was uściskać. Na razie nie zapominajcie o biednym starcu, a jeśli ten starzec – co jest rzeczą naturalną – odmaszeruje, na Was spadnie obowiązek kontynuacji, każdego dnia z większą energią, rodzinnego

interesu. Mówię Wam w zaufaniu (takim, jakie ma dziadek dla wnuka), że gdy widzę, że zostały ze mnie tylko same kości, i to takie których istnienia nawet nie podejrzewałem, a zdrowie mi dopisuje (będzie, co będzie), myślę, że będę jeszcze żył całe lata, aż do chwili, gdy zobaczę tę dzieciarnię, moich synów i wnuków, dobrze urządzonych w życiu. Ale, ale, nie zapominajcie, że – nalegam – gdybym odmaszerował, nie powinniście za nic porzucić mojej firmy, która daje nam wszystkim bogactwo i dobrobyt. Już prawie nie wiem, co piszę. Życie? Ba... Życie!

[...] Dzieciaki! Interes w najbliższej przyszłości ma tak świetne perspektywy, że tylko głupiec nie skorzystałby z możliwości wzbogacenia się i szczęśliwego życia. Ludzie słusznie twierdzą, że kiedy dojdzie się do siedemdziesiątki (sam mam osiemdziesiąt lat), wzmagają się skąpstwo. Chciałbym, żebyście

wszyscy byli zalani promieniami
Słońca, które nada Wam blask
czystego złota, które świeci nad moimi
bliskimi, zarobionego, dobrze
zarobionego, na skutek trudu
dalszego prowadzenia spraw
majątkowych mojej rodziny.

Mariano, opowiadasz mnóstwo
głupot. To pewne. Czym skorupka za
młodu nasiąknie, tym na starość trąci.
Zawsze byłem ambitny. Chciałem
osiągnąć wszystko. I ponieważ nie
wydaje mi się, by była to zła droga,
mam zamiar popchnąć na nią moich
ludzi.

Ambicja! Błogosławiona ambicja! Ile
trudności może przewyciężyć! Kiedy
ma się apetyt na wielkie rzeczy,
trudno się ubabrać w bajorach, które
są ich przeciwieństwem, czymś
bardzo niskim. Jeśli przeznaczam
siebie – o błogosławiona ambicjo, o
święta ambicjo! – do tego, co wielkie
(a urodziłem się do tego, co wielkie),

będę wiedział, dzięki otrzymanej pomocy, jak nie uwikłać siebie w małych rzeczach. To ważne. Nie powiedziałem tego, by lekceważyć to, co małe, ponieważ byłoby to zwykłe barbarzyństwo. To, co wielkie, co największe, osiąga się dzięki drobnym wysiłkom.

Następnie tłumaczy im bardzo dyskretnie wielkie znaczenie jego umowy zawartej z Panem, by zadośćuczynić za winy własne i cudze, i prosi o opiekę nad swym przedsięwzięciem:

Nie wiem, czy wiesz, że postanowiłem dla dobra mojej rodziny, która zawsze stanowiła moją wielką słabość, pokonać kłopoty ekonomiczne, z którymi się boryka: zamierzam spłacić wszystkie długi. Nic więcej Ci nie powiem. Nie zapominaj, że ja też mam sporo własnych długów. W ten sposób można upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Teraz widzę siebie jako

*prawdziwego starca, bez sił i...
zniechęconego do wszystkiego. Jednak
dałem słowo. Nie wycofam się. Ulituj
się i razem z pozostałymi wnukami
pomóżcie mi, jak możecie. Tylko tego
brakowało, żeby wszystkie moje
zamiary skończyły się jednym wielkim
krachem albo nawet wstrzymaniem
spłat. Ja się trzęsę ze strachu: lecz
ufam, że mogę liczyć na wysiłek i
poświęcenie całej mojej rodziny[241].*

W dwa miesiące później
wzmocniony wewnątrz ciężkimi
próbami, na jakie wystawił go Pan,
wrócił do sprawy swego
przedsięwzięcia – swego „interesu” –
przejawiając zdwojony
 optymizm: *Wasz dziadek – pisał im 24
czerwca – znów trzyma rękę na pulsie
spraw. Co za wiadomość! I
zapewniam was, że ma teraz więcej sił
niż przed chorobą, chociaż jest
chudszy o dobre 40 kilogramów[242].*

Nie zniechęcały założyciela Opus Dei właściwe dla tego okresu trudności, *przecież wojna – mówił im – nie tylko nie niszczy, ale nawet może stanowić nowy impuls dla wielu przedsięwzięć, jeśli ci, którzy nimi kierują nie prześpią okazji*[243].

Założyciel Opus Dei miał oczywiście wielką ochotę, aby dać nowy impuls swojemu Bożemu przedsięwzięciu, trawiła go niecierpliwość, jak pisał do swoich duchowych synów z Madrytu:

Kiedy wreszcie znowu zacznę pracować, co nastąpi już wkrótce, narodzę się na nowo.

Wiedz, że dziadek jest bardzo zadowolony ze wszystkich swych wnuków, bez wyjątku. Czy to jasne? I myśli, że oni będą zawsze potrafili żyć pełni optymizmu, radości, z ich całym uporem, z przekonaniem, że nasze przedsięwzięcia zajdą na szczyt, i z

tym wewnętrznym poczuciem, że wszystko idzie ku dobremu[244].

Czy rzeczywiście wszystko szło ku dobremu? W połowie czerwca dowiedział się, że w kwietniu Pepe Isasa, jeden z członków Dzieła, który znajdował się po drugiej stronie frontu, poległ w walce. Natychmiast Isidoro przekazał wszystkim życzenie założyciela Opus Dei: aby składali ofiary za jego duszę, odmawiając trzy części różańca i ofiarowując Komunię Świętą („Dziadek powiedział mi: powiedz moim wnukom, żeby zanieśli trzy wiązanki róż Matce don Manuela od Pepego i jeśli będą mogli, niech zjedzą podwieczorek z tym dobrym przyjacielem”)[245].

Dla „dziadka” wieść o stracie tego „wnuka”, była „słodko-gorzka” wiadomością:

Dziadek nie wie, co ma Wam powiedzieć - pisze do swoich

podopiecznych z Walencji. –
Poleciałem abyście zrobili coś, o co także Ignacio[246] Was poprosi: róże - trzy bukiety - na grób. A także, abyście odwiedzili don Manuela. Idźcie do don Manuela! Jak bardzo jestem mu wdzięczny. Moje łzy - nie wstydzę się tego, że płakałem - to nie są łzy protestu z powodu śmierci mego najukochańszego wnuka: pogodziłem się z nią. Ale proszę Was, żebyście - wraz ze mną - polecali moich chłopców, aby żaden więcej nie odszedł.

Jesteście zadowoleni, co? Czy nie mówiłem Wam już nieraz, że dziadek ma wielki Dom, gdzie czeka na niego cała gromada wnuków?

To zbyt wygodne. Trzeba zostać tutaj - i dalej się starzeć - aby prowadzić nadal interes - wspaniały, ogromny - który wasza rodzina ma w swoich rękach, od ponad ośmiu lat[247].

Było oczywiste, że przedsięwzięcie, jakim było Opus Dei, wielkie i powszechne, potrzebowało wielkiej liczby osób. Niezmierzony zapał apostołski założyciela był w stanie przełamać wszelkie bariery nawet z miejsca odosobnienia:

*Udzieliły mi się te wariackie obawy
mojego brata Josemaríi. To wariat,
skończony wariat. Z jakiegoś powodu
przecież znalazł się w domu
wariatów. Chciałbym przemierzyć z
jednego końca na drugi cały - tak
niewielki - świat, stopić wszystkie
lody, wyrównać wszystkie góry,
wyplenić wszystkie nienawiści,
uczynić szczęśliwymi wszystkich ludzi
i sprawić, by to pragnienie jednego
stada i jednego pasterza szczęśliwie
stało się faktem.*

*Wydaje się, że głowa mi pęknie, tak
jakby miał eksplodować. I cudem
chyba tak się nie dzieje. Nie mieści się
w ludzkiej głowie (w sercu owszem)*

*tak wiele wielkich spraw. Dlatego któż
da mi tyle głów i serc, młodych i
czystych, aby napełnić je ideami i
szlachetnymi, wzniosłymi
pragnieniami!*

*Chociaż w to nie uwierzysz, dzieciaku,
pół godziny temu cerowałem skarpety
jednego z moich najbardziej
niesfornych wnuków. Szalencie nie
przestaje stąpać po ziemi[248].*

Te wielkie apostołskie wzloty
wyobraźni, podczas „cerowania
skarpet” jednego ze swych
duchowych synów, prowadziły jego
myśli daleko, do członków Dzieła,
którzy znajdowali się w
rozproszeniu. Pomoc Isidora jako
sekretarza i osoby zajmującej się
rozprowadzaniem korespondencji
opuszczającej konsulat była w tym
przypadku niezastąpiona. Listy
adresowane do *szczęsnego Lewantu*
(od dziadka do Perica, via Paco, do
wszystkich jego wnuków) szły do

Walencji na nazwisko Paco Botelli. Stamtąd były przesyłane do Torrevieja, gdzie przez długi czas przebywał Pedro Casciaro. Potem czytał je Rafael Calvo Serrer, który odbywał rekonwalescencję w Alcalalí, wiosce w prowincji Alicante. Gdy wszyscy - nawet Chiqui, znajdujący się w więzieniu w Walencji - dobrze zapoznali się z tym, czego życzy sobie od nich Ojciec, były chowane.

Don Josemaría przelewał całe swoje serce na karty tych listów. Przy pewnej okazji Juan Jiménez Vargas, zastanawiając się nad skomplikowanym sposobem wysławiania się, jaki z powodu cenzury ojciec musiał przyjąć w tych listach, skomentował: „Jakież śmieszne wyda się to wszystko w przyszłości!”. – *Nie ma w tym nic śmiesznego!*[249] - odpowiedział mu Ojciec. Zwierzenia „dziadka” były dla jego „wnuków” połową życia,

prawdziwym skarbem. „Modlitwę rozpoczynaliśmy od jego listów” - opowiada Paco Botella. A kiedy wszystkie już zostały przemodlone przez wszystkich, „zabierał je Pedro i chował je w bezpiecznym miejscu. I tak się działo aż do końca wojny. Te listy od Ojca spoczywały w kasie pancерnej pewnego banku”[250].

Dzięki temu, że zupełnie nie zwracał uwagi na śmieszność, mógł jasno okazać najwyższą miłość, jaką czuł do swoich „wnuków”. Do tego stopnia, że Isidoro, zawiadamiając walencjan o wielkiej radości Ojca, jaką wzbudziła wieść, że Chiqui wyszedł z więzienia, dodaje: „Nie możesz nawet sobie wyobrazić, jak wielki niepokój czuł dziadek. Był niespokojny, naprawdę jego miłość do wnuków graniczy z delirium, staje się jego wielką obsesją. Jaka ogromna odpowiedzialność spada na nas, abyśmy tę miłość odwzajemnili”[251]. „Dziadek”

wielokrotnie czytał otrzymywane listy, tak często wracał do wiadomości od swoich „wnuków”, że kiedyś Álvaro zapytał go żartem, czy nie ma zamiaru przyszpilić ich sobie na klapach marynarki, aby stale mieć je pod ręką[252].

Chiqui wyszedł z więzienia i na kilka dni zatrzymał się aby odpocząć w Alcalalí, gdzie przebywał także Rafael Calvo Serrer. Tego samego dnia obaj otrzymali list z Madrytu:

Od dziadka do Chiquiego, 27 VII 1937

Mój kochany chłopcze!

Z radości, jaką sprawiły mi wiadomości od Ciebie, możesz wywnioskować, jak bardzo bolało mnie to, że pisał do mnie Paco, a nie Ty osobiście, z powodu pobytu w sanatorium. Tak już jest na starość!

Dużo o Tobie myślałem.

Towarzyszyłem Ci myślą, bardziej niż

możesz sobie wyobrazić. Don Ángela
stale nagabywałem, żeby zajmował
się moim wnukiem, jakbym ja to robił
osobiście. A nawet lepiej.*

*Przypuszczam, że wysłuchał mnie i
nie przestanie tego robić. To mój
dobry przyjaciel!*

*Możliwe, że już wkrótce (mówię
poważnie) mój brat Josemaría razem
ze swym synem Jeannot, wyjadą do
naszej ojczyzny. Przypilnuję, żeby
Ignacio napisał o tym do Ciebie.*

*Jak ci leci u Rafy? Ten szczeniak
zdobył moje serce - chociaż jest
jeszcze taki młody - swym oddaniem
dla braci[253].*

*A oto kolejny list, do Rafaela Calvo
Serrera:*

Od dziadka do Rafy. 27 lipca 1937

Pozdrawiam.

*Chłopcze, oto parę linijek
przeznaczonych wyłącznie dla Ciebie.*

*Twoje listy, chociaż się z tego śmieje
Alvarote, przeczytałem już sam nie
wiem ile razy. Bardzo możliwe, że
teraz Twoja kolej, by wysłuchać tych
tysięcznych docinków tych
chłopaczysk, którzy mieszkają razem
ze swym dziadkiem. Co za ludzie!*

*Dobrze więc. Już wiesz, że to
nieprawda - to tak naprawdę przemili
chłopcy.*

*Miłość, jaką okazujesz swoim braciom
- choćby Chiqiemu - ujęła mnie. Don
Manuel i ja dziękujemy Ci za to Twoje
naturalne wspaniałe zachowanie.
Mam zamiar Cię serdecznie uściskać,
kiedy Cię dopadnę!*

*Nie trać ducha. Wyzdrowiej, chociaż
masz wrzód, tak, żebyś tryskał
zdrowiem. Jeśli tylko zdołasz, zachodź
do syna donii Maríi codziennie: to
wielki Przyjaciel, prawda?*

*Pamiętaj koniecznie o rodzinie
(dziadek nie ośmiela się prosić, żebyś
pamiętał także o nim) i coraz bardziej
pielęgnuj cechy właściwe naszej
rodzinie.*

*Wszyscy ściskają Cię mocno, ze mną
na czele*

Mariano[254].

Nie mógł usiedzieć na miejscu gdy myślał, ile rąk do pracy wymagało to przedsięwzięcie. A nieliczni współpracownicy, jakich miał, wymagali odpowiedniej troski. Wszystko to dostrzegał ze swego schronienia, którego nie był w stanie opuścić. Jako ojciec rodziny musiał troszczyć się o swoich synów i zachęcał donię Dolores, aby zajęła się tymi, którzy krążyli po Madrycie, nie mając domu rodzinnego ani żadnej troskliwej kobiety, która by zadbała o to, by coś im zacerować, czy też

zadbać o ich wygląd. *Mamo, pamiętaj, że jesteś babcią dla moich synów*[255] – pisał do niej.

Był też świadom, że zawirowania wojenne zabrały ze sobą większość pierwszych kobiet z Dzieła: *Myślę, że brakuje mi jednego wnuka – mojego drogiego Pepe – i sam nie wiem ilu wnuczek – zauważał z bólem*[256]. Spośród gromadki kobiet, które poprosiły o przyjęcie do Dzieła, udało mu się zlokalizować tylko jedną z nich – Hermógenes. Polecił więc Isidoro, by jej przekazał, że gdyby spotkała którąś z pozostałych, to niech poprosi je o modlitwy, lecz by nie podawał im jego adresu, aby oszczędzić im ryzyka i niepokojów[257]. W tych wyjątkowych okolicznościach nadeszło jednak kolejne kobiece powołanie, w liście przyniesionym pocztą pomimo cenzury wojennej.

Lola Fisac miała brata, Miguela, który, będąc rezydentem na ulicy

Ferraz, poprosił o przyjęcie do Dzieła. Teraz ukrywał się w domu swych rodziców w Daimiel, miejscowości położonej w La Manchy. Don Josemaría korespondował z nim za pośrednictwem Loli. To Miguel pomyślał o tym, by zaproponować jego siostrze przystąpienie do Dzieła. Potem już sam Ojciec przedstawił Loli tę możliwość[258], nalegając w obliczu Pana (don Manuela, Manola), aby udzielił jej powołania do Dzieła. W tym samym liście, napisanym w wigilię święta Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny, dziękuje jej za paczki żywnościowe, które przysyłała z Daimiel:

Od dziadka, do Loli, z Tegucigalpa!, 1 lipca, w wigilię imienin mojej Matki – 1937

Moja Kochana Dziewczyno,

Nie wiesz, jak Ci jestem wdzięczny za Twoją troskę. To niemożliwe, żeby Manolo nic nie robił, by rozpałić w Tobie miłość, aby spełnić moje pragnienie, każdego dnia bardziej skuteczne, abyś stała się częścią mojej rodziny.

Możesz mi wierzyć, że tego właśnie się spodziewam. I wybacz mi, że mówię do Ciebie szczerze, to sprawa mojego wieku... a poza tym zbyt wiele uczucia mam do Was wszystkich! Za pozwoleniem, no nie?[259]

Już wkrótce Pan spełnił jego pragnienia, ponieważ w dwa tygodnie później założyciel Opus Dei mógł napisać do Loli: *To nic, malutka: bardzo się cieszę, że mogę ci mówić: wnuczko!*[260]

A w miesiąc później, gdy Lola miała czas, by umocnić się w podjętej decyzji, napisał do niej znowu:

Do mojej wnuczki Loli.

Droga Dziewczyno,

*Dziadek dzięki Twoim paczkom
popadnie w obżarstwo. Nic więcej nie
powiem. Jakież wspaniałe ciasta!
Palce lizać... Nawet Jeannotowi nie
przeszkadza w tym jego nazbyt długi
doktorski nos.*

*Don Manuel... Zmilczę. Tylko jedno
pytanie! Jak tam postępuje to
zakochanie? I jeszcze jedno: Czy tak
naprawdę, naprawdę wolisz go od
wszystkich innych i chcesz wejść do
rodziny tego dziadunia?*

*Wybacz mi dziewczyno, my starcy
jesteśmy bardzo ciekawscy. Poza tym,
myślę, że już Ci zdążyli powiedzieć, że
Mariano bardzo lubi, by mu się
zwierzano: zwłaszcza jeśli chodzi o
zwierzenia Miłości.*

*Przypuszczam, że zarumienisz się,
zanim odpowiesz. Ponieważ nie mogę
Cię zobaczyć, nie ma to znaczenia.
Poza tym masz tylko jedno wyjście:*

powiedzieć mi: „Dziadku, na twoje pytanie odpowiadam: tak!”. Szczerze mówiąc, Loli, nie przychodzi mi na myśl, że mogłabyś powiedzieć: nie! Mam nadzieję, że już wiesz, jak zacząć swoje zwierzenia.

Kiedy rozmawiam z Manolem, wspominam o Twoich rodzicach i o całej Twojej rodzinie. Codziennie. Jednak kiedy wspominam o Tobie, zawsze mówię mu to samo: tylko od Ciebie samej zależy, czy zrealizuje się to, o czym rozmawialiśmy. Ach, nie zapominaj, że w moim domu jest wiele pracy i to pracy ciężkiej. To dopiero początek, kładziemy fundamenty. Jednak panuje tu coś, czego gdzie indziej nie znajdziesz: radość i pokój, jednym słowem: szczęście.

No dobrze, na dzisiaj koniec. Serdeczne uściski dla Twoich rodziców i nie zapominaj o Twoim dziadku.

Mariano[261].

Kiedy nadchodziła pora na spoczynek, i w końcu uspokajał się panujący dookoła zgiełk – *w tej samotności, którą się cieszymy w nazbyt liczonym towarzystwie*[262] – jak wyrażał się „dziadek”, rozmawiał on z Álvarem, szepcząc do swego sąsiada z materaca o „interesie rodzinnym”. Cóż mu wtedy mówił?

Pomiędzy energiczne i zamasyście postawione wiersze listu „dziadka” do „wnuków” z Walencji, niczym ziarno posiane w brzdach, wciśnięte jest drobne pismo Álvaro, który pisał o „interesie rodzinnym”:

„Przeżyliśmy wielką radość, otrzymawszy wiadomość o Chiquim. Jak bardzo chcielibyśmy wszyscy się spotkać, razem, odświeżyć więzi! To będzie właśnie to, czego nam potrzeba. I być może – nie wiem – jest to potrzebne, by nabrać nowego zapachu do zajęcia się interesem, który

dziadek i my mamy w swoich rękach. Nocami, kiedy inni jeszcze nie śpią, dziadek i ja, wyciągnięci na rozłożonych materacach, rozprawiamy o wszystkich tych rodzinnych sprawach.

To prawda, że okoliczności utrudniają rozwój interesu. Wszystko się sprzysięgło przeciwko nam. Sprawy materialne, brak personelu: wszystko. Jednak pomimo swoich lat dziadek nigdy nie upada na duchu. Brak pieniędzy nie stanowi dla niego – zresztą jak dla nas wszystkich – problemu. Wszystko zależy od tego, czy się pracuje z wielkim entuzjazmem. To, i wielka wiara w powodzenie potrafią wszystko przezwyciężyć, jak mówi ten biedny starzec. Jednak to, co jest przyczyną jego smutku – uczucia, które towarzyszy ożywiającej go nadziei – jest brak personelu. Jesteśmy bardzo małą rodziną. Nie daj Boże więc, jeśli już jest nas tak

mało, by któryś umarł albo pozostał niezdalny dla prowadzenia interesu! [...] Od teraz aż do chwili, gdy będziemy mogli pracować, powinniśmy powziąć mocną decyzję, by być bardzo zjednoczeni z resztą rodziny, a przede wszystkim z don Manuelem i biednym dziadkiem. Dobrze sobie na to zasłużył. Poza tym jest to logiczne. Bez ślepego oddania tych, którzy stoją na czele, nie jest możliwe, by dojść do jakiegoś dobrego skutku. Nie możecie się skarżyć, że będąc tak daleko, dowiadujecie się o treści rozmów, które prowadzimy z dziadkiem, leżąc już w łóżkach”[263].

Praca i ponoszenie odpowiedzialności stanowiły dla założyciela Opus Dei środek zaradczy, który mógł zapomnieć o sobie samym, aby żyć ewangelicznym powiedzeniem: „*non veni ministrari, sed ministrare**”, co – jak w nieco dowolny sposób tłumaczył

*jako: nie przyszedłem ich zamęczać,
ale ich znosić*[264].

Był odpowiedzialny za *wykarmienie sześciu gąb i napełnienie odpowiadających im sześciu żołądków*[265]. Na dłuższą metę musiał liczyć się z nieuniknionym głodem. Jeśli nawet nie był to jego problem, to na pewno problem młodych ludzi, którzy mu towarzyszyli. Przewyciężając opór, z jakim mówił o jedzeniu, uznał z pewnym trudem, że w Madrycie panuje głód. Wstydliwie i nieśmiało zebrał o jedzenie dla swoich towarzyszy. W takim tonie utrzymana jest krótka notka dla Isidora: *Gdybyście mogli, byłbym Wam bardzo wdzięczny, gdybyście przynieśli coś do jedzenia, ponieważ ostatnio panuje głód. Jeśli to niemożliwe, nie przejmujcie się. Cierpliwości. Już się zaczynamy przyzwyczajać*[266].

Isidoro powyższą notkę otrzymał za pośrednictwem rodzeństwa Álvaro, które zabrało ją z konsulatu.

Odpowiadał więc następnego dnia:

„Jeśli chodzi o jedzenie, które mógłbym przynieść do konsulatu, z tym stoimy bardzo kiepsko, nie ma teraz żadnych owoców. Kiedy przyślą nam kiełbasy obiecane z Daimiel, prześlemy je wam [...]. Szynkę, którą załączamy przysłał nam Pedro. Wina dali tyle, co kot napłakał”[267]. *Nie martwimy się o jedzenie.* – odpowiada don Josemaría na ten list. –

Zaciśniemy paski o jedną dziurkę.

Naprawdę: tyję. Uwierzcie mi[268].

Wina, którego dla niego zdobyli, było bardzo mało. Były nawet dni, w których nie mógł odprawić Mszy Świętej, bo wino skwaśniało. To było gorsze od wszelkiego rodzaju głodu: *Dziadek byłby szczęśliwy, gdyby miał wino* – pisał do Walencji. *Nie jestem pijakiem, ale don Manuelowi smakuje, więc chciałby je mieć [...]. Biedny*

dziadek, który nie ma wina na jego chory żołądek! Z tysiąca wyrzeczeń to jedno kosztuje mnie najbardziej[269].

Z Lewantu lub z Daimiel przysyłano od czasu do czasu jedzenie do Madrytu. Jednak ponieważ don Josemaría utrzymywał stały rygor postów i pokuty, zostały z niego sama skóra i kości, chociaż starał się ukryć swoją chudość za zasłoną żartów i optymizmu, określając wobec „wnuków” swoje ciało jako: *To ćwierć kilo suszonego tuńczyka, które jest Waszym dziadkiem*[270]. Bez wątpienia stale chudł, gdyż Isidoro, który widywał go bardzo często, pisał zaalarmowany do Walencjan: „Schudł jeszcze bardziej. On to przyjmuje z uśmiechem: ale to tylko cień człowieka, którym był”[271].

24 lipca 1937 roku, dwanaście miesięcy po zajęciu przez anarchistów akademika przy ulicy

Ferraz (teraz budynek pozostawał niezamieszkały, gdyż był zniszczony przez pociski artyleryjskie, miał dziury na trzecim piętrze i w dachu), Isidoro przesłał założycielowi Opus Dei na piśmie swoje refleksje na temat minionego roku: „Juan powiada, nie bez racji – twierdzi Isidoro – że trzeba naprawić za pomocą czynów te wszystkie barbarzyństwa, jakich się dopuścili przez cały ubiegły rok. Jestem pierwszy, który to popiera”[272]. Z ich punktem widzenia w pełni zgadzał się założyciel Opus Dei, pisząc: *Chodzi o to, że przez rok byliśmy nadto naiwni*[273].

Doświadczenia zyskane przy okazji sprawy ewakuacji utwierdziły ich w przekonaniu, że znajdują się w rękach Boga, jak napisał don Josemaría jeszcze tego samego dnia do Loli Fisac:

Wyjazd Josemaríi? Któż to wie! Jeśli nie zapewni mu tego don Manuel,

który ma tak duże wpływy u konsula swego kraju, wyjazd odsunie się na długo. Jeszcze raz ci powtarzam, że to są obiecanki cacanki[274].

Zgadzał się z tym także Isidoro, który informował Pedra Casciaro o tej sprawie: „Raz wydaje się, że jego ewakuacja jest się na wyciągnięcie ręki, a drugi raz realnych perspektyw nie dostrzeżesz, nawet gdybyś użył ogromnego teleskopu; teraz są one niedostrzegalne”[275].

W sumie tyle prób i zabiegów u osób z kręgów dyplomatycznych nie przyniosło rezultatu, że rozczarowany don Josemaría był gotów jak najszybciej opuścić poselstwo Hondurasu.

Zniecierpliwiony koniecznością oczekiwania na rozkręcenie „firmy”, chcąc szerzyć swoje apostołstwo, wyznaczył nawet termin wyjścia: *Pod koniec miesiąca lub w pierwszych dniach sierpnia trzeba będzie wychodzić, bez dalszej zwłoki*[276].

W tych dniach zabiegi o wyrobienie dla don Josemaríi paszportu argentyńskiego były w pełnym toku. W tym celu konieczne było złożenie właściwego aktu urodzenia.

Ponieważ Isidoro otrzymał dwa egzemplarze aktu urodzenia, myśleli o tym, że lekko podretuszowane, po zmianie nazwiska, posłużą Ojcu i Juanowi do otrzymania paszportów. W sobotę 31 lipca wyszli oni wraz z Isidorem z konsulatu, aby zrobić sobie zdjęcia. Następnego dnia poprosili Carmen, by zrobiła dla nich opaski w kolorach flagi argentyńskiej, takie same jak dla Isidora[277].

W tych dniach Tomás Alvira, przyjaciel José Maríi Albaredy, zdobył akt urodzenia innego argentyńczyka, mając nadzieję na wyrobienie sobie paszportu i opuszczenie Hiszpanii jako obcy obywatel. Ale w rozmowie z Isidorem obaj doszli do wniosku, że

lepiej będzie posłużyć się tym aktem urodzenia, by wyrobić paszport Ojcu. Zatarli za pomocą jakiegoś płynu dane osobiste, jednak papier tak pomarszczył się w tym miejscu, że trzeba było go odprasować. Potem, na maszynie do pisania o tym samym typie czcionki zapełnili puste miejsce danymi Ojca, i tak sporządzony dokument zanieśli do konsulatu. Po trzech lub czterech dniach trzeba było wrócić po paszport. Jednak te wywabiające płyny pozostawiały na papierze tak charakterystyczne plamy, że gdy don Josemaría pojawił się osobiście w ambasadzie argentyńskiej, konsul (czy może sekretarz ambasady) zaczął wypominać mu jego sposób postępowania. Don Josemaría zareagował błyskawicznie i odpowiedział mu: *Jestem prawnikiem i księdzem. Biorąc to pod uwagę, jako prawnik bronię i usprawiedliwiam pana, jako ksiądz po prostu*

błogosławię panu[278]. Grzecznie go przeprosili, lecz nie dali paszportu.

Ksiądz tę przeciwność przyjął, nie robiąc z tego tragedii, sądząc z tego, co napisał na ten temat do Isidora: *Jestem bardzo zadowolony, szczęśliwy – uwierz mi*[279]. Następnie, w dwa dni po tym niepowodzeniu, postawił przed swymi synami z Madrytu bardzo konkretne zadanie: *nękajcie wszyscy don Manuela*. To samo napisał do tych z Walencji: *zamęczajcie don Manuela, aby, jeśli to możliwe, przygotowano dziadkowi wyjazd jako ewakuowanemu, do naszego kraju*[280].

Niekontrolowany terror prowadzony przez milicje rewolucyjne, chociaż nie zniknął zupełnie, to jednak zmniejszył się znacznie[281].

Santiago zamieszkał teraz z matką i siostrą i swobodnie poruszał się po Madrycie, zaopatrzony w dwie legitymacje – jedną anarchistyczną z

CNT oraz drugą z Akademii Pomocy Międzynarodowej. Także Isidoro otrzymał ze swej ambasady zaświadczenie o pracy, konieczne by mógł uzasadnić swój pobyt w Madrycie.

Inna sprawa o żywotnym znaczeniu, to jest sprawa jedzenia, została po części rozwiązana dzięki hojności tych z Lewantu i Daimiel. Jak mówił Isidoro, „trzeba jeść niemal korespondencyjnie”[282]. Paczki pocztowe lub przesyłki przesyłane przez posłańców były bardzo niewielkie dla tak wielu żołądków, ale w jakimś stopniu zaspokajały potrzeby.

20 sierpnia wraz z paczką żywnościową z Daimiel do Isidora dotarł list „do dziadka”. Było to wyznanie oblanej rumieńcem panny, odpowiedź na pytanie zadane przez Ojca dwa tygodnie wcześniej: „Na oba pytania dziadka odpowiadam, że

tak, że wolę go bez żadnych wątpliwości od wszystkich innych i że czuję się bardzo szczęśliwa, że stanę się częścią jego rodziny. Jego wnuczka nie zapomina o nim – Lola”[283].

Nie mogło zabraknąć słów wdzięczności wypowiedzianych przez „dziadka”:

Do Loli

Moja Najdroższa Dziewczyno!

Naprawdę ucieszył mnie Twój ostatni list. Bardziej nawet niż szynka. A ta szynka – skoro pytasz, to odpowiadam – jest najsmaczniejsza, jaką jedliśmy tutaj. Jesteśmy Ci bardzo wdzięczni. Teraz, powiem Ci to w sekrecie, sam się czerwienię: nie można tak żyć cudzym kosztem, jak ja to czynię. W końcu... don Manuel dobrze odplaca.

Jednak nie chcę nadużywać Twojej dobroci: już zbyt dużo zrobiłaś dla tego dziadka.

Pozdrów serdecznie Twoją rodzinę i przyjmij uściski od

Mariana

22 VIII 1937[284].

Mimo wielu starań sprawa wyjazdu don Josemaríi nadal nie znalazła rozwiązania. Zdecydował się więc na opuszczenie swojego schronienia i przeniesienie się do matki, na ulicę Caracas, zaopatrzony w zaświadczenie lekarskie wystawione przez doktora Suilisa[285]. Jednak sprawy się skomplikowały. Trzeba było przed wyjściem zaopatrzyć się w legitymację związkową oraz zaświadczenie o pracy, aby „komitet domowy”, który kontrolował wejścia i wyjścia mieszkańców, pozwolił mu na zamieszkanie w tamtym miejscu[286]. Natomiast plan

ewakuacji Juna był dobrze przygotowany, ale w końcu też zawiódł. „Chociaż można by pomyśleć – komentuje Isidoro – że d. Manuel nie życzy sobie jego ewakuacji, nadal prowadzimy działania w innych kierunkach”[287].

W tym samym tygodniu – to jest pod koniec sierpnia – w Madrycie pojawił się Chiqui. *I miał szczęście, spryciarz* – pisał „dziadek” do swych „wnuków” – *ponieważ razem z don Manuelem poczęstowałem go śniadaniem*[288]. (Przyjął on z rąk don Josemaríi Komunię Świątą).

To ustawiczne poszukiwanie wyjścia, chociaż zawiodły już wszystkie środki, w końcu przyniosło skutki. Don Josemaría stale zastanawiał się nad sposobem zdobycia odpowiednich dokumentów na wypadek kontroli policyjnych i wojskowych, aż w końcu przyszła mu

do głowy inna myśl. A gdyby tak konsul zatrudnił go jako księgowego konsulatu?[289]

Miał wątpliwości, czy don Pedro Jaime de Matheu zgodzi się na to, ale zdołał go w końcu przekonać. W tym królestwie głodu mianowano go ni mniej ni więcej tylko intendentem i zaopatrzonego go w dokument, w którym Konsul Generalny Republiki Hondurasu lakonicznie zaświadczał: „że José ESCRIBÁ ALBÁS, 35 lat, kawaler, pracuje w tejże Kancelarii jako INTENDENT”[290].

Pod zdjęciem przedstawiającym zainteresowanego w ciemnym garniturze i pod krawatem, znajdował się „podpis zainteresowanego i odcisk prawego palca”. (Zainteresowany – José Escriba – spontanicznie podpisał się: „Josemaría Escrivá”. Kiedy zdał sobie sprawę ze swego błędu było już zbyt późno. Po raz pierwszy i ostatni w

swoim życiu, uznał, że trzeba poprawić v w nazwisku „Escrivá” pisząc wielkich rozmiarów b. Ale dlaczego miałby się przejmować podpisem, jeśli wszystkie te papiery – zaświadczenia doktora Suilisa i konsula – były *bardziej fałszywe niż sam Judasz?*).

Ciesząc się, że ma w końcu te dokumenty i może wychodzić na ulicę, don Josemaría napisał do Daimiel, gotów podjąć obowiązki związane ze swymi zadaniami. Nie zapominając poza wszystkim dodać, że może zawieźć im Eucharystię:

31 VIII 1937

Droga wnuczko!

Zawiadamiam Cię, że mój brat Josemaría został mianowany „Intendentem” Konsulatu Generalnego Hondurasu. W ramach swoich obowiązków ma zapewnić

zaopatrzenie dla Konsulatu. I jeśli w Daimiel można kupić w odpowiednich ilościach fasolę, groch soczewicę, oliwę i mąkę etc., z wielką chęcią się tam wybierze (w towarzystwie don Manuela) służbowym samochodem konsulatu. Zobaczcie więc, czy istnieje możliwość kupienia tam tej żywności, o której wspomniałem. Jeśli to możliwe, powiedzcie mi, jakie są ceny i ile poszczególnych produktów mógłby zyskać. Jeśli nie będzie tego dużo, to J. E. Konsul nie zdecyduje się na zorganizowanie podróży.

Jaka byłaby radość, gdyby Josemaría mógł Was zobaczyć!

Oczekując na Waszą odpowiedź,
ściskam Was

Mariano[291].

[1] „Terror w Hiszpanii przypominał wojnę domową w Rosji [chodzi o wojnę z lat 1917 - 1921 – przyp. tłum.] pod tym względem, że w obu przypadkach duchowieństwo było jedną z zasadniczych ofiar przemocy. Prześladowanie Kościoła katolickiego w Hiszpanii było najcięższym, jakiego zaznała Europa zachodnia, cięższe niż nawet w najtrudniejszych momentach rewolucji francuskiej. Liczba zamordowanych duchownych – około 7000 – odpowiadała pod względem proporcji komunistycznym zbrodniom w Rosji, uwzględniając różnice w liczbie ludności, chociaż, jak się wydaje, w Rosji powszechniejsze było stosowanie tortur” (S. G. Payne, *El catolicismo español*, Barcelona 1984, s. 214). Por. F. de Meer Lecha-Marzo, *Algunos aspectos de la cuestión religiosa en la Guerra Civil (1936-1939)*, „Anales de Historia Contemporánea”, nr 7, 1988/89, s. 111-125.

[2] Aby uzyskać syntetyczną wizję całości sytuacji por.: C. Seco Serrano, *De la democracia republicana a la guerra civil*, w: *Historia General de España y América*, t. XVII „La Segunda República y la guerra”, Madrid 1988, s. XIII - LX oraz S. G. Payne, *La quiebra de la Segunda República*, w: M. Alonso Baquer (red.), *La Guerra Civil Española (Sesenta años después)*, Madrid 1999.

[3] Oczywiście jest, że konstytucja z 1876 oraz Ordynacja Wyborcza z 1890 (*Ley Electoral*) ustanawiały zasady demokratyczne w funkcjonowaniu instytucji. Jednak odrębną kwestią jest to, czy te zasady miały rzeczywistą skuteczność w kraju, w którym w 1900 r. odsetek analfabetów sięgał 60 procent.

[4] Chodzi tutaj o epokę wzbudzającą do dziś polemikę wśród historyków: „Historia polityczna hiszpańskiej II Republiki jest jednym z najbardziej

dyskusyjnych i zmistyfikowanych okresów w dziejach XX-wiecznej Europy. Republika rozpoczęła swe istnienie w sposób pokojowy, ze stosunkowo wysokim stopniem akceptacji, chociaż oczywiście postawy zajmowane wobec niej były bardzo zróżnicowane w rozmaitych grupach społeczeństwa hiszpańskiego. W ciągu dwu lat wprowadzono całą serię reform – o rozsądku i skuteczności niektórych z nich można wątpić – i doszło do nieznanej dotychczas w Hiszpanii mobilizacji politycznej społeczeństwa. Po upływie trzech lat stanowiła najbardziej spektakularny przykład dekadencji i polaryzacji politycznej w XX-wiecznej Europie i rozpadła się w trakcie masowej wojny domowej o charakterze rewolucyjno-kontrrewolucyjnym.

Sami historycy nie są w stanie uzgodnić, jak do tego doszło. Dziś nie przyjmuje się też propagandowych,

powszechnie akceptowanych w trakcie wojny domowej oraz II wojny światowej, które jako powód podawały działalność prawicowej konspiracji przeciwko demokracji, jednak nie istnieje żadna jasna i prosta odpowiedź. Doświadczenie republikańskie może być postrzegane jako konflikt i upadek sił parlamentarnych, niepowodzenie wysiłków reformatorskich albo proces rewolucyjny i pożywkę dla prawicowej konspiracji. Faktycznie miały miejsce wszystkie te zjawiska, a także kilka innych.” (S. G. Payne, *El régimen de Franco 1936-1975*, Madrid 1987, s. 47-48).

[5] Por. S. G. Payne, „Antecedentes y crisis de la democracia”, w: S. G. Payne, J. Tusell (red.), *La Guerra Civil Una nueva visión del conflicto ue dividió España*, Madrid 1996, s. 26-27.

[6] Na ogólną liczbę 472 deputowanych CEDA uzyskała 115

mandatów, drugie pod względem liczebności było ugrupowanie radykałów Lerroux ze 102 mandatami. W sumie niewielkie partie prawicowe (agrariusze, tradycjoniści [zwani także karlistami – przyp. tłum.], Partia Nacjonalistów Baskijskich – PNV, Partia Nacjonalistów Hiszpańskich, Liga Katalońska etc. [w tym także monarchiści i ich partia *Renovación Española* – przyp. tłum.]) uzyskały 124 mandaty. Drobne partie republikańskiej prawicy (konserwatywna, liberalno-demokratyczna i postępową) zyskały w sumie 30 deputowanych. Blok lewicy, skupiający partie o charakterze zarówno burżuazyjnym (Akcję Republikańską, Lewicę Republikańską [partię lewicy katalońskiej – przyp. tłum.], federalistów i ORGA [partię nacjonalistów galicyjskich – przyp. tłum.]) i rewolucyjnym (PSOE [czyli socjalistów – przyp. tłum.], Partię

Radykalno-Socjalistyczną,
Komunistyczną Partię Hiszpanii oraz
Unió Socialista de Catalunya [Związek
Socjalistów Katalońskich – przyp.
tłum.]), zyskał 101 deputowanych.

[7] Gonzalo Redondo w *Historia de la Iglesia en España 1931-1939*, t. 1, *La Segunda República (1931-1936)*,
Madrid 1993, s. 412 podaje
następujący bilans ofiar i strat tej
rewolucji: „Zabitych: 100 żołnierzy
Guardia Civil, 98 wojskowych, 86
policjantów i karabinierów, 34 księży
i zakonników, 1051 zabitych cywilów.
Rannych: 900 - wojskowych i
policjantów, cywilów – 2051.
Budynków podpalonych, zburzonych
lub uszkodzonych: budynków
publicznych (ratusze, koszary, etc.) -
63; kościołów - 58; ośrodków
kulturalnych – 5; fabryk – 26;
budynków prywatnych – 730. Poza
tym zniszczono 58 mostów; 31 dróg i
66 linii kolejowych zostało
uszkodzonych”.

[8] Najpoważniejsze znaczenie polityczne miało przyjęcie orientacji jednoznacznie rewolucyjnej przez duży odłam socjalistów, zdecydowany na „zbolszewizowanie” PSOE, wbrew stanowisku skrzydła umiarkowanego tej partii. Por. B. Bolloten, *La Guerra Civil española: Revolución y contrarrevolución*, Madrid 1989, s. 73-89.

[9] Por. S. G. Payne, „Antecedentes...”, s. 35 - 40 oraz 61 - 94.

* Manuel Azaña (1880-1940) – polityk hiszpański, mason i antyklerykał, przywódca partii *Izquierda Republicana*, minister obrony i premier w rządach republikańskich, od 1936 do 1939 prezydent II Republiki, zmarł w Paryżu. Reformy, o których mowato zwolnienie ze służby znacznej części korpusu oficerskiego, co miało charakter czystki politycznej – przyp. tłum..

[10] Pewien obraz złożoności przyczyn wybuchu wojny może dać lektura „Informacji na temat cywilno-wojskowego powstania w Hiszpanii w lipcu 1936” (*Informe acerca del levantamiento cívico-militar de España en Julio de 1936*) z 13 sierpnia 1936, którą kardynał Gomá wysłał do Rzymu. Tekst w: M. L. Rodríguez Aisa, *EL Cardenal Gomá y la Guerra de España. Aspectos de la gestión pública del Primado. 1936-1939*, Madrid 1981, s. 371-378. Por. F. de Meer Lecha-Marzo, op. cit., s. 111-113, a także S. G. Payne, *La revolución española*, Madrid 1972.

[11] Por. M. Apert, *El ejército republicano en la guerra civil*, Madrid 1989, s. 16. Por. także świadectwo Churchilla w: Ch. A. Willoghby, *Bailén y la cabeza de puente española: 1808-1948*, Madrid 1952, s. 59-60.

[12] Wśród nich znajdował się m.in. gen. Franco.

[13] Por. B. Bolloten, op. cit., s. 95-97. Por. także osobiste wspomnienie świadka tych wydarzeń: Juliána Marías (Una vida presente. *Memorias I (1914-1951)*., Madrid 1988, rozdział XII, „La guerra civil”, s. 187-192.

Słowa wypowiedziane przez przywódcę socjalistów, Idalecio Prieto, napisane w dzień po zabójstwie Calvo Sotelo świadczą, do jakiego stopnia sięgnęło napięcie społeczne: „Jeśli reakcja myśli o bezkrwawym zamachu stanu, takim jak w 1923, myli się całkowicie. Jeśli przypuszcza, że zostanie władze nieprzygotowane, oszukuje się. Aby zwyciężyć, będzie musiała przełamać żywy bastion, zbudowany przez proletariackie masy. Wiele razy powtarzam, że to będzie walka na śmierć i życie, gdyż każda ze stron wie, że przeciwnik – jeśli zwycięży – nie będzie znał litości. Skoro już tak musi się stać, lepsze byłoby takie

decydujące starcie niż powolne wykrwawianie się” (Indalecio Prieto w: *El Liberal*, 14 VII 1936).

Trzeba zaznaczyć, że 12 lipca generał Mola wyznaczył datę przyszłego powstania wojskowego na „godzinę 0 siedemnastego” (por. F. B. Maíz, *Mola, aquel hombre*, Barcelona 1970, s. 264). Por. także Antonio González-Betes, *Franco y el Dragon Rapide*, Madrid 1987, gdzie na stronach 107 i n. można przeczytać, że samolot, który przetransportował gen. Franco do Maroka na początku insurekcji, wyruszył do Hiszpanii 11 lipca.

Bezpośrednią przyczyną, która skłoniła wojskowych do powstania, była tragiczna sytuacja, w jakiej znalazła się Hiszpania. Por.: „Oświadczenie radiowe generała Franco z Tenerife”, „Rozkaz wprowadzający stan wojenny w Sewilli”, wydany przez gen. Quiapo

de Llano oraz „Manifest generała Moli”, wszystkie trzy z 18 lipca 1936.

[14] Hiszpania wraz z Francją sprawowała w tym okresie protektorat nad dzisiejszym terytorium Maroka.

[15] Milicje były formacjami paramilitarnymi, częściowo uzbrojonymi, zorganizowanymi przy poszczególnych partiach politycznych. Termin „milicje ludowe” powstał przy okazji żądań wydania broni „ludowi”, a w rzeczywistości działaczom partyjnym i związkowym zdecydowanym na przejęcie kontroli nad sytuacją. To żądanie nałożyło się na porzucenie służby wojskowej przez wielu żołnierzy – zwłaszcza w Madrycie, Barcelonie, Cartagenie, Walencji i innych miastach – na mocy dekretu, który zwalniał ich z obowiązku posłuszeństwa oficerom, jaki wydał prezydent Republiki wkrótce po

wybuchu powstania. W tym samym czasie, gdy wojsko się rozpadało, pojawiły się postaci milicjanta czy milicjantki ludowej, uzbrojonych ludzi, zgrupowanych według przynależności politycznej, stanowiących poważny problem dla władz, dopóki te nie zdołały – nie zawsze można to było osiągnąć, nie zawsze była po temu wola – narzucić im dyscyplinę wojskową. W Madrycie nie udało się tego osiągnąć w wystarczającym stopniu, aż do maja 1937. To właśnie milicjanci poza wszelką kontrolą rządową narzucili ulicy swoje prawa, przynajmniej w ciągu pierwszych miesięcy wojny. Por. Burnet Bolloten, op. cit., s. 411-423; jeśli chodzi o sytuację w Madrycie: J. Cervera Gil, *Madrid en la guerra. La ciudad clandestina 1936-1939*, Madrid 1998, s. 109-110.

[16] Gabinet Martínez Barrio nie przetrwał nawet 24 godzin: jego

skład nie został nawet opublikowany w *Gaceta*. 20 kwietnia został zastąpiony przez rząd premiera José Girała. Jednym z najpoważniejszych problemów, które znajdowały się u podłoża tych błyskawicznych zmian, była kwestia rozdania broni. Casares i Martínez Barrio chcieli tego uniknąć, bezskutecznie. Byli świadomi, że jeśli im się to nie uda, ich rząd będzie miał charakter czysto formalny, gdyż rzeczywista władza znajdzie się w rękach milicji. To właśnie doprowadziło do dymisji Martíneza Barrio i powołania Girała: „Ale ten rząd był rządem tylko z nazwy. Nieodwracalnie został zdominowany przez wydarzenia i asystował jedynie przy szybkim rozpadzie systemu republikańskiego ustanowionego w 1931, pod równoczesnym naciskiem powstania wojskowego oraz rewolucji społecznej. Według relacji jego premiera, we wszystkich ministerstwach powstały

natychmiast komitety Frontu Ludowego, aby pomagać i nadzorować ministrów, jawnie pozbawiając ich rzeczywistej władzy” (Burnet Bolleten, op. cit., s. 109).

Autor mówi więc o nadejściu tzw. „Trzeciej Republiki” zrodzonej w wyniku rewolucji, która wówczas właśnie się odbywała.

„Z innego punktu widzenia, Casares Quiroga, zanim złożył dymisję (zrobił to [18] nocą) poradził księdzu Eijo y Garay, biskupowi Madrytu, by dla własnego bezpieczeństwa opuścił miasto, co ten zrobił wyjeżdżając w kierunku Vigo jeszcze tego samego dnia. [...] Milicjanci zajęli siedzibę arcybiskupstwa madryckiego i rozstrzelali portret biskupa Eijo y Garaya [19 lipca]”. J. Cervera Gil, op. cit., s. 44 i 45.

[17] „Ci, którzy wtargnęli do koszar [de la Montaña, 19 lipca], przedarli

się przez okrążenie stworzone początkowo przez Guardia Civil oraz gwardię szturmową, wsparte batalionem socjalistów i potem grupami uzbrojonego madryckiego ludu” (J. Cervera Gil, op. cit., s. 45).

* Od pierwszych lat istnienia Dzieła w ten sposób ks. Josemarię nazywali wszyscy członkowie Opus Dei, jego duchowe dzieci – przyp. tłum..

[18] Juan Jiménez Vargas, AGP, RHF, T-04152-III, s. 15; Álvaro del Portillo, *Sum.* 879.

[19] Por. J. M. Pero-Sanz, *Isidoro Zorzano Ledesma. Ingeniero Industrial (Buenos Aires, 1902 – Madrid, 1943)*, Madrid 1996, s. 191-192.

[20] Dokładny opis wypadków znajduje się u Javiera Cervery Gila (op. cit., s. 45-48). Dwa działa oraz kilka wozów bojowych zostało sprowadzonych na plac de España.

[21] *Apuntes*, nr 1235, 25 III 1936.

[22] Jak wspomina Juan Jiménez Vargas „sutanna oznaczała wyrok śmierci”. Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-051152/1, s. 16; Santiago Escrivá de Balaguer y Albás, RHF, T-07921, s. 18. To samo niebezpieczeństwo niosła ze sobą tonsura duchowna: por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 879. Na temat niebieskiego kombinezonu roboczego, por. list do Maríi Dolores Fisac Serna w: AGP, RHF, EF-370813-1 (wszystkie listy założyciela Opus Dei z tego okresu – od lipca 1936 do 7 października 1937 – zostały napisane w Madrycie).

[23] Dziennik składa się z dwu zapisanych kartek. Ma charakter schematyczny i jego liczne skróty zostały przez nas uzupełnione. Oryginał znajduje się w AGP, RHF, D-15223. Por. Aneks XVI.

[24] Por. Álvaro del Portillo, PR, s. 1001 oraz Javier Echevarría, *Sum.* 2420.

[25] Por. *Apuntes*, nr 1620, 24 VIII 1940.

[26] Por. Burnet Bolloten, op. cit., s. 117-118. Jeszcze 19 lipca odprawiono w Madrycie niektóre msze. Tego samego dnia zostało zaatakowanych i spalonych około tuzina kościołów. „W nocy z 19 na 20 spalili w Madrycie jeszcze 34 budynki kościelne. W okresie od soboty 18 do wtorku 21, w ciągu pierwszych 72 godzin rewolucji, w stolicy Hiszpanii zostało splądrowanych 46 kościołów, to jest 34,8 % istniejących”. „W 1939, po zakończeniu wojny domowej z 210 kościołów madryckich 45 uległo zupełnemu zniszczeniu, 56 częściowemu zniszczeniu, 84 zostało uszkodzonych, 14 nie doznało większych strat; 11 pozostało nietkniętych. Wszystkie częściowo

zniszczone, uszkodzone i bez większych strat zostały splądrowane.” Gonzalo Redondo, *Historia de la Iglesia en España 1931-1939.*, tom II: *Wojna domowa (1936-1939)*, Madryt 1993, s. 20, przypis 6. Por. R. Carr, *La tragedia española. La Guerra Civil en perspectiva*, Madrid 1977, s. 111 i n..

[27] Zakonnica była córką pułkownika Paniaguay, który mieszkał w tym samym domu co donia Dolores, zaś augustianin to o. Nemesio Morata, znakomity arabista, który uciekł z klasztoru w Escorialu (por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 879 oraz Santiago Escrivá de Balaguer y Albás, RHF, T-07921, s. 19).

W pierwszych dniach rewolucji, do końca lipca, zostało udokumentowanych 41 przypadków zabójstw księży w Madrycie. Najbardziej szczegółowe badania mówią o zamordowaniu 435 księży

w diecezji Madrid-Alcalá w ciągu całej wojny (tj. 38,8 % wszystkich duchownych): J. L. Alfaya Camacho, *Como un ró de fuego. Madrid 1936.*, Barcelona 1998, s. 64-88 oraz 285-309. Do tego trzeba dodać 451 zakonników oraz 73 zakonnice z tej samej diecezji, zamordowanych lub zaginionych podczas wojny (por. Gonzalo Redondo, *Historia de la...*, tom II, op. cit., s. 20). Próba policzenia zwykłych wiernych, którzy zostali zabici ze względu na to, że byli chrześcijanami, wydaje się niemożliwa, gdyż jest to liczba zbyt wysoka i praktycznie nie ma do tego odpowiednich źródeł. Dzieło Javiera Cervery Gila dostarcza interesujących i znaczących wskazówek jakościowych.

[28] Por. J. M. Pero-Sanz, op. cit., s. 192-193.

[29] Na temat wszystkich tych szczegółów i przywoływanych

anegdota: por. *Diario*, D-15223 (Aneks XVI) oraz Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 21 i n. [Radio Sewilla znajdowało się wówczas w rękach sił narodowych – przyp. tłum.].

* Gonzalo Queipo de Llano (1875-1951) – jeden z przywódców wojskowego spisku w 1936, w czasie wojny domowej głównodowodzący sił narodowych na froncie południowym – przyp. tłum..

[30] Por. Ian Gibson, *Quiipo de Llano. Sevilla, verano de 1936 (Con las charlas radiofónicas completas)*, Barcelona 1986.

[31] Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 26-28.

[32] Te „inne” dokumenty, które znajdowały się w skrzynce razem z notatnikiem z adresami, były to legitymacje AET (*Asociación de Estudiantes Tradicionalistas* – Stowarzyszenia Studentów

Tradycjonalistów), niewypełnione, lecz podpisane przez Juana Jiménez Vargasa, które przechowywał od czasu, gdy był sekretarzem tej organizacji w Madrycie, kilka lat wcześniej. Ponieważ wszystko znajdowało się w jednym miejscu, zachodziło niebezpieczeństwo, że milicjanci wezmą studentów z akademika za członków tej organizacji politycznej. Por. *ibidem*, s. 29.

[33] *Ibidem*, s. 29-30. Javier Cervera (op. cit., s. 68-78) dokładnie zbadał sprawę tzw. „spacerków” w Madrycie między lipcem a grudniem 1936. Wśród zbadanych przypadków – w sumie 3000 – stwierdził, że najliczniejszą grupę stanowili księża i zakonnicy (18,11%), a najmniejszą studenci i lekarze (odpowiednio 5 i 4%).

[34] Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 30-31.

[35] *Instrucción 19 III 1934*, n. 47; por także: *Apuntes*, n. 1287 z 3 X 1935 oraz Álvaro del Portillo, *Sum.* 675.

[36] Na temat tej pewności i optymizmu pisał Vargas: „Można to prosto wytłumaczyć. Nie mieliśmy wątpliwości co do najbliższej przyszłości, gdyż byliśmy przekonani oczywiście, że Ojcu nic się nie stanie. Rozumieliśmy jednak konieczność zachowania najdalej idących środków ostrożności, jeśli chodzi o jego bezpieczeństwo osobiste. Wiedzieliśmy, że musi prowadzić Dzieło i to dawało nam mocną nadzieję, jasną pewność, że wszystko się rozwiąże” (Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 34).

[37] *Apuntes*, nr 178, 20 III 1931.

[38] *Ibidem*, nr 212, 26 VII 1931.

[39] *Ibidem*, nr 291, 18 IX 1931.

[40] *Ibidem*, nr 431, 29 XI 1931.

[41] *Instrucción 19 III 1934*, nr 6.

[42] Por. *Diario*, RHF, D-15223 (Aneks XVI).

[43] Na temat działań portierów jako informatorów, por. J. Cervera Gil, op. cit., s. 189.

[44] Por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 879.

[45] *Apuntes*, nr 1372, 30 VI 1936.

[46] Mieszkanie znajdowało się na trzecim piętrze po lewej stronie w domu na ulicy Sagasta 31, później Sagasta 33, na rogu z ulicą Alonso Martínez, naprzeciwko dawnego baru „La Mezquita”. Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 40-41.

[47] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 36 i n. Hrabia de Leyva był od 1925 roku don Juan José Conde-Luque y Garay.

[48] Por. José Miguel Pero-Sanz, op. cit., s. 194 oraz *Diario Manuela Sainz de los Terreros y Villacampa* z sierpnia 1936 (RHF, D-03637).

Rzeczywiście, matka dopiero po kilku dniach dowiedziała się, gdzie ukrywa się syn, gdyż Manolo Sainz de los Terreros zachowywał to dla siebie, jak twierdzi Santiago Escrivá de Balaguer: „Nie mówił nam gdzie on jest. Możliwe, że matka wolała nie wiedzieć, gdzie się znajduje, jeśli tylko otrzymywała stale informacje, że nic mu nie jest” (Santiago Escrivá de Balaguer y Albás, RHF, T-07921, s. 19).

[49] Na temat tych wydarzeń por.: Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 38 i n. oraz Santiago Escrivá de Balaguer y Albás, RHF, T-07921, s. 20 i n..

[50] Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 39.

[51] Santiago Escrivá de Balaguer y Albás, RHF, T-07921, s. 20-21; a także Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 39-40 oraz *Apuntes*, nota wstępna, s. 3.

[52] *Apuntes*, nr 1595.

[53] Pedro María Rivas García-Calderón, RHF, T-03175. Rivas potem ukrywał się w domu pewnych znajomych, od 16 października aż do wyzwolenia Madrytu w 1939 schronił się przy ulicy del Prado, w jednym ze skrzydeł ambasady Chile. W 1946 wstąpił do zgromadzenia Szpitalników Świętego Jana de Dios. Zmarł w Ciempozuelos (prow. Madryt), w 1993 r.

[54] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 50-52.

[55] Juan Manuel Sainz de los Terreros Ranero, RHF, T-05127; Álvaro del Portillo, *Sum.* 880.

[56] Juan Manuel Sainz de los Terreros Ranero, RHF, T-05127.

[57] Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s.51-52; na temat jego odczuć: ibidem, s. 52.

[58] Mercedes Conde-Luque Herrero, RHF, T-04925, s. 1.

[59] Hrabina nazywała się Mercedes Herrero y Velázquez.

[60] Mercedes Conde-Luque Herrero, RHF, T-04925, s. 3.

[61] Starania o to, by znaleźć nowe schronienie, były nużące, ryzykowne i bezowocne. W niektórych miejscach przyczyną był nieprzewyciężony strach przed ukryciem w domu księdza, jak to było w przypadku rodziny Miguela Bañóna. Kiedy indziej, np. u Levyów, w domach już znajdowali się uciekinierzy i niebezpieczeństwo

było zbyt duże. Por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 881.

[62] Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 55.

[63] *Ibidem*, s. 58.

[64] J. Cervera Gil, op. cit., s. 175-179. Autor bardzo drobiazgowo analizuje prześladowania potencjalnych wrogów rewolucji w mieście, najczęstsze sposoby ich rozpoznawania oraz niektóre z list, które zostały sporządzone.

* Urząd zajmujący się mostami i cmentarzami – przyp. tłum..

[65] Álvaro del Portillo, *Sum.* 882.

[66] Álvaro del Portillo, PR, s. 614. Na temat *kropel miodu* por. Javier Echevarría, *Sum.* 3267.

[67] Por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 466, 882 i 1499; Javier Echevarría,

Sum. 2418; Joaquín Alonso Pacheco, *Sum.* 4632.

[68] Don Pedro Poveda został zatrzymany 27 lipca i zabity nad ranem 28. (przyp. tł. Pedro Poveda został beatyfikowany przez papieża Jana Pawła II w roku 1993, a następnie kanonizowany w 2003) . Don Lino Vea-Murguía został aresztowany w swoim domu po odprawieniu mszy i rozstrzelany w kilka godzin później. Było to 16 sierpnia, na cmentarzu del Este. Por. dokładny opis u José Alfayi Camacho, op. cit., s. 91-93 i 96. Por. także A. Montero Moreno, *Historia de la Persecución Religiosa en España*, Madrid 1961, s. 594 oraz Álvaro del Portillo, *Sum.* 1471.

[69] Álvaro del Portillo, *Sum.* 882-883; Joaquín Alonso Pacheco, *Sum.* 4632.

[70] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 60; Joaquín Herrero Fontana, RHF, T-04812.

[71] Na temat tych wydarzeń por.: Eugenio Sellés Martí, RHF, T-02012, s. 1; Álvaro del Portillo, *Sum.* 883; Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 62.

[72] Eugenio Sellés Martí, RHF, T-02012, s. 2.

[73] Doktor Ángel Suils Pérez urodził się w Logroño w 1906 i maturę zdał w miejscowym Instituto General, podobnie jak don Josemaría. Jego ojciec, Ángel Suils Otto, był lekarzem, znał Escrivó w i asystował przy urodzeniu Santiaga. Jego dziadek był członkiem spółki Garrigosa, firmy, w której pracował don José Escrivá w Logroño (Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 64).

[74] Źródła w tym konkretnym punkcie nie pozwalają na precyzyjne ustalenie dat, jeśli wprost sobie nie przeczą. Jest to całkiem zrozumiałe po upływie 40 lat. Posiadamy jednak część notatek z dziennika

prowadzonego przez Juana Jiméneza Vargasa, dotycząca dni od 6 do 15 października. Rozwinąwszy skróty, pod datą 7 października znajdujemy następujący zapis: „O 10 przyszli do mnie do domu Ojciec i Joaquín. Od razu przyszedł Chiquí, który wyspowiadał się u Ojca. Służaca Joaquína tego ranka powiedziała do niego: - Dzień dobry, Ojcze.

Zadzwońłem do szpitala, aby przysłali tu samochód i powiadomiliśmy portierkę, że będą pytać o doktora Fontanę.

Ukryliśmy jego dokumentację u mnie w domu. Suils podpisze zaświadczenie, oczywiście fałszywym nazwiskiem” (oryginał w RHF, D-15347, por.: Aneks XVII). Por. także Eugenio Sellés Martí, RHF, T-02012, s. 2 oraz Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 64-65.

[75] Joaquín Herrero Fontana, RHF, T-04812. Doktor Marañon był to

wybitny lekarz, znany pisarz i republikanin o przekonaniach liberalnych.

[76] List do jego duchowych dzieci w Walencji, w: EF-370505-4.

[77] Por. już cytowany dziennik: RHF, D-15347 (Aneks XVII).

[78] Por. RHF, D-15348.

[79] Por. RHF, D-15348. Na temat pobytu w Sanatorium dra Suilsa por.: Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 64 i n.; María Luisa Polanco Fernández, RHF, T-04835; Santiago Escrivá de Balaguer y Albás, RHF, T-07921, s. 20 i n.; Carmen Peñalver Gómez de las Cortinas, markiza de las Torrés de Orán, RHF, T-05090.

* dr Gregorio Marañon (1887-1963) – wybitny lekarz i liberalny intelektualista hiszpański - przyp. tłum..

** Afazja – schorzenie polegające na zaburzeniu mowy, powstającym w wyniku uszkodzenia ośrodków mowy w korze mózgowej – przyp. tłum..

[80] Już cytowany dziennik: RHF, D-15347 (Aneks XVII).

[81] Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 65-66.

[82] Wobec rozmiarów i okrucieństwa prześladowań religijnych ze strony republikańskiej oraz trudności, jakie napotykało udzielanie sakramentów, niektórzy biskupi i przełożeni zakonni zwrócili się z prośbą do Stolicy Świętej. W liście z 22 sierpnia 1936 Sekretarz Stanu, kardynał Pacelli donosił generałowi Misjonarzy od Niepokalanego Serca Maryi, że papież przyznawał w sposób oficjalny i rozciągając go na wszystkich kapłanów, pozwolenie, o które prosili, by odprawiać Mszę

Świętą bez ołtarza ani szat liturgicznych, „póki trwają najboleśniejże obecne warunki” (por. Antonio Montero Moreno, op. cit., s. 99-100).

[83] Notatka z 15 października 1936 (por. RHF, D-15347; Aneks XVII).

[84] Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 66; por. José Miguel Pero-Sanz, op. cit., s. 199.

[85] María Luisa Polanco Fernández, RHF, T-04835.

[86] RHF, D-15348 oraz certyfikat Syndykatu Medycznego: RHF, D-03414.

[87] Por. María Luisa Polanco Fernández, RHF, T-04835.

Florentino został zastąpiony przez nowego administratora, Celso Lacalzadę, pochodzącego z Logroño znajomego dra Suilsa. Jego nazwisko

znajduje się wśród podpisów reszty personelu i na statutach założycielskich spółdzielni.

[88] List do jego synów w Walencji, w: EF-370505-4. Ten chory farmaceuta to don Ítalo Della Torre Morasso (por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 884).

[89] Na temat kliniki oraz chorych por.: Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 71-74 oraz María Luisa Polanco Fernández, RHF, T-04835.

[90] Por. José Miguel Pero-Sanz, op. cit., s. 197-204; Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 67-69; Álvaro del Portillo, *Sum.* 884. Na temat działalności ambasad por. Aurelio Núñez Morgado, *Los sucesos de España vistos por un diplomático*, Buenos Aires 1941 oraz Madryt 1979 oraz Javier Rubio García-Mina, *Asilos y canjes durante la Guerra Civil española. Aspectos humanitarios de una contenida fratricida.*, Barcelona

1979. Por. także Burnet Bolloten, op. cit., s. 119 oraz Javier Cervera Gil, op. cit., s. 229-233; na temat więzień: tamże, s. 79-84.

[91] Brygady Międzynarodowe zostały utworzone z inicjatywy Międzynarodówki Komunistycznej (Kominternu) i rekrutowały ochotników z całego świata. Por. Burnet Bolloten, op. cit., s. 205-207; George Esenwein, *El Frente Poular. La política Republicana durante la guerra civil.*, w: S. G. Payne oraz J. Tusell (red.), op. cit., s. 367-370.

[92] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 71-72.

[93] „Termin <<piąta kolumna>> powstał podczas hiszpańskiej wojny domowej, w tygodniach poprzedzających szturm na Madryt. Nie jest jasne, kto był autorem tego sformułowania, jednak najbardziej prawdopodobna wersja przypisuje je gen. Moli. W początkach

października 1936 roku, przypuszczając, że zdobycie Madrytu jest już bliskie, ten przywódca nacjonalistów oświadczył, że stolica padnie w wyniku ataku czterech kolumn, zbliżających się do miasta pod dowództwem gen. Vareli (...) oraz piątej, która znajduje się wewnątrz miasta: złożonej ze zwolenników powstania, którzy stanowili w ten sposób piątą kolumnę. Ta deklaracja, jak rzadko która, była bardzo niefortunna i stanowiła zupełnie fałszywy ruch. Gdy tylko dotarła do wiadomości tych, których brutalna działalność w trakcie pierwszych miesięcy wojny dowiodła, że nie istnieją dla nich żadne względy moralne, spowodowała, że gorączkowo starali się schwytać i wyeliminować członków tejże „piątej kolumny”. Spowodowała ona niepoohamowane prześladowania mające na celu oczyszczenie tyłów ze zdrajców (...). Hugh Thomas przypisuje stworzenie

sformułowania „piąta kolumna” brytyjskiemu dziennikarzowi lordowi St. Oswaldowi, który użył go w tekście depeszy dla *Daily Telegraph* jeszcze we wrześniu”. Javier Cervera Gil, op. cit., s. 139-140.

[94] Po początkowym chaosie, jaki zapanował w Hiszpanii po powstaniu wojskowym, w sierpniu 1936 roku ustaliła się mapa Hiszpanii rozdzielonej na dwie części: strefę kontrolowaną przez rząd republikański i przez powstańców. Ta pierwsza górowała jasno, zarówno pod względem obszaru, jak i liczby ludności (Madryt, Barcelona i Walencja znajdowały się w rękach republikańców). Na terytorium republikańskim pozostawały strefy uprzemysłowione, środki finansowe oraz rezerwy złota należące do Banku Hiszpanii. Jednak zamieszanie wśród polityków rządzących w strefie republikańskiej, brak dyscypliny i spoistości milicji

rewolucyjnych pozwoliły ofensywie narodowców doprowadzić do wyrównania sił, opanowania terytorium oraz środków znajdujących się z jednej i z drugiej strony przed zimą 1936 roku.

Ofensywa oddziałów narodowych w kierunku Madrytu dotarła do samych przedmieść stolicy, zmuszając republikanów do przeniesienia siedziby rządu do Walencji. W tym właśnie okresie dokonywane były niekontrolowane aresztowania oraz systematyczne, masowe rozstrzeliwania więźniów na przedmieściach Madrytu. <<Ogółem zamordowano w Madrycie 17 000 osób, z czego niemal połowa zginęła w trakcie tego fatalnego listopada” (Ramón y Jesús Larrazábal, *Historia General de la guerra de España*, Madrid 1986, s. 161). Por. także: Rafael Casas de la Vega, *El Terror...*, s. 191-228 oraz Matilde Vázquez i Javier Valero, *La*

Guerra Civil en Madrid., Madrid 1978, s. 118-119.

[95] Santiago Escrivá de Balaguer y Albás, RHF, T-07921, s. 20.

[96] Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 77.

[97] Por. José Miguel Pero-Sanz, op. cit., s. 199-200.

[98] Santiago Escrivá de Balaguer y Albás, RHF, T-07921, s. 21.

[99] *Czeki* oraz więzienia były miejscami, w których prowadzono niekontrolowane i zupełnie arbitralne represje w Madrycie. „Zdaniem Petera Weidena, słowa <<czeka>> używano w Hiszpanii na określenie straszliwych trybunałów (w wielu wypadkach zupełnie samozwańcych), które w wielu częściach miasta powstały w celu wyeliminowania <<faszystowskich wrogów>>, wydających wyroki

często na podstawie nawet niezbyt wiarygodnych donosów. <<Czeka>> to rosyjski skrót od nazwy <<Wszechrosyjskiej Nadzwyczajnej Komisji do walki z Kontrrewolucją i Sabotażem>>, pierwszej nazwy sowieckiej policji politycznej, pierwowzoru późniejszych OGPU, NKWD i KGB. *Czeki* działały przede wszystkim w Madrycie, a także w Barcelonie i Walencji” (Javier Cervera Gil, op. cit., s. 60). Autor zlokalizował w Madrycie w tym okresie około 200 takich instytucji. Na stronach 64 i 65 tej pracy znajduje się plan z ich rozmieszczeniem. Na stronie 63 wspomina o tym, że *czeka* znajdowała się m.in. na ulicy Ferraz 16, w dawnej siedzibie Rezydencji DYA. Została ona wymieniona wśród „najbardziej znanych ze swej represyjnej działalności”. Por. także Rafael Casas de la Vega, *El Terror: Madrid 1936. Investigación de víctimas y catálogo de víctimas identificadas*, Madrid 1994, s. 75-120.

[100] Por. Santiago Escrivá de Balaguer y Albás, RHF, T-07921, s. 22 oraz José Miguel Pero-Sanz, op. cit., s. 200.

[101] Księciem de Peñaranda de Duero był wówczas Hernando Stuart Fitz-James Falcó, zaś księciem de Alba, jego brat Jacobo.

[102] Álvaro del Portillo, *Sum.* 896.

[103] RHF, D-15348.

[104] Carmen Peñalver Gómez de las Cortinas, markiza de las Torres de Orán, RHF, T-05090, s. 1. Markiz nazywał się: don Miguel María Fernández de Prada y Vasco.

[105] Por. statut założycielski: RHF, D-15348.

[106] RHF, D-15347 (Aneks XVII); notatka w dzienniku odpowiada 10 października.

[107] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 71.

[108] María Luisa Polanco Fernández, RHF, T-04835.

[109] Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 72.

[110] Por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 885 oraz Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 74. Barredo opowiada inna anegdotę w tym kontekście: „Ojciec zawinął swoje okulary w biały papier i napisał na papierze: - Okulary te należą do doktora Marañoña” (José María González Barredo, RHF, T-04202, s. 14).

[111] Por. Carmen Peñalver Gómez de las Cortinas, RHF, T-05090, s. 2.

[112] „Zacząłem wierzyć, że go zabiją tymi zastrzykami” (Santiago Escrivá de Balaguer y Albás, RHF, T-07921, s. 22). Na temat opieki i jej skutków:

Juan Jiménez Vargas, T-04152-III, s. 80-81.

[113] Por. José María González Barredo, RHF, T-04202, s. 14; Juan Jiménez Vargas, T-04152-III, s. 71.

[114] RHF, D-15068.

W dzienniku Juana Jiméneza Vargasa, 15 października czytamy: „Trzeba będzie porozmawiać z Elordim, czy nie możemy uzyskać dla Ojca listu żelaznego, jako dla nacjonalisty baskijskiego” (RHF, D-15347; Aneks XVII). Były to dni, w trakcie których, wobec sukcesów wojsk narodowych pod Madrytem, legitymowano ludzi po domach i aresztowano wielu, ponieważ - jak powiada jedna z notatek dziennika - „nie wystarczy zwykła legitymacja. Trzeba mieć dokumenty zaufania Frontu Ludowego”.

Wysiłki Juana nie mogły pójść daleko, gdyż jeszcze w tym samym

tygodniu znalazł się w więzieniu. Isidoro nawiązał kontakt z Elordim, który, jako Bask, musiał znać ludzi z Partii Nacjonalistów Baskijskich z Madrytu. Don Josemaría był kierownikiem duchowym Elordiego, który uczestniczył w zajęciach formacyjnych odbywających się w Rezydencji przy Ferraz w roku akademickim 1934/1935. W „Noticias” z sierpnia i września 1935 jest wspomniany i Ojciec dalej go wspomina, że otrzymał od niego list w czasie wakacji (por. RHF, D-03696).

Jeśli chodzi o pisownię nazwiska „Escriba” jasne jest, że nie chodzi tutaj o błąd, lecz o świadomą zmianę ortografii, nie pozbawioną ironii. Ta zmiana nazwiska pojawia się we wszystkich dokumentach, które zostały dla niego wystawione, aż do chwili gdy opuścił strefę republikańską. Por. oświadczenie doktora Ángela Suilisa, 14 III 1937 (RHF, D-15067) oraz 22 VIII 1937;

certyfiikat Konsulatu Generalnego Hondurasu, 1 VIII 1937 (RHF, D-150070); list żelazny z 25 X 1937 (RHF, D-15125).

[115] Por. F. de Meer Lecha-Marzo, *El Partido nacionalista Vasco ante la guerra de España (1936-1937)*, Pamplona 1992. Kiedy 1 października 1936. Kortezy republikańskie zaaprobowały statut autonomii baskijskiej i 7 października powstał tymczasowy rząd baskijski, niemal cała prowincja Guipúzcoa oraz większa część Alawy znajdowały się już w strefie kontrolowanej przez siły narodowe, które izolowały resztę od stolicy kraju „co pozwoliło Baskom podkreślić swe dążenia autonomiczne, w związku z czym ich reprezentacja w Madrycie [Komitet-Delegacja Partii Nacjonalistów Baskijskich w Madrycie] zyskała status zbliżony do ambasad i poselstw (...). Liczba osób, dla

których delegacja baskijska wystawiła dokumenty umożliwiające im pobyt w Madrycie wahała się pomiędzy 2350 a 2850 (...). W sumie działalność delegacji baskijskiej w Madrycie podczas wojny domowej była bardzo zbliżona do tej, jaką prowadziły ambasady, niekiedy nawet przyjmowała jeszcze szerszy zakres” Javier Cervera Gil, op. cit., s. 354. Por. także Jesús de Galíndez, *Los vascos en Madrid sitiado.*, Buenos Aires 1945.

[116] Por. José Miguel Pero-Sanz, op. cit., s. 200-204.

[117] „Ta sytuacja straszliwej przemocy w więzieniach miała miejsce w listopadzie i więzienia Madrytu stały się areną jednego z najstraszliwszych epizodów wojny domowej: masowych wywózek więźniów, które kończyły się mordami. Działania te pokazały, do jakiego stopnia władze

republikańskie nie panują nad sytuacją. Mordy zwane popularnie *wywózkami więźniów* miały miejsce od 7 listopada do 4 grudnia 1936 r. (...) Daty dokonania mordów znamy dzięki dokumentacji Generalnej Dyrekcji Bezpieczeństwa oraz świadectwom przechowywanym w *Causa General* w Madrycie”. Javier Cervera Gil, op. cit., s. 84-85. Autor przedstawia opis niektórych przypadków. Por. także Ian Gibson, *Paracuellos: cómo fue.*, Barcelona 1983; Carlos Fernández, *Paracuellos de Jarama: Carillo culpable?*, Barcelona 1983 i Rafael Casas de la Vega, *El Terror...*, s. 135-190.

[118] Por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 888; Juan Jiménez Vargas, T-04152-III, s. 78.

[119] Juan Jiménez Vargas, T-04152-III, s. 79.

[120] Por. José Miguel Pero-Sanz, op. cit., s. 201.

[121] Por. Santiago Escrivá de Balaguer y Albás, RHF, T-07921, s. 23; Juan Jiménez Vargas, T-04152-III, s. 85.

[122] Santiago Escrivá de Balaguer y Albás, RHF, T-07921, s. 23; por. także Juan Jiménez Vargas, T-04152-III, s. 87.

[123] List do jego synów w Walencji, w: EF-370210-1.

[124] José María González Barredo opowiada, że po spędzeniu kilku dni w domu swego ojca, za pośrednictwem swego przyjaciela Manuela Valdésa, który znał zięcia konsula Hondurasu, załatwił, by przysłano po niego samochód z konsulatu, który odtransportował go na miejsce. Gdy już się tam znalazł, zyskał pozwolenie, by Ojciec i Juan Jiménez Vargas schronili się tam jako uchodźcy, bez wiedzy konsula, który został postawiony przed faktem dokonanym. Por. José María

González Barredo, RHF, T-04202, s. 16 oraz José Luis Rodríguez-Candela Manzanegue, RHF, T-05120, s. 1.

José Luis Rodríguez-Candela był zięciem konsula, nie znał osobiście Ojca, chociaż słyszał o nim od niektórych przyjaciół, którzy zapraszali go do Akademii DYA (por. *ibidem*).

[125] List do jego synów w Walencji, w: EF-370312-1.

[126] Tak np. gdy pisze: ***Mój Boże, Miłości, wychłuszcz osiołka, który nie jest wart niczego prócz batów*** (*Apuntes*, nr 388, 12 XI 1931; por. także tamże, nr 1128, 11 II 1934 oraz nr 1371, 30 VI 1936).

[127] Już znacznie wcześniej Ojciec mówił, o tym że „dostał bzika” na punkcie Boga, że ma obsesję, tworzenia Dzieła, że ci, którzy przystąpili do niego to nowi

„wariaci”, którzy wchodzą do „domu wariatów”.

Wśród terminów o podwójnym znaczeniu znajdują się: chleb (Eucharystia); stół (ołtarz); Doktor, Przyjaciel, Manuel (Bóg); matka Manuela (Najświętsza Maryja Panna); róże (rózaniec); jeść wspólnie z Panem Manuelem (przyjmować Komunię Świętą); Zegarmistrz (Anioł Stróż); „święto odrodzenia” (odnowienie zobowiązań wobec Boga w Dziele) itd.

* Mariano (hiszp.) - Marian, dosł. maryjny.

[128] Oryginał w: RHF, D-15067.

[129] W ten sposób niektóre osoby mogły przyjmować komunię przez kolejne 10-12 dni (Carmen Peñalver Gómez de las Cortinas, RHF, T-05090, s. 4).

[130] Na temat rozkładu domu:
Eduardo Alastrué Castillo, RHF,
T-04695, s. 10-11.

Na temat przyjścia ojca i jego brata
do konsulatu por.: Santiago
Escriváde Balaguer y Albás, RHF,
T-07921, s. 21.

* Głębiny - po hiszpańsku *honduras*,
tak samo jak nazwa kraju (przyp.
tłum.).

[131] List do jego synów w Walencji,
w: EF-370317-1.

[132] List do Francisca Botelli
Raduána, w: EF-370325-1.

[133] Ważył mniej niż 50
kilogramów, przede wszystkim na
skutek przebytej niedawno (w
grudniu) choroby w sanatorium dra
Suilsa (por. list do Francisca Botelli
Raduána, w: EF-370328-1). Podczas
swego pobytu w konsulacie

Hondurasu stracił jeszcze bardziej na wadze.

[134] List do jego synów w Walencji, w: EF-370414-1.

[135] List do jego synów w Walencji, w: EF-370421-1.

[136] Jak mówił w liście skierowanym do Walencji: *Babcia zostanie w Madrycie, aby zadbać o graty, które jeszcze nie uległy zatraceniu oraz papierzyska swego starszego syna* (por. EF-370406-1).

[137] Santiago Escrivá de Balaguer y Albás, RHF, T-07921, s. 24.

[138] Por. tamże oraz Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 88.

Te starcia były epizodem w walce o władzę wewnątrz obozu republikańskiego w chwili, gdy następowało pewne wzmocnienie instytucji państwa. Naciski

komunistów na przejęcie władzy towarzyszyły ich poszukiwaniu porozumienia z socjalistami i spotkały się z coraz ostrzejszą opozycją anarchistów i komunistycznych elementów niezależnych od wpływów sowieckich. Ta walka doprowadziła do wybuchu wewnętrznej wojny domowej pomiędzy członkami Frontu Ludowego, której kulminacją stały się tzw. „wydarzenia majowe z 1937 roku”, szczególnie gwałtowne w Katalonii. Komuniści zdołali złamać opór swych przeciwników, często po prostu ich eliminując, i zapanować nad sytuacją od połowy 1937 roku. Por. Burnet Bolloten, op. cit., s. 587 i n.

[139] Cramen Peñalver Gómez de las Cortinas, RHF, T-05090, s. 3.

[140] List do jego synów w Walencji, w: EF-370406-1.

* Kapitan Araña -

[141] List do Isidoro Zorzano Ledesmy, w: EF-370331-1.

[142] Por. José Miguel Pero-Sanz, op. cit., s. 209-210; *Dziennik Isidoro Zorzano*, notatki od 3 III 1937 do 26 III 1939, spisany w Madrycie podczas wojny domowej (oryginał w: IZL, D-1122), notatka z dnia 28 III 1937.

[143] List do Isidoro Zorzano Ledesmy, w: EF-370328-2.

[144] List do Isidoro Zorzano Ledesmy, w: EF-370328-2. Decyzja podjęta przez Isidoro była natychmiastowa i jak pisze do Ojca, już ją ogłosił donii Dolores: „Twoja rodzina bardzo się ucieszyła na wieść, że możesz iść z R.[icardem] i że ja tu zostaję” (list Isidoro z 31 III 1937, w: AGP, IZL, D-1213, 130. Isidoro w tym liście komunikuje założycielowi Opus Dei swą decyzję. Nie czyni tego osobiście, ponieważ w tych dniach nie otrzymał zezwolenia na wstęp do konsulatu Hondurasu:

por. *Dziennik* Isidoro Zorzano, notatka z 30 III 1937, w: IZL, D-1122).

W ten sam sposób powiadomił o niej Pedro Casciaro, kiedy napisał do niego do Walencji: „Zostaję, aby towarzyszyć innym i zająć się domem, jak to wszystko się uspokoi” (list z 16 IV 1937, w: IZL, D-1213, 132).

[145] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 92.

[146] Tamże, s. 95.

[147] W Madrycie Ricardo zostawił szyfr, który miał zostać wyemitowany przez Radio Narodowe, na znak, że znalazł się cały i zdrowy w drugiej strefie. Przez kilka miesięcy jednak nic nie wiedzieli o jego losach. Ricardo uciekł w opatrnościowym momencie, „o mały włos i zostałyby aresztowany, bo następnego dnia już po niego przyszli” (por. *ibidem*, s.

95). Mimo wszystko nie mieli pewności, czy udało mu się szczęśliwie znaleźć w strefienarodowej aż do czerwca 1937 (por. list do swoich synów w Madrycie, w: EF-370328-1).

[148] List do Francisca Botelli Raduána, w: EF-370328-1.

[149] List do jego synów w Walencji, w: EF-370406-1.

[150] List do jego synów w Walencji, w: EF-370409-1.

[151] *Acta Apostolice Sedis*, t. XXIX, 1937, s. 75.

Na temat stanowiska światowej opinii publicznej wobec wojny domowej w Hiszpanii por. np. J. Tusell i G. García Quiapo de Lllano, *El catolicismo mundial y la guerra de España*, Madrid 1993.

[152] Za Antonio Montero Moreno, op. cit., s. 728. Kilka linijek dalej czytamy: „... nawet jeśli wojna miałaby charakter polityczny i społeczny, to jednak prześladowania religijne, były tak oczywiste od samego początku, że jedna ze stron na pewno dążyła do wyeliminowania religii katolickiej z Hiszpanii...” (ibidem). Na temat międzynarodowych reperkusji „Listu zbiorowego biskupów hiszpańskich do biskupów z całego świata z powodu wojny w Hiszpanii” por. G. Redondo, *Historia de la...* t. 2, s. 310 i n.; F. de Meer Lecha-Marzo, *Algunos aspectos...*, 116-119. Por. także Isidro Gomá y Tomás, *Por Dios y por España. Pastorales - Instrucciones pastorales y Artículos - Discursos - Mensajes - Apéndice (1936-1939)*, Barcelona 1940.

[153] Za Antonio Montero Moreno, op. cit., s. 733. Na temat prześladowań religijnych w

Madrycie por. José Luis Alfaya Camacho, op. cit., passim.

Pod koniec wojny domowej liczba ofiar prześladowań religijnych była następująca: 13 biskupów, 4 184 księży, 2 365 zakonników oraz 283 zakonnice. Do tej liczby nie wliczono tysięcy osób, które zostały zabite jedynie z tego powodu, że były katolikami (por. Antonio Montero Moreno, op. cit., s. 762). Żeby zdać sobie sprawę z rozmiarów tej masakry, trzeba wziąć pod uwagę, że dokonała się ona jedynie na połowie terytorium, tj. w strefie republikańskiej.

Analiza tych liczb pokazuje, że dane przytoczone przez Montero są niedoszacowane; por. Vicente Cárceles Ortí, *La persecución religiosa en España durante la Segunda República (1931-1939)*, Madrid 1990, s. 234 i n. oraz martyrologia niektórych diecezji, jak np. Asturii (A. Garralda,

La persecución religiosa del clero en Asturias 1934 y 1936-1937, Avilés 1977, 2 tomy) lub Barbastro (Santos Lalueza Gil, *Martirio de la Iglesia de Barbastro 1936-1938*, Barbastro 1989) etc por. także rozdział II („Epoka Logroño”), przypis 7.

W dniach 7-25 października 1936 oraz trzy tygodnie po wkroczeniu wojsk Franco do San Sebastián, wojska narodowe rozstrzelały dziewięciu księży diecezjalnych i jednego zakonnika pod zarzutem, że są baskijskimi nacjonalistami.

Kardynał Gomá poinformował gen. Franco o tym 26 października 1936. Franco zapewnił go, że to postępowanie zostanie natychmiast ukrócone i wydał stosowne rozkazy. Mimo to jednak między 27 października a 7 listopada jeszcze trzech księży zostali rozstrzelani. Do tej pory nie odnaleziono dokumentacji na temat możliwych sądów zbiorowych prowadzonych

przez wojskowy wymiar sprawiedliwości. Por. Anastasio Granados, *El cardenal Gomá, primado de España*, Madrid 1969, s. 145 oraz María Luisa Rodríguez Aisa, *El cardenal Gomá y la guerra de España.*, Madrid 1981, s. 49 oraz 62-65. Także został zamordowany o. Antonio Bombín OFM w Laguardia (Álava): por. Joseba M. Goñi Galarra, *La guerra civil en el País Vasco: una guerra entre católicos*, Vitoria 1989, s. 229.

[154] W rozdziale poświęconym poszukiwaniu schronienia w Madrycie podczas wojny Javier Cervera wyciąga wniosek, że ambasady były najbezpieczniejszym miejscem i analizuje wynikające stąd konsekwencje (op. cit., s. 339-374). Jego studium do dziś jest najbardziej kompletnym i udokumentowanym opracowaniem, mówiącym o liczbie azylantów w przedstawicielstwach dyplomatycznych Madrytu. Liczba,

do jakiej doszedł (s. 369-374), to na początku 1937 roku około 14 000 osób, do których trzeba doliczyć osoby wspomniane w informacjach, w których nie mamy podanych liczb. Wedle tych danych największą liczbę uciekinierów przyjęła Francja: 2 240. Por. także María del Carmen Gómez Reoyo, *Madrid 1936-1939: El asilo diplomático en la Guerra Civil española.*, praca magisterska (niepublikowana), pod kierunkiem Antonia Fernández García, Departamento de Historia Contemporanea, Universidad Complutense, Madrid 1985. Autorka rozróżnia między *legalnymi* i *realnymi* uciekinierami. Ta druga kategoria była liczniejsza. Dla *legalnych* przyjmuje liczbę 11 000. Można por. także Javier Rubio García-Mina, op. cit. oraz José Luis Alfaya Camacho, op. cit., s. 181-193.

[155] Por. Javier Rubio García-Mina, op. cit., s. 476: „Ogólne warunki z 17

marca 1937 dla ewakuacji osób korzystających z azylu dyplomatycznego”. Ostatnie zdanie tego rozporządzenia zostawiało szeroki margines arbitralności urzędników: „Ministerstwo Stanu, zawsze zgodnie z powyższymi normami, będzie działało w sposób dostosowany do kryteriów stosunków politycznych”. Nie uznawano więc prawa do ewakuacji, lecz do negocjacji, przez każde państwo z osobna w imię jego własnych interesów, ważąc naciski polityczne i znaczenie międzynarodowe wnioskodawcy.

[156] Por. Consuelo de Matheu Montalvo, RHF, T-05050, s. 1 oraz José Luis Rodríguez-Candela Manzaneque, RHF, T-05120, s. 1. Chodziło więc o rozszerzenie azylu konsularnego.

* Także poselstwo Rzeczypospolitej Polskiej przyjęło ponad 400 osób,

ewakuowanych następnie do Polski –
przyp. tłum..

[157] List do Isidoro Zorzano
Ledesmy, w: EF-370420-3.

Por. pamiętniki ambasadora Chile,
pełniącego w tym okresie funkcję
dziekana Korpusu Dyplomatycznego
w Madrycie: Aurelio Núñez Morgado,
op. cit.

[158] Por. Javier Rubio García-Mina,
op. cit., s. 47 oraz Javier Cervera Gil,
op. cit., s. 367.

[159] List do jego synów w Walencji,
w: EF-370421-1.

[160] List do Isidoro Zorzano
Ledesmy, w: EF-370503-1.

[161] List do jego w Madrycie, w:
EF-370504-1.

[162] Por. list do jego synów w
Madrycie, w: EF-370505-5.

[163] List do jego synów w Madrycie,
w: EF-370506-1.

[164] List do Isidoro Zorzano
Ledesmy, w: EF-370515-2.

[165] List do jego synów w Walencji,
w: EF-370530-1. W oryginale:
„opowieść o dobrej fajce”, wyrażenie
opisujące skomplikowaną sprawę,
której załatwienie zajmuje bardzo
dużo czasu i która coraz bardziej się
odwleka, w miarę jak prowadzone są
starania, by ją zakończyć. Mówi się
także: „nigdy niekończąca się
opowieść”.

[166] List do jego synów w Madrycie,
w: EF-370701-2.

[167] List do jego synów w Madrycie,
w: EF-370701-1.

[168] Por. list do jego synów w
Walencji, w: EF-370701-2.

Zgodnie z oficjalnym komunikatem Konsula Generalnego Hondurasu dla hiszpańskiego Ministerstwa Stanu, na początku 1937 znajdowały się na jego terenie 32 osoby korzystające z azylu dyplomatycznego (27 w wieku poborowym oraz 5 kobiet, starców i dzieci). Pod koniec 1938 roku ta lista nie uległa zmianie (por. Javier Rubio García-Mina, op. cit., s. 32). Jak wiemy na podstawie bezpośrednich świadectw, niekiedy liczba *realnych* azylantów trzykrotnie przekraczała liczbę *legalnych*.

[169] Oryginał, dostarczony przez córkę konsula, w: RHF, D-11074. Por. także Juan Manuel Sainz de los Terreros Ranero, RHF, T-05127 oraz Recaredo VentosaGarcía w: *Beato Josemaría Escrivá de Balaguer: un hombre de Dios. Testimonios sobre el Fundador del Opus Dei.*, Madrid 1994, s. 419 .

[170] List do jego synów w Walencji,
w: EF-370701-2.

„W tej działalności [organizowaniu ewakuacji] wyróżniły się przedstawicielstwa południowoamerykańskie: zwłaszcza argentyńskie, chilijskie i meksykańskie. Poza tym Francja, Wielka Brytania i Turcja także zorganizowały i przeprowadziły transporty ewakuacyjne”. Javier Cervera Gil, op. cit., s. 357.

[Ewakuowani zostało także 400 azylantów przebywających na terenie ambasady polskiej - przyp. tłum.].

[171] List do jego synów w Walencji,
w: EF-370417-1.

[172] Ibidem.

[173] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF,
T-04152-III, s. 78-79.

[174] List do jego synów w Walencji, w: EF-370526-1.

[175] Na temat życia mieszkańców w mieszkaniu powyżej: por. Ricardo Ventosa García, w: *Testimonios...*, s. 420 i n.

[176] Por. Eduardo Alstrué Castillo, RHF, T-04695, s. 13; José Luis Rodríguez-Candela Manzaneque, RHF, T-0510, s. 3; Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 95.

[177] Trzeba zaznaczyć, jak wspomina Javier Cervera Gil, op. cit., s. 363, że „większość azylantów została wypuszczona na wolność, jednak 18 z nich, młodych i znanych ze swej prawicowej działalności, zostało odesłanych do siedziby Prewencji Generalnej Dyrekcji Bezpieczeństwa (*Dirección General de Seguridad- DGS*)...”. Tam poddani zostali torturom, tak ciężkim, że samo DGS wszczęło postępowanie przeciwko własnym strażnikom. Po

kilku przenosinach z więzienia do więzienia zostali oni skazani na śmierć, ale interwencja innych państw oraz Międzynarodowego Czerwonego Krzyża pozwoliły na zawieszenie wykonania wyroku. Por. Javier Cervera Gil, op. cit., s. 244-245 oraz Javier Rubio García-Mina, op. cit., s. 83.

[178] Księża piętro wyżej musieli przestać odprawiać msze z powodu zbiorowego strachu azylantów. Por. Recaredo Ventosa García, w: *Testimonios...*, s. 420 i n.

[179] Consuelo do Matheu Montalvo, RHF, T-04695, s. 19.

[180] Edurado Alastrué Castillo, RHF, T-04695, s. 19.

[181] List do jego synów w Walencji, w: EF-370519-1.

Założyciel Opus Dei, który przybył do konsulatu w połowie marca, od

pierwszego dnia odprawiał mszę w hollu i trzymał Najświętszy Sakrament w srebrnej puszce w sekretarzyku. Tam w holu nawiedzali Najświętszy Sakrament aż do chwili, gdy w maju trzeba było stamtąd Go usunąć pod naciskiem konsula, który stanął wobec paniki wśród uciekinierów obawiających się najścia policji. Od tej chwili trzymali hostie w portfeliku, na zmianę.

[182] List do jego synów w Walencji, w: EF-370501-1. Pod koniec maja ksiądz Josemaría zdecydował się już nie przechowywać Najświętszego Sakramentu (por. list do jego synów w Walencji, w: EF-370530-1).

[183] Por. José Miguel Pero-Sanz, op. cit., s. 205-206.

[184] Por. list do Isidoro Zorzano Ledesmy, w: EF-370420-1.

[185] Na temat zaopatrzenia w żywność ambasad i personelu dyplomatycznego por. Javier Rubio García-Mina, op. cit., s. 176 oraz Javier Cervera Gil, op. cit., s. 355-356.

[186] List do jego synów w Walencji, w: EF-370406-1; por. także Eduardo Alstrué Castillo, RHF, T-04695, s. 16.

[187] List do jego synów w Walencji, w: EF-370426-1. Pośród żartów w tej korespondencji od czasu do czasu pojawiają się słowa powiedziane serio (*Dziś dali nam ryż z soczewicą i nic poza tym [...]. Czy nie wydaje ci się, że cudem jeszcze żyjemy?*). Por. list do Isidoro Zorzano Ledesmy, w: EF-370508-2).

[188] List do Isidoro Zorzano Ledesmy, w: EF-3705430-3.

[189] List do jego synów w Madrycie, w: EF-370502-1.

[190] List do jego synów w Walencji, w: EF-370505-1.

[191] Santiago Escrivá de Balaguer y Albás, RHF, T-07921, s. 26.

* Chodzi o formę umartwienia polegającą na zażywaniu piołunu, jako substancji bardzo gorzkiej i nieprzyjemnej w smaku – przyp. tłum..

[192] List do Isidora Zorzano Ledesmy, w: EF-370530-3. Na temat jego umartwień: por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 365 oraz Eduardo Alstrué Castillo, *Sum.* 5552.

[193] Por. Eduardo Alastrué Castillo, RHF, T-04695, s. 18.

[194] José Luis Rodríguez-Candela Manzaneque, RHF, T-05120, s. 1.

[195] List od jego synów w Madrycie, w: EF-370523-1. Niektóre z jego listów mają nawet 17 oddzielnych

części, które dotyczą różnych spraw. Np. list do jego synów w Madrycie (EF-370525-1). Warto zauważyć, że ten list nie jest spóźnionym fragmentem korespondencji, gdyż dwa dni wcześniej pisał do nich list złożony z ośmiu ponumerowanych paragrafów. A w dzień później znowu napisze do nich 7 punktów.

[196] Por. list do Isidoro Zorzano Ledesmy, w: EF-370423-1.

W roku 1933 Ojciec sprawował kierownictwo duchowe „najjaśniejszej i pełnej cnót hrabiny de Humanes”, donii Marii Francisci Massii y Eraso de Aranda. Miała tytuł *Grande de España*, lecz żyła bardzo skromnie, pomimo tego, że była bardzo zamożna. Nie była przywiązana do swych bogactw. To jej dotyczy anegdota w przywołana w *Drodze* pod numerem 638. Miedzy innymi podarowała swą biżuterię, by pieniądze z jej sprzedaży zostały

preznaczone na wsparcie Dzieła. Jest bardzo prawdopodobne, że podczas przeszukania akademika przy Ferraz w czerwcu 1936 roku milicjanci zrabowali całą tę biżuterię oraz inne wartościowe przedmioty, które założyciel Opus Dei przechowywał z przeznaczeniem na nabycie nieruchomości. Hrabina de Humanes zmarła 23 lipca 1936 roku, wkrótce po wybuchu wojny domowej.

Akt Założenia Spółki „Opieka nad Studiami Wyższymi” (FES), został sporządzony w kancelarii notarialnej d. Juana José Estebana y Royo. Nosi on datę 2 listopada 1935 roku. Jej członkami założycielami byli: Isidoro Zorzano Ledesma, Ricardo Fernández Vallespín, José María González Barredo oraz Miguel Sainz de los Terreros Villacampa.

Umowa sprzedaży domu przy ulicy Ferraz 16 przez jego dotychczasowego właściciela d.

Javiera Azlor-Aragón na rzecz Spółki „Opieka nad Studiami Wyższymi” została sporządzona w kancelarii notarialnej d. Luisa Sierry Bermejo. Nosi ona datę 17 czerwca 1936 i została podpisana wobec notariusza przez tych samych członków założycieli FES, „jako jedynych członków w imieniu Spółki Cywilnej <<Opieka nad Studiami Wyższymi>>”.

[197] Na ten temat por.: José Miguel Pero-Sanz, op. cit., s. 220-222.

[198] W spisie inwentarzowym, stanowiący podstawę roszczeń znajdowały się następujące pozycje:

- akademia (umeblowanie, laboratorium i in.) 154.820

- akademik (umeblowanie, odzież i sprzęt i in.) 240.400

- nieruchomości (Ferraz 16), prace remontowe 110.000

(Por. list Isidoro Zorzano Ledesmy do Pedra Casciaro Ramíreza z 3 maja 1937, w: IZL D-1213, 139).

Jak widać, nie chodzi o domaganie się zwrotu nieruchomości, lecz o prace remontowe. W umowie kupna-sprzedaży, w paragrafie 4. znajdujemy następujący zapis: „instytucja dokonująca kupna przejmuje w posiadanie zakupioną nieruchomość poprzez sam fakt sporządzenia niniejszej umowy”. Za obopólną zgodą stron dokonano wyceny nieruchomości przy Ferraz 16 na 400.000 peset, które miały zostać spłacone w 14 ratach rocznych po 43.032 pesety. Raty roczne z kolei dzieliły się na cztery równe raty kwartalne każda, „które będą regulowane na zakończenie kolejnego kwartału, zaś pierwsza rata musi zostać zapłacona do 30 września br.”, jak stwierdza paragraf 3. Tego samego dnia w chwili sporządzenia pisma, 17 czerwca

1936, instytucja dokonująca kupna - FES, wpłaciła 6 000 peset „na poczet pierwszej raty kwartalnej”.

Sytuacja, jeśli chodzi o skutki prawne, była więc dość skomplikowana. Umowa kupna-sprzedaży została przedstawiona 20 lipca 1936, prawdopodobnie przez Isidora, w biurze likwidacyjnym hipotecznym, a jednak na skutek panującej sytuacji politycznej nic nie zrobiono. Z powodu „naszej sytuacji w sierpniu”, twierdzi Isidoro w jednej z notatek na temat „Spraw notarialnych”, nie zostały spłacone ani opłaty hipoteczne, ani opłata notarialna, „dlatego też obecnie nieruchomość nie jest zapisana na FES. Jeśli chodzi o skutki urzędowe, właściciel pozostaje taki, jak dawniej. Z tego powodu nie mogą wydać nam potwierdzonej kopii pisma”. (Por. RHF, D-15711).

Wiele było trudności związanych z roszczeniami odszkodowawczymi, a nie najmniejszą było udowodnienie zniszczenia lub zaginięcia zinwentaryzowanych przedmiotów. Udowodnienie tego było niemożliwe, gdyż nieruchomość znajdowała się w tym czasie w rejonie działań wojennych (por. *ibidem*).

[199] List do Isidoro Zorzano Ledesmy, w: EF-370501-2.

[200] Oto list Isidora do Pedro Casciaro Ramíreza:

„Madryt, 3 maja 1937.

Drogi przyjacielu,

Mariano polecił mi, abym przedstawił Ci na bieżąco pewną sprawę, którą się zajmuję. Już wiesz, że mój dom przy Ferraz jest na wpół zniszczony, a meble, które się w nim znajdowały, zniknęły. Korzystając z mojej pozycji cudzoziemca,

przedstawiłem ambasadorowi argentyńskiemu pismo, wnosząc o odszkodowanie od Państwa Hiszpańskiego z powodu strat spowodowanych we wspomnianym domu oraz utraty mebli. Dom ten należy do spółki „Opieka nad Studiami Wyższymi”, której jestem przewodniczącym i w jej imieniu wniosłem roszczenie. Jako współwłaściciel zniszczonego budynku mam prawo uznać majątek spółki za własny i prosić o odpowiednie zadośćuczynienie, które sięga, zgodnie z załączonym do pisma inwentarzem 1.078.900 peset. Napisałem do Paco i Eugenio, aby popchnęli sprawę w Walencji. Mariano mi powiedział, że twój dziadek, Anglik, może coś zrobić w tej sprawie. Trzeba to powierzyć A. C. [*Ángeles Custodios* – Aniołom Stróżom] i don Nicolasowi [św. Mikołajowi], którzy mają sporo wpływów. Zróbcie wszystko, co będziecie mogli, nie zaniedbajcie

niczego; jeśli będzie trzeba, ułatwiał sobie sprawę podarunkami. Nie wiesz nawet, jak wielką wagę przywiązuje Mariano do tej sprawy.

Informuj mnie na bieżąco o tym, co robisz w tej sprawie. W tym samym liście piszę także do Paco i Eugenia.

Uściski od Twego dobrego przyjaciela.

Isidoro” (List z 3 V 1937, w: IZL D-1213, 139).

* Wyrażeniewynikające z szyfrowania listów – mieli je przecież pisać cudzoziemcy, przebywający w Hiszpanii – przyp. tłum..

[201] List do jego synów w Madrycie, w: EF-370502-1.

[202] List do swoich synów w Madrycie, w: EF-370513-1. A w innym liście pisał: *Konieczne jest ciągnięcie tej sprawy, choćby się miało nic nie*

osiągnąć. Zapewniam Was, że w każdym wypadku osiągnęliśmy wiele. Jako starszy człowiek, wiem dobrze, co mówię (List do jego synów w Madrycie, w:EF370518-1).

[203] List do jego synów w Madrycie, w:EF370516-1.

[204] List do Isidoro Zorzano Ledesmy, w: EF-370519-2.

[205] List do jego synów w Madrycie, w: EF370513-1.

[206] List do jego synów w Madrycie, w: EF-370521-2.

Był tak pewien, że dobrze rozumie wolę Bożą, że następnego dnia napisał do Isidora, aby ten przekazał te słowa tym z Walencji za pośrednictwem Paco Botelli: *Kiedy będziesz pisał do Paco, przepisz dla niego pierwsze akapity mojego listu z piątku: te które mówią o tym, że trzeba być... uprzykrzonym. Jestem*

przekonany, że bardzo dobrze im zrobią (List do Isidora Zorzano Ledesmy, w: EF-370522-1).

[207] List do jego synów w Madrycie, w: EF-370513-1.

[208] List do jego synów w Madrycie, w: EF-370518-1.

Rady, których im udziela w listach są prawdziwymi ascetycznymi przewodnikami po cnocie męstwa. Porady zawarte w tych listach, skierowanych do jego synów w Madrycie, były następnie dosłownie przekazywane członkom Dzieła przebywającym w Lewancie. Por. np. listy Isidora do Pedra Casciaro Ramíreza, z 18 maja 1937 oraz do Francisca Botelli Raduána z 23 maja 1937, w: IZL D-1213, 158 i 166.

[209] Aby złożyć roszczenie, biura ambasady Argentyny w Walencji wymagały zaświadczenia o obywatelstwie. Takie zaświadczenie

było wydawane w Madrycie. Jednak w tym celu nie wystarczała kopia świadectwa urodzenia, a był to jedyny dokument, jaki miał Isidoro, potwierdzający jego obywatelstwo. Trzeba było zamówić oryginał świadectwa z Buenos Aires. Potem oświadczono mu, że nie może być oficjalnie uznanym za obywatela argentyńskiego, dopóki nie spełni obowiązku służby wojskowej. Taka była sytuacja na początku lipca. Nadszedł w końcu akt urodzenia i Ojciec mu napisał: *Dobrze! Lepiej późno niż wcale* (list do Isidora Zorzano Ledesmy, w: EF-370701-4).

Jeśli chodzi o dokumentację wystawioną w tej sprawie Isidorowi Zorzano przez jego ambasadę por.: „Zaświadczenie o obywatelstwie argentyńskim, wystawione przez Konsulat Republiki Argentyny, Madryt, 12 I 1938” (IZL, D-1018) oraz „Książeczka służby” (argentyńska wojskowa legitymacja), Madryt, 29

VII 1937 (IZL, D-1019). Co się tyczy roszczenia, por. jego korespondencję: listy do Pedra Casciaro Ramíreza z 11 V 1937, 12 V 1937 oraz 9 VI 1937, do uchodźców w konsulacie Hondurasu, z 13 V 1937, 20 V 1937 oraz z 24 VII 1937, do Francisca Botelli Raduána, z 28 V 1937, 9 VI 1937 oraz 29 VII 1937 (IZL, D-1213, 147, 148, 151, 173, 190, 191, 230 i 234). W tym ostatnim liście Isidoro prosi członków Dzieła z Walencji, aby dostarczyli ambasadzie argentyńskiej dokumenty, które powinny zostać dołączone do wniosku roszczeniowego. Por. José Miguel Pero-Sanz, op. cit., s. 221-222.

[210] List do jego synów w Walencji, w: EF-370601-1.

[211] Por. korespondencja Pedra Casciaro Ramíreza: listy z 8, 10, 13 i 16 marca 1937, z Torrevieja, do Isidoro Zorzano (RHF, D-15702) oraz informacje o paszporcie don Julia Casciaro (tamże).

[212] „Mało nowych informacji mam dziś do zakomunikowania – twierdzi Isidoro w liście z 6 VI 1937 – 1) Szwajcarski przyjaciel Miguela nie mógł nic zrobić, bo jest dzień świąteczny. 2) Myśleliśmy, że Boliwijczyk z SOCOIN Pablo García de Paredes mógłby interweniować jako „członek”, występując z roszczeniem. Barredo wie, gdzie on mieszka. Manolo powiedział mi, że myślał o swoim koledze Paragwajczyku” (List Isidora do uchodźców w konsulacie Hondurasu, w: IZL D-1213, 185).

Na temat SOCOIN (Stowarzyszenie Współpracy Intelektualnej – *Sociedad de Colaboración Intelectual*) por. t. I, s. 640-642.

[213] Medytacje, które Ojciec prowadził odtworzył „w znacznym przybliżeniu” Eduardo. Zapisane, wraz z korespondencją, były przekazane przez Isidora pozostałym

członkom Dzieła. Por. Edurado Alastrué Castillo, RHF, T-04965, s. 19. Por. José Miguel Pero-Sanz, op. cit., s. 206-207.

[214] Por. Consuelo de Matheu Montalvo, RHF, T-05050, s. 1 oraz Juan Manuel Sainz de los Terreros Ranero, RHF, T-05127.

[215] List do jego synów w Walencji, w: EF-370430-1.

[216] Por. list do jego synów w Walencji, w: EF-370406-1.

[217] Por. list do jego synów w Walencji, w: EF-370530-1; Consuelo de Matheu Montalvo, RHF, T-05050, s. 3. Musiało to nastąpić nie wcześniej niż w pierwszych maja, gdyż na ten temat mówi jedna z notatek sporządzonych w tym okresie: *6 V 1937. Chcieli skończyć z Najświętszym Sakramentem. (Apuntes, nr 1377).*

[218] José Luis Rodríguez-Candela
Manzanegue, RHF, T-05120, s. 2.

[219] Zdanie to wypowiedziane przez
José Marię Gonzáleza Barredo
przywołuje Eduardo Alastrué
Castillo, w: RHF, T-04695, s. 16.

[220] List do Isidoro Zorzano
Ledesmy, w: EF-370508-2.

[221] List do jego synów w Walencji,
w: EF-370501-1.

[222] List Pedra Casciaro Ramíreza, z
Torrevieja, 13 V 1937 (por. RHF,
D-15702).

[223] *Apuntes*, n. 1372, z 30 VI 1936.

[224] Álvaro del Portillo, PR, s. 486.
Álvaro chorował już poprzednio
przed 10 marca 1937 (por. *Apuntes*,
nr 1381 i 1382, z 10 i 11 V 1937).

[225] List do jego synów w Walencji,
w: EF-370421-1.

[226] List do jego synów w Madrycie,
w: EF-370506-1.

[227] List do jego synów w Walencji,
w: EF-370519-1.

[228] List do jego synów w Walencji,
w: EF-370530-1.

[229] *Apuntes*, nr 274, z 9 IX 1931.

[230] *Apuntes*, nr 244, 31 VIII 1931.

Prałat Álvaro del Portillo,
komentując bogactwo życia
modlitewnego założyciela Opus Dei,
powiada: „Duch Święty bez
wątpienia wiódł go na najwyższe
szczyty mistycznego zjednoczenia
pośród codziennego życia,
wykorzystując ciężkie oczyszczenia
bierne zmysłów i duszy” (*Sacerdotes
para una nueva Evangelización*, w:
„Formacja kapłanów w bieżących
warunkach. XI Międzynarodowe
Sympozjum Teologiczne”,

Uniwersytet Nawarry, Pamplona 1990, s. 989).

[231] *Apuntes*, nr 1379, z 8 V 1937.

W Archiwum Generalnym Prałatury znajdują się notatki spisane przez Ojca w konsulacie Hondurasu na maleńkich karteczkach. Zaczął ich sporządzanie w kwietniu 1937, brakuje jednak 22 pierwszych zapisów. Te *Notatki z Hondurasu* zostały włączone do: *Apuntes*, nry 1374 do 1394 (por. tamże , przypis 1016).

* Ojcowie Najświętszych Serc SSCC – zakon sercanów białych, zgromadzenie Najświętszych Serc Jezusa i Maryi oraz Wieczystej Adoracji Najświętszego Sakramentu Ołtarza, założony w 1800 r. w celu duchowej odnowy porewolucyjnej Francji.

[232] „Zaczął okazać mi wielką sympatię i po pierwszym razie, gdy

rozmawialiśmy, poprosił o to, bym go wyspowiadał. Ojciec spowiadał się u mnie wiele razy podczas swego pobytu w poselstwie [...].

Spowiadałem także tych, którzy przebywali tam wraz z Ojcem” (por. Recaredo Ventosa García, w: *Testimonios...*, s. 420).

[233] *Apuntes*, nr 1380.

[234] *Ibidem*, nr 1388 z 21 V 1937.

[235] *Ibidem*, nr 1389.

[236] *Ibidem*, nr 1391.

[237] *Ibidem*.

[238] List do jego synów w Walencji, w: EF-370526-1.

[239] Francisco Botella Raduán, RHF, T-00159/1, s. 17. Ojciec ewidentnie starał się ich rozbawić: *Jeśli się roześmiejecie, osiągnę swój cel* – napisze w jakimś miejscu (list do

swoich synów w Walencji, w:
EF-370426-1).

[240] List Isidora do Marií Dolores
Fisac Serny, Madryt, 4 VI 1937, w: IZL
D-1213, 183.

[241] List do Pedra Casciaro
Ramíreza, w: EF-370429-1.

[242] List do jego synów w Walencji,
w: EF-370624-1.

[243] List do jego synów w Walencji,
w: EF-370421-1.

[244] List do jego synów w Madrycie,
w: EF-370605-1.

[245] List Isidora do Francisca Botelli
Radúana, 13 VI 1937 (IZL D-1213,
196).

[246] Ignacio to imię, które zostało
nadane Isidorowi Zorzano w listach z
tego okresu.

[247] List do jego synów w Walencji, w: EF-370615-1. Pepe Isasa zginął w Pinto, na froncie pod Madrytem, 23 kwietnia 1937.

[248] List do jego synów w Walencji, w: EF-370815-1.

[249] List do Rafaela Calvo Serrera, w: EF-370515-1 [por. *Droga*, nr. 390 i 392].

[250] Francisco Botella Raduán, RHF, T-00159/1, s. 15-16.

[251] List Isidora do Pedra Casciaro Ramíreza, 4 VII 1937 (IZL D-1213, 217).

Z powodu cenzury korespondencji, gdy była mowa o duchowym zdrowiu „wnuków”, trzeba było uciec się do niedopowiedzeń i ogólników. Źle zrozumiana dyskrecja w tym względzie zirytowała „dziadka”, który, niespokojny z powodu braku wiadomości, pewnego

razu czynił wymówki Paco Botelli, ponieważ ten unikał odpowiedzi wprost na stawiane mu pytania. *Paco - pisał Ojciec - czy nie widzisz, że biedny dziadek, stroskany o swoje wnuki, żyje w stałym napięciu?*(list do jego synów w Walencji, w: EF-370725-3).

[252] W tym powiedzeniu była tylko niewielka przesada, jak sam zainteresowany stwierdza w jednym z akapitów listu: *Rafaelín, przeczytałem Twoje listy trzy razy w ciągu dwu godzin. To prawda, że postępuję tak samo ze wszystkimi listami od wnuków. Jeannot i Alvarote, którzy zawsze zwracają uwagę na takie rzeczy, już sobie ze mnie dworują* (list do jego synów w Walencji, w: EF-370727-4).

* Angél (hiszp.) – anioł oraz imię męskie, gra słów oznaczająca w tym wypadku modlitwę do Anioła Stróża – przyp. tłum..

[253] List do José Maríi Hernándezza Garnici, w: EF-370727-4.

[254] List do Rafaela Calvo Serrera, w: EF-370727-2.

[255] List do jego synów w Madrycie, w: EF-370529-2.

[256] List do jego synów w Walencji, w: EF-370707-1.

[257] List do jego synów w Madrycie, w: EF-370525-1.

[258] List do Maríi Dolores (Loli) Fisac jest krótki: *Do Daimiel. – Z jaką radością przeczytałem Twój list, Lolu! Wiedźcie, że nigdy o Was nie zapominam, jak i o całej Waszej rodzinie. Ach! Bardzo bym chciał, byś była moją wnuczką. – Wasz Mariano. Madryt, 21 maja 1937 (list w: EF-370521-1).*

[259] List do Maríi Dolores Fisac Serna, w: EF-370701-1.

[260] List do Marii Dolores Fisac Serna, w: EF-370714-1.

[261] List do Marii Dolores Fisac Serna, w: EF-370805-1.

[262] List do jego synów w Walencji, w: EF-370505-4.

[263] W liście do jego synów w Walencji, w: EF-370707-1. W tym liście założyciela Opus Dei między linijkami zostały włączone zapiski Álvара del Portillo oraz Juana Jiméneza Vargasa.

* (łac.) nie przyszedł, aby Mu słuźono, lecz aby służyć (Mt 20,28) – przyp. tłum..

[264] List do jego synów w Walencji, w: EF-370526-1.

[265] List do jego synów w Walencji, w: EF-370505-1.

[266] List do Isidora Zorzano Ledesmy, w: EF-370629-1.

[267] List Isidora do uchodźców w poselstwie Hondurasu, 30 VI 1937, w: IZL D-1213, 214.

[268] List do jego synów w Madrycie, w: EF-370701-3.

[269] List do jego synów w Walencji, w: EF-3700707-1.

[270] List do jego synów w Walencji, w: EF-370601-1.

[271] List Isidora do Pedra Casciaro Ramíreza, 15 VIII 1937, w:P IZL D-1213, 247.

Chcecie wiedzieć, ile ważę? No więc, 57 kilo (List do jego synów w Walencji, w: EF-370905-1).

[272] List Isidora do uchodźców w poselstwie Hondurasu, 24 lipca 1937, w: IZL D-1213, 230.

[273] List do Isidora Zorzano Ledesmy, w: EF-370725-6.

[274] List do Marií Dolores Fisac Serna, w: EF-370725-2.

[275] List Isidora do Pedra Casciaro Ramíreza, w: IZL D-1213, 229.

[276] List do jego synów w Madrycie, w: EF-3700725-4.

[277] Por. list do Isidora Zorzano Ledesmy, w: EF-370801-3.

[278] Por. Tomás Alvira Alvira, RHF, T-04373, s. 3. Ten sposób postępowania trzeba oceniać na tle sytuacji społecznej, jaka wówczas panowała, gdy z powodu wojny i prób rewolucyjnych doszło do poważnego zerwania współżycia społecznego i norm postępowania mu właściwych.

[279] List do Isidora Zorzano Ledesmy, w: EF-370804-2.

[280] List do jego synów z Madrytu, w: EF-370806-2.

W liście z 12 sierpnia Isidoro informował tych z Daimiel, że nie udało się zorganizować ewakuacji „dziadka”. „Nie bacząc na to – dodaje – ponieważ wszyscy w naszej rodzinie jesteśmy bardzo uparci, będziemy naciskać na d. Manuela, dopóki on się nie znudzi naszymi prośbami” (List Isidora do Marii Dolores Fisac Serny, 12 VIII 1937; w: IZL, D-1213, 244).

[281] Udało się [po stronie republikańskiej – przyp. tłum.] doprowadzić do pewnej rekonstrukcji państwa. Istniały większe gwarancje bezpieczeństwa, chociaż działania skierowane przeciwko piątej kolumnie były bardzo ostre. Działania policyjne były bardzo silne i prowadzone przez elementy komunistyczne, które przejęły kontrolę nad większością stanowisk w tej sferze sprawowania władzy. Por. Javier Cervera Gil, op. cit., s. 104-105.

[282] List Isidora do Marii Dolores Fisac Serny, 26 V 1937 (IZL D-1213, 171).

[283] List otrzymany w Madrycie 20 VIII 1937: RHF, D-15703.

To odpowiedź na list założyciela Opus Dei z 5 VIII 1937, w którym to proponuje jej odpowiednią formułę odpowiedzi: *Powiedz mi: Dziadku, na Twoje pytanie, odpowiadam: „Tak!”*. Inne pytanie, które postawił jej „dziadek” brzmiało: *Czy chcesz – naprawdę chcesz – wejść do rodziny tego dziadunia?* Por. list do Marii Dolores Fisac Serny, w: EF-370805-1, cytowany. (Bardzo zdenerwowana musiała być Lola, gdy pisała te słowa, gdyż w tak krótkiej odpowiedzi napisała: „Jestem szczęśliwa, że wezmę się częścią jego rodziny”, lapsus, który poprawiliśmy).

[284] List do Marii Dolores Fisac Serny, w: EF-370822-1.

[285] List do Isidora Zorzano Ledesmy, w: EF-370820-1. Isidoro udał się do dra Suilsa, który wystawił następujące zaświadczenie: „Dom wypoczynkowy i zdrowotny zajmujący się leczeniem osób chorych umysłowo, nerwowo i uzależnionych/ Dr Ángel Suils/ Arturo Soría 492 (Ciudad Lineal)/ Tel. Num. 51188/ Godziny wizyt, od 15.00 do 17.00.

Madryt 22 sierpnia 1937

Zaświadczam, że José María Escribá Albás, lat 35, od 29 lat jest przeze mnie leczony na psychozę endogeniczną, która ma okresowe nawroty. Dziś został zwolniony po ustąpieniu ostatniego nawrotu choroby, z powodu którego musiał spędzić w sanatorium kilka miesięcy, ze względu na trudności, jakie w obliczu ostatnich wydarzeń może spowodować jego pobyt w domu. Od

dziś zezwalamy mu na wyjście i zamieszkanie z siostrą.

Dyrektor/ Dr A. Suils” (oryginał w: RHF, D-15067).

[286] Z jednej strony d. Álvaro González Valdés, w którego domu mieszkała donia Dolores wraz ze swymi dziećmi, był pełen wątpliwości i niepokoju. Z drugiej strony, jeśli don Josemaría przedstawiłby się „komitetowi domowemu” jako chory, najprawdopodobniej zabraliby go do jakiejś odległej od Madrytu miejscowości, gdyż nie miał na miejscu ani pracy, ani zajęcia (por. list Isidora do uchodźców w poselstwie Hondurasu, 10 VIII 1937, w: IZL, D-1213, 253).

[287] List Isidora do Francisca Botelli Raduána, 23 VIII 1937 (IZL, D-1213, 256).

[288] List do jego synów w Walencji,
w: EF-370825-1.

[289] Por. list do Isidora Zorzano
Ledesmy, w: EF-370828-1.

[290] Dokument stwierdzał:
„Konsulat Generalny Hondurasu/
Telefon 45097/ Paseo de la Castellana,
51 a/ Madryt. KONSULAT
GENERALNY REPUBLIKI
HONDURASU, AMERYKA
ŚRODKOWA, z oficjalną siedzibą w
tymże mieście:

ZAŚWIADCZA, że José ESCRIBÁ
ALBÁS, 35 lat, kawaler, pracuje w
tejże kancelarii jako INTENDENT i
upraszamy WŁADZE cywilne, aby
zapewnić mu wszelką pomoc i
opiekę, tytułem wzajemności, aby
ułatwili mu przemieszczanie się w
celu wykonania jego obowiązków. –

Madryt, 1 sierpnia 1937.

Konsul Generalny/ F. Matheu” (w:
RHF, D-15070).

[291] List do Marii Dolores Fisac
Serny, w: EF-370831-1.

.....

pdf | dokument generowany
automatycznie z <https://opusdei.org/pl-pl/article/rozdzial-9-wojna-i-rewolucja-w-oczekiwaniu-na-ewak/> (27-03-2026)